

- **Tajemnicza misja Leona Kasmana** ————— str. 3
- **Jak to robią w „Dywilanie”?** ————— str. 7
- **Na zakręcie w alei gwiazd** ————— str. 6
- **Pociąg z Łodzi do Hollywood** ————— str. 12
- **Co może sprytny adwokat?** ————— str. 15

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 13 (1565) ROK XXXI 26 MARCA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

Janusz Zielonacki z krakowskiej telewizji odsądzony od czci i wiary. Liczne protesty organizacji i osób prywatnych. Dużo emocji, mało argumentów. Przyroda dobrem narodowym. Czy potrafimy tylko mieć projekty, na realizację których nas nie stać?

Zniszczyć Bieszczady czy pozostać w zacofaniu?

I oto mamy ogólnonarodową dyskusję, w której — jak to zwykłe u nas — więcej emocji niż argumentów. Najgłośniejsze na ogół wypowiedzi są ci, którzy coś słyszeli i są z zasady przeciw. Dyskutuje się w gazetach, w radiu i w telewizji, ale — przede wszystkim — w pracy, na spotkaniach towarzyskich. Padają w tej dyskusji argumenty nie do odparcia, ale też jest — jak zwykle — dużo szumu, krzyku, rozrywania szat. Ponieważ i do redakcji „Odgłosów” napłynęły listy i protesty, postanowiliśmy przedstawić Czytelnikom głosy za i przeciw, przytoczyć argumenty i pokazać emocje. Na końcu tej prezentacji przedstawimy i nasze zdanie.

O co chodzi?
O projekt budowy stacji klimatycznej w Bieszczadach. Na początku proponujemy zapoznać się z jednym protestem i obszernymi fragmentami listu.

LIST OTWARTY ŁÓDZKIEJ GRUPY EKOLOGICZNO-POKOJOWEJ „WOLĘ BYĆ”

W związku z propagowaniem przez Krakowski Ośrodek Telewizji projektu budowy „Stacji klimatycznej” wyrażamy sprzeciw wobec tak pojmowanego zagospodarowania turystycznego Bieszczad. Projekt przewiduje budowę hoteli trzy- i czterogwiazdkowych, restauracji, barów szybkiej obsługi, basenów krytych i otwartych z sauną. Ponadto projektuje się sale gimnastyczne, boiska do gier, korty tenisowe i lodowiska.

Dla narciarzy co najmniej cztery trasy o różnym stopniu trudności, w tym trasa główna oświetlona z możliwością sztucznego zaświecania. Wyciąg kabinowy wywożący do dwóch tysięcy osób na godzinę itp.

Bieszczady są jednym z nielicznych, jeszcze nie zniszczonych terenów kraju, gdzie występują niespotykane od dawna w wielkości Polski gatunki zwierząt i roślin. Tak jak Wawel jest dziedzictwem kultury Narodu, tak są Bieszczady dziedzictwem przyrody. Tym, którzy starają się przeformułować pomysł budowy „Stacji klimatycznej” można zaproponować o wiele prostsze rozwiązanie. Po co budować tak daleko, gdzie dojazd paskudny? Wszak i pod Wawelem jest góra, a w zamku można saunę i hotel urządzić. Urzeczywistnienie w Bieszczadach tak pomyślanej „Stacji klimatycznej” doprowadzi (wskutek zabudowy cennych przyrodniczo terenów i wielkiego naporu wczasowiczów) do nieubytkowej dewastacji tego zakątka kraju. Najlepszym tego przykładem są rozjeżdżone i rozdeptane Tatry. Lobby narciarskie potrzebuje najwyższych, a więc najcenniejszych partii gór.

Część inwestycji ma być zlokalizowana na terenie i w bezpośrednim sąsiedztwie Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Znaczącą rolę w tych zakusach na Bieszczady odgrywają motywy finansowe. Mówi się wprost o „złotodajnej kurze”. Oby tylko się nie okazało, że kura znieśie kukulnicze jajo.

Są jeszcze Bieszczady oazą spokoju i nie skażonej przyrody, gdzie rokrocznie dziesiątki tysięcy harcerzy, studentów i turystów kwalifikowanych przybywa na spotkanie z przyrodą. Czy funkcje wychowawcze i zdrowotne, jakie niesie ze sobą kontakt z naturą, mogą być zastąpione przez hotele i bary szybkiej obsługi? Czy choć raz nie możemy być mądrzy przed szkodą?

List ten skierowano do Krakowskiego Ośrodka Telewizji Polskiej a jego odpisy przesłano do: ZG PTTK, redakcji pism: „Na Przelań”, „Polityka” i „Odgłosy”. Do listu dołączono Post Scriptum:

W programie „Kolorowy zawrót głowy”, w którym propaguje się ten obłądny pomysł, coraz to którzy z prowadzących zachłystuje się, ile też przyszło listów popiera-



Rys. Janusz Szymański-Głone

Pierworodny zginął w jenieckim obozie. Życie drugiemu zmarnowali przypochlebcy i... weseli Gruzini.

Tragiczny los synów Józefa Stalina

JAN BABIŃSKI

Prócz córki Swietłany, Józef Stalin miał dwóch synów. Jaszę z pierwszego małżeństwa z Jekatieriną Swandze i Wassiliją, z drugiego małżeństwa z Nadią Allilujewą. Jekatierina odeszła w 1908 r. wskutek porodowych powikłań. Nadię popełniła w 1932 r. samobójstwo. Na jej moskiewskiej mogile i dziś jeszcze palą się nieprzerwanie świece i leżą zawsze świeże wiązanki kwiatów. Jej kult wciąż jest żywy. Stała się wszak prawdziwą męczennicą, znoszącą przez tyle lat wszystkie zniewagi i grubiaństwa despoty.

Jasza Dżugaszwili spędził dzieciństwo z dala od ojca. Wychowywała go gruzińska ciotka w Tbilisi. Wassilij Dżugaszwili nie opuszczał Moskwy.

Gdy Jasza podrośł, za namową dziadka przeniósł się do Moskwy i podjął tam studia techniczne. Nigdy nie czuł się w Moskwie jak u siebie w domu. Rosyjskiego nie znał. Upłynęły lata, nim opanował ten język w miarę poprawnie. Gruzinińskiego akcentu nigdy pozbyć się nie zdołał. Jego nieco skośne, kaukaskie oczy, przypominały ojca. Na tym wszelako podobieństwo się kończyło. Józef Dżugaszwili Stalin nie cierpiał pierworodnego. Odnosił się doń zimno i niesprawiedliwie. Traktował jak pariasa.

Zresztą nigdy za rodziną nie przepadał. Jedyną kobietą, którą naprawdę kochał była Swandze. Jej śmierć przeżył głęboko. Miał troje dzieci, lecz tylko córkę Swietlanę darzył uczuciem, które by można było określić jako ojcowskie. Ale też Swietłana wybijała się zdolnościami. Uczyła się łatwo i szybko. Już w Moskwie przyswoiła sobie biegłą znajomość kilku obcych języków.

Kulisy rodzinnego życia na Kremlu, ukryte przed oczami innych, odsłoniła właśnie Swietłana.

Po ucieczce z ambasady radzieckiej w Delhi amerykańskim samolotem wojskowym do Stanów Zjednoczonych, opublikowała wspomnieniowe „Dwa lata” pism k drugu”. Książkę przetłumaczono na wiele języków. W 1987 r. uchodziła na księgarskim rynku Zachodu za bestseller. Po latach, Swietłana nekana rosnącą nostalgia za ojczystym krajem, do Moskwy powróciła. Nie na długo. Ulegając namowom córki, która w żaden sposób nie umiała się w Moskwie zadowolić, znów wyjechała na Zachód. Tym razem na stałe.

Swietłana Allilujewa wspomina:

„Ojciec zachowywał się wobec starszego syna jak despot. Jasza był tym zrozpaczony. Kiedyś, pod wpływem żalu i desperacji, próbował targnąć się na życie. Strzelił do siebie w kuchni naszego mieszkania na Kremlu. Na szczęście kula ominęła serce. Ojciec skomentował to jakieś tragiczne wydarzenie szyderczym jedynie sarkazmem. Proszę, nawet założyć się nie potrafił. Od tej chwili stał się wobec Jaszy jeszcze bardziej okrutny...”

Po kilku tygodniach Jasza opuścił szpital, udał się do Leningradu i zamieszkał u dziadka, Siergieja Allilujewa. Pracował tam w elektrowni jako inżynier. Kiedy chmury nad jego głową nieco się rozwiały, przybył ponownie do Moskwy. W 1935 r. zaczął studiować w Akademii Wojskowej. Niebawem zakochał się w Julii, żmiejnej Żydówce, kobiecie wyjątkowej urody. Po jakimś czasie Julia wzięła rozwód i Jasza ją poślubił. Małżeństwo okazało się szczęśliwe. Józef Sta-

lin nie krył atoli niezadowolenia. Żydówka? Dlaczego? Kto ją Jaszy podsunął?

Swietłana Allilujewa przypomina:

„Jasza niekiedy do nas zaglądał. Bywało, że na Kremlu jadł z nami obiad. Siedział przy stole jak milczek, bojąc się otworzyć usta, żeby nie narazić się ojcu. Nigdy nie odzywał się słowem. Nie wyczuwało się żadnej psychicznej więzi między nim a ojcem. Byli to dwaj całkowicie obcy sobie ludzie. Jasza napomknął kiedyś, że ojciec nawet w domu mówił, jakby formułował jakieś tezy na ważną naradę. Ojca natomiast trytowała łagodność Jaszy, jego spokój i powściągliwość...”

Kiedy wybuchła wojna z Niemcami, Jasza był już zawodowym oficerem. Razem z nim wyjechał do rejonu przygranicznego. Nie podjął żadnych starań, by gdzieś zadekować się na tyłach, z dala od frontowego piekła. Być może orientował się, że skutku pozytywnego i tak to by nie odniosło. Łodowaty stosunek Józefa Stalina do syna był w kołach wojskowych szeroko znany. Nikt z generałów nie powątpiewał na wyświadczenie młodemu oficerowi najmniejszej choćby przysługi.

Jasza trafił ze swym batalionem od razu pod Baranowicze, gdzie toczyły się już bezlitosne walki. Raptiem słuch po nim zaginął.

Tak do tego nawiązuje Swietłana Allilujewa:

„Najbardziej nas niepokoiło, że nie mieliśmy od Jaszy żadnych wieści. Zdecydowałam się wobec tego zadzwonić do ojca. Obok mnie znalazła się wtedy Julia. Była zdenerwowana i napięta do ostatnich granic. Ojciec, ważąc każde słowo, poinformował mnie, że Jasza wpadł w ręce wroga. Słuchaj, w żadnym razie nie powiadamiaj o tym Julii, rozumiesz? Naszły go mianowicie podejrzenia. Przypuszczał, że ktoś może zdradził i wydał Niemcom. Jesienią 1941 r. Julię aresztowano. Przesiedziała w więzieniu do wiosny 1943 r. Dopiero wtedy ojciec zrozumiał, że Julia nie ma nic wspólnego z pochwyceniem Jaszy przez wroga. Zachowanie się Jaszy w lagrze udawało, że nie oddał się do niewoli celowo i że nikt go do tego nie nakłonił. Jesienią 1941 r. lotnicy niemieccy zrzucałi na Moskwę ułotki ze zdjęciem Jaszy. Na fotografii był blady, wymięrowany, w bluzie tylko, bez pasa i kołnierzyka. Przeglądaliśmy się w domu fotografii z największą uwagą w nadziei, że zdjęcie jest może podrobione. Ale nie, to był Jasza, nie mogliśmy się mylić...”

Hitlerowcy zaprzęgnowali Józefowi Stalinowi wymianę syna na jednego z jeńców niemieckich. Stalin bił się długo z myślami. Wymiana byłaby mu w istocie rzeczą na rekę. Obawiał się, że Adolf Hitler zechce, być może, wykorzystać Jaszę do celów propagandowych. Taka groźba była realna. Hitler wolał jednak nie stwarzać precedensów. Broń była obosieczna, Moskwa mogłaby do niej również się uciec. Dość, że Jasza nigdy nie złożył żadnych publicznych oświadczeń. Tak więc po namyśle Józef Stalin propozycję odrzucił.

Wojna to wojna, stwierdził łodowatym tonem i kwestie przetrwania raz na zawsze. Pragnął przypuszczalnie pokazać, już nie wiadomo po raz który, że jest nieugięty, doprawdy kimś ze stali. Wrócił do sprawy w

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,

32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz

Włodkowski.

Zastępca redaktora

naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz

Kierownik działu:

literackiego: Henryk

Pustkowski

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorczyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Andrzej

Karolczak,

Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wrońska,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białejewski,

Marek Brzeziński (Londyn)

Bohdan Gadomski,

Andrzej Gębarowski,

Grzegorz Gazda, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasył

Kocznów (Iwanowo),

Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasewicz, Karol J.

Stryjski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa-

Książka-Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-

zamówionych rekwizytów i zastrze-

ga sobie prawo do skrótów. Za

treść ogłoszeń redakcja nie od-

powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy —

zlokalizowane w miastach woje-

wódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— instytucje i zakłady pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” op-

łacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 2.

Dla indywidualnych prenumera-

torów — osoby fizyczne zamiesz-

kałe na wsi i miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzęd-

ach pocztowych i u doręczycieli.

Osoby fizyczne zamieszkałe

w miastach — siedzibach Od-

działów RSW „Prasa — Książ-

ka — Ruch” opłacają prenume-

Przegląd prasy

Postulat ewentualnego powo-
łania czwartej partii w naszym
kraju zgłosił podczas dyskusji
redakcyjnej w miesięczniku
„WIES WSPÓŁCZESNA” (nr 1)
prof. dr hab. Jerzy Wiater z In-
stytutu Socjologii Uniwersytetu
Warszawskiego. Partia ta sku-
piłaby ludzi inspirowanych
myślą niesocjalistyczną, ale pa-
tryotyczną, najchętniej doktryną
Kościoła. W obecnej koalicji nie
mogą oni w zasadzie znaleźć
miejsc dla swej aktywności.

„Moja prognoza co do przy-
szłości jest taka, że przy do-
brym biegu wydarzeń — jeżeli
nie nastąpi załamanie ekono-
miczne, jeżeli nie nastąpi jakiś
tęgi polityczny w sferze de-
mokratyzacji i respektowania
praw człowieka, jeżeli nie na-
stąpi jakieś gwałtowne powi-
klenie sytuacji międzynarodowej
— radykalna, uroga nam
opozycja będzie traciła wpływy,
tak jak traci wpływy w ciągu
ostatnich sześciu lat. Tracenie
przez nią wpływów nie oznacza
jednak zwiększania się bezpo-
średnio w tej samej proporcji
siły ugrupowań wchodzących w
skład koalicji socjalistycznej.
Ludzie opuszczający szeregi ra-
dykalnej opozycji przenoszą się
na ten właśnie teren pośredni,
który jest niedostatecznie zo-
rganizowany. (...) Zdaje sobie
sprawę z ogromnych komplikacji,
które by wtedy powstały, i uważa,
że byłoby to komplikacje w zna-
cznie mniejszym stopniu dla PZPR niż dla nie-
których innych członków koo-
licji obecnie sprawujących wła-
dzę. Jak np. w razie pojawienia
się takiej partii wypłdaby
sytuacja trzech niezbyt wiel-
kich, ale przecież zasłużonych
dla naszego rozwoju politycznego
stowarzyszeń chrześcijań-
skich? (...) Myślę, że niezależnie
od wszystkich oporów powinno
się działać w kierunku rozsze-
rzenia koalicji, ponieważ w grę
wchodzi interes znacznie wyż-
szej rangi niż interes którejkol-
wiek partii politycznej. Jest to
całkiem zwyciężający interes pa-
ństwa, interes narodu, który nie
może się zdrowo rozwijać wtedy,
gdy znaczna część obywa-
teli nie znajduje dla siebie miej-
sca w ramach systemu politycz-
nego. Taka sytuacja nie jest
zdrowa i powoduje, że co pe-
wien czas potykamy się o prze-
szkody, które urastają do rangi
większej, niż to na pozór
się wydawało. W ten sposób
państwo funkcjonować bezkar-
nie nie może. Wobec tego z
punktu widzenia interesów Pol-
ski tego rodzaju rozbudowa sy-
stemu koalicyjnego jest nie-
zbędna i leży ona w interesie ca-
łej rządzącej koalicji”.

AKTUALNY UKŁAD SIŁ

Politolog z Instytutu Nauk
Politycznych UW, doc. dr hab.
Stanisław Gebethner zauważył,
że pogorszyła się kondycja Pol-
skiej Zjednoczonej Partii Ro-
botniczej. Poważnego szwanku
doznał jej autorytet. Poza tym
osiągnęła PZPR niemal całkow-
itą wymianę aktywów kierowni-
czego na szczeblu lokalnym,
która nastąpiła w latach 1980-
-81.

W lepszej sytuacji jest Zje-
dnoczone Stronnictwo Ludowe.
Pod względem zaufania lokuje
się najwyżej wśród partii poli-
tycznych. Ma doświadczony ak-
tywny terenowy. W gminach od-
dzyskuje ZSL równowagę liczebną
i zdobywa pozycję autentycz-
nego reprezentanta środowiska.
Nie można tego powiedzieć o
trzecim partnerze koalicji.

„Stronnictwo Demokratyczne
nadal jest partią «samych stie-
bie». Inna też jest tam rekrui-
tacja. Do SD chronią się ludzie
przed finansowymi domiarami
czyli w celu uzyskania dodatko-
wych przydziałów surowców —
np. ziemie, inna tam jest inna
baza społeczna i inne motywa-
cje do występowania. Z drugiej
strony SD było mniej lojalne w
stosunku do PZPR w okresie
1980-1981. Te konflikty między
«dotłem» a «górką» w SD są
powszechne, znane, ale to wy-
nika także z dużej presji ukła-
du «prosolidarnościowego»
w SD. I to w pewnym stopniu
odróżnia SD od ZSL”.

Zdaniem wiceprezesa PAN,
prof. dr hab. Władysława Mar-
kiewicza, propozycja utworzenia
w Polsce czwartej partii jest
dziś nierealistyczna i zawiera
poważne niebezpieczeństwo.
Partia skupiająca głównie ele-
menty opozycyjne urosłaby w

obecnej sytuacji do podsta-
wej siły politycznej.
W odpowiedzi Jerzy Wiater
przypomniał, że nie jest to propo-
zycja na dzień dzisiejszy. Nie
zgodził się jednak z poglądem,
że nowa partia zagroziłaby kie-
rowniczej roli PZPR. Powinno-
my przełamać pewne tabu my-
ślowe, przekroczyć granice re-
formatorskiej wyobraźni i jak
najbardziej przedyskutować
sprawę. Można to było zrobić
jesienią 1987 roku (przed refe-
rendum).

OBAWY I NADZIEJE

W listopadowym referendum
nie wziął udziału m.in. felieto-
nista Kisel. Na ostatniej stroni-
ce „TYGODNIKA POWSZECH-
NEGO” (nr 11) wyjaśnia, że po-
stał tak z czterdziestoletniej
zasady, a poza tym nie rozu-
miał i nadal nie rozumie o co
chodziło. W ogóle nie pojmuję,
co się dzisiaj w Polsce dzieje.
Ale za to ma niezawodny nos.
„A nos nie omylił mnie nig-
dy, nos mi dziś mówi, że Oj-
czyzna nasza stoi przed groź-
nym, wręcz tragicznym zakre-
tem, że chaos, absurd i dziw-
actwo absolutnie przekroczyły
wszelkie granice i że nasz los
tu, na Wschodzie (bo tu jesteśmy
i tu zostaniemy) decyduje
się teraz, gdy okaże się, czy-
my światu potrzebni, czy nie.
A dzisiejszy świat żąda nie tyl-
ko polityki, on się domaga NO-
WEJ GOSPODARKI. Zaś do tego
potrzeba nowych ludzi ma-
jących nową koncepcję syste-
mu gospodarki, taktyki”.

Z comiesięcznego raportu
GUS o stanie gospodarki wy-
nika, że pierwsze miesiące
1988 roku możemy zaliczyć do
udanych. Wzrosła produkcja
przemysłowa. Większy był skup
żywności i mleka. Oddano do u-
żytku więcej mieszkań. Pieniądzy
mamy też więcej, ale bez po-
krycia w towarach — stwierdza
komentator „TRYBUNY ŁUDU”
(nr 63) Jan Markusz. I podaje
niepokojące liczby.

„W samym tylko lutym wy-
nagrodzenia miesięczne w pię-
ciu podstawowych działach gos-
podarki wzrosły do blisko 49
tys. złotych, o ponad 92 pro-
cent. (...) Wygląda więc na to,
że w wielu przedsiębiorstwach
wciąż forsuje się podwyżki wy-
nagrodzeń w oderwaniu od re-
eczywistych efektów produkcyj-
no-ekonomicznych oraz rezulta-
tów pracy poszczególnych pra-
cowników”.

W okresie styczeń-luty prze-
ciętne wynagrodzenie miesięczne
w przemyśle, budownictwie,
transportie, łączności i handlu
(bez wypłat z zysku do podzia-
łu oraz z nadwyżki bilansowej
w spółdzielniach) było większe
o 44,6 proc. niż w analogicznym
okresie ubiegłego roku. Natomiast
przeciętna emerytura i renta
była wyższa o 51 proc.

Szansa dla naszego kraju jest
rozwoj przedsiębiorczości. Coraz
częściej pojawiają się ciekawe
inicjatywy. Zygmunta Szeliga
przedstawił w „POLITYCE” (nr
11) własny projekt ustawy o
przedsiębiorczości. Nie wierzy
bowiem, że w trybach biuro-
kratycznej maszyny powstanie
szybko i zrozumiały dla każdego
akt prawny. A czas ucieka.

W tygodniku „WPROST” (nr
12) Witold Zaraska — dyrektor
naczelny Przedsiębiorstwa Eks-
portu Usług Technicznych „Ex-
bud-Kielce” — w rozmowie z
Leszkiem Czajorem podkreśla,
że do przedsiębiorczości nie
trzeba zachęcać ludzi. Wystar-
czy informować, jakie stworzo-
no warunki. W sprzyjających
okolicznościach osoby przedsię-
wzięte same się zaktywizują.
Trzeba się tylko spieszyć i nie
odkładać decyzji.

„Bo dzisiaj nie powinno być
mowy o jutrze. Musi być naty-
chmiast i radykalnie. Radykal-
nie, jeżeli chodzi o działania e-
konomiczne. Kończy się na
przykład styczeń, a my nie wie-
my, jakie będą ekonomiczne re-
gulatory gry w tym roku. Nie wie-
my, jakie będą podatki, jakie
będą kształtowały płace, jak-
ie będą ulgi. Co się dzieje? Firmy
stoją i czekają. A czas ucieka”.

Pod względem gospodarności
i pracowitości przodowali kie-
dyś Wielkopolanie i Ślązacy.
Pod zaborem pruskim przejmowa-
no wzorce cywilizacyjne z
Niemiec i stosowano je jako o-
ręż w walce z germanizacją.
Ludność tych ziem miała po-
czucie wyższości oraz pogardę
wobec zacofanej Galicji i Kon-
gresówki.

ŚLĄSKI ETOS PRACY

W okresie międzywojennym
niejeden Ślązak był rozczaro-
wany państwowością polską.

Zabrakło pracy i chleba. W do-
datku osiedlający się tu Polacy
z innych stron nie potrafili su-
miennie i kompetentnie praco-
wać. Pejoratywnemu wizerun-
kowi przybrała przeciwności
wyidealizowany obraz tu-
ziemca. Przypomina o tym w
„MIESIĘCZNIKU LITERAC-
KIM” (nr 1) Maria Wąsowicz.

Po wojnie Górny Śląsk przy-
jął dużo imigrantów zza Bugi
i z Polski centralnej. Napłynęło
też sporo ludzi ze wsi. A wielu
Ślązaków wyjechało do Nie-
miec. Zmiany te spowodowały
załamanie śląskiego etosu pra-
cy. Spadła dyscyplina, obniżył
się poziom produkcji, pogorszy-
ły stosunki międzyludzkie. Po-
jawiała się olbrzymia fluktuacja
załóg przemysłowych.

„Migracje to tylko jeden z
czynników wpływających na
zmianę struktury górnośląskiej
klasy robotniczej. Drugim, rów-
nie istotnym, były przeobraże-
nia zachodzące w miejscowym
środowisku. Szeroka możliwość
awansu, jaką stworzyła Polska
Ludowa dla warstw plebejskich,
osłabiła, a z czasem mocno
zmniejszyła zjawisko «dziedzic-
zenia» zawodów. Wpłynęła na
to również mniejsza dystynkcja
rodzin górnośląskich, występu-
jąca po 1945 roku. Wielu do-
świadczonych pracowników
przeszło z pracy produkcyjnej
do administracji. Wzrósł udział
Górnoślązaków w zawodach in-
teligentnych. Możliwość awansu
społecznego sprawiła, że praca
fizyczna nie posiadała już tego
uroku co dawniej. Tak pod
wpływem imigrantów jak i
przeobrażeń w postawach miej-
scowego elementu doszło w
drugiej połowie lat 40-tych i w
pierwszej połowie lat 50-tych do
uchwytnego obniżenia presti-
żu zawodu górniczego. (...) W
wyniku napływu nowego ele-
mentu wśród załóg górniczych
nastąpił rozkład dawnych wię-
zi, zanik tradycyjnych rytua-
łów zawodowych, rozpręczenie
schematów hierarchii i dyscypli-
ny. Te procesy dezorganizacyjne
wpływały na efekty-
wność pracy”.

Od końca lat pięćdziesiątych
wzrosła atrakcyjność zawodu
górniczego. Ale niemożliwe już
było wykonywanie śląskiego e-
tosu pracy. Wciąż jednak funk-
cjonował tradycyjny stereotyp
Ślązaka jako bardzo dobrego
pracownika.

Istniał ponadto stereotyp, że
warunki życia na Śląsku są
lepsze niż przeciętnie w kraju.
Potwierdzały to wszelkie dane.
Obecnie zaś można udowodnić,
że jest zupełnie inaczej. W mie-
sięczniku „POLITYKA SPOŁE-
CZNA” (nr 2) Grażyna Szpor
wykazuje, że w województwie
katowickim wiele potrzeb ma-
terialnych zaspokaja się na po-
ziomie gorszym od ogólnokraj-
owego.

„Dla zapewnienia mieszkań-
com woj. katowickiego podob-
nych do istniejących w innych
województwach warunków mie-
szkaniowych i komunikacyj-
nych, analogicznego dostępu do
pomocy społecznej, podobnych
możliwości wypoczynku, nie
gorszego stanu zdrowia i ana-
logicznego poziomu korzystania
z wartości środowiska natural-
nego — potrzebne są działania
o szerszym niż przeciętny za-
kresie; bardziej intensywne, zło-
żone i kosztowne. W przeciwn-
ym razie występująca od lat
tendencja do pogarszania się —
w stosunku do średniej krajowej
— poziomu zaspokajania
materialnych potrzeb ludności
woj. katowickiego będzie się
pogłębiała”.

W nadchodzących miesiącach
i latach wiele musimy zmienić.
Niedobry jest nawet język, któ-
rym posługują się marksiści. W
miesięczniku „CZŁOWIEK I
ŚWIATOPOGLĄD” (nr 1) prof.
Marian Jurkowski mówi:
„Jeżeli chodzi o marksizm, to
niestety, operuje on językiem
schematu. Jest to naprawdę je-
zyk odstraszający. Dániken czę-
sto pisał: bzdury, ale w jaki
sposób on je pisał! I jest także
prawdą, że ludzie wolą czytać
o bzdurach, ale opisanych ład-
nie, niż o rzeczach mądrych, ale
przedstawianych nudnie. Nie-
dowład językowy jest jedną z
przyczyn nieatrakcyjności ide-
ologii i braku przekonania do
niej”.

JEZYK MARKSIZMU

W nadchodzących miesiącach
i latach wiele musimy zmienić.
Niedobry jest nawet język, któ-
rym posługują się marksiści. W
miesięczniku „CZŁOWIEK I
ŚWIATOPOGLĄD” (nr 1) prof.
Marian Jurkowski mówi:
„Jeżeli chodzi o marksizm, to
niestety, operuje on językiem
schematu. Jest to naprawdę je-
zyk odstraszający. Dániken czę-
sto pisał: bzdury, ale w jaki
sposób on je pisał! I jest także
prawdą, że ludzie wolą czytać
o bzdurach, ale opisanych ład-
nie, niż o rzeczach mądrych, ale
przedstawianych nudnie. Nie-
dowład językowy jest jedną z
przyczyn nieatrakcyjności ide-
ologii i braku przekonania do
niej”.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Lepsi i gorsi

Trochę za dużo rozmaitej prasy
musi pochłaniać dziennikarz,
żeby móc pamiętać — kto i gdzie
napisał jakąś rzecz wartą
uwagi i zastanowienia. Otóż niedawno,
w którymś z czasopism
(czytam je nieregularnie i «odrabiam»
jednorazowo pokazując ich
porcję) ktoś zwrócił uwagę na zamieszczony
w jednej z gazet
opis niezwykle hucznej i wystawnej studniówki,
na której mło-
dzie jednej ze stoletnich szkół
wystąpiła w specjalnie na tę
okazję kupionych czy uszytych kreacjach.
Ze smokami i tra-
kami, «panów» szły o lepsze balowe suknie
«pani», nasyte w re-
nomowanych domach mody.

Owych «panów» i «panie»
wziąłem w cudzysłów z całą preme-
dytacją, za mojej bowiem młodości,
w przedwojennych latach
gimnazjalnych, nie zyskiwał sobie
uznania i szacunku społecz-
ności uczniowskiej kolega, który
by wynosił się nad innych kosz-
townym strojem, wiedząc przecież,
jakim problemem dla bied-
niejszych jest sprawienie sobie
raz na parę lat szkolnego munda-
rka.

Toteż ci zamożniejsi, wywodzący
się przeważnie ze środowiska
wolnych zawodów i wykształconej
części warstwy urzędniczej
ogólnie mówiąc — z inteligencji,
bardzo się pilnowali, żeby
niezamożnych kolegów żadnymi
luksusami w oczy nie kluc-
kropowali się zezerać na przerwie
bulką z szynką wobec kolegi,
który miał pajdę chleba ledwo
czymś mażniętą, a ponadto ro-
nymi przemysłowymi sposobami
zabawiali tych biedniejszych
do swoich domów, np. na wspólne
odrabianie lekcji, żeby potem
zjeść z nimi wspólny posiłek,
co z reguły spotykało się z zachętą
rodziców.

Jest więc paradoksem, powiedziałbym
ponurym paradoksem,
że w porównaniu z ówczesnym
społeczeństwem kapitalistycznym
w naszym państwie socjalistycznym
bogactwo stało się jakoby
miernikiem osobistej wartości
i jakże często źródłem lekcewa-
żenia i pogardy tych, którym
się w życiu gorzej powiodło. I to
mimo faktu, że wówczas
pochodziło ono z dziedziczenia
lub wypracowane było dzięki
wysokim kwalifikacjom, gdy
dziś nieporównanie częściej
na drodze spekulacji i różnego
rodzaju «kombinatorstwa».

Skąd się to wzięło? Przypuszczam,
że gdyby odpowiedź na to
pytanie była dobrze znana
w kręgach, które z tytułu
swojej ideologii powinny być
wyczulone na wyższy system
wartości, jak socjalizm czy
chrześcijaństwo, spotkalibyśmy
się z szeroko zakrojonym
współdziałaniem wszystkich,
którzy te postawy do-
robkiewicowskiej arogancji i
pychy, niewrażliwości na
sytuację współobywatela i
blizniego uznają za groźne
dla moralności i kultury
narodowej.

Nie będę więc rozwodził się
nad młodymi ludźmi, dopiero
wchodzącymi w dorosłe życie,
którzy bezwładnie wymuszają
na biedniejszych kolegach,
żeby nacłagali swoich rodziców
na «wyżywianie się» z powodu
studniówki albo żeby jako
pariasi zrezygnowali z udziału
w niej. Nie dopuszczam też
myśli, że może istnieć u nas
szkoła, której elitarność
polegałaby nie na wybit-
nych uzdolnieniach uczniów,
lecz na przynależności do
burżuazji-biurokratycznej
«śmietanki», ufam bowiem,
że epoka dyktatorskiej «bananowej»
młodzieży minęła bezpowrotnie.

Korci mnie tylko próba
postawienia hipotezy, że
diagnozy tych i pokrewnych
zjawisk nowej obojętności i
mentalności, które od wielu
lat szerzą się w naszym
społeczeństwie, jak choćby
orgie pijanstwa i obżarstwa
z powodu pierwszej komu-
nii, przeciwko czemu, jako
swoego rodzaju grubemu ma-
terializmowi i pewnej postaci
neopoganstwa, występuje
podobno energicznie Kościół,
jak się zdaje, skutecznie.

Otóż za jedną z przyczyn
upadku etosu pracy i utraty
respektu dla talentów i
umiejętności oraz dla
wyższych umysłowych i
estetycznych potrzeb uważam
pauperyzację inteligencji,
zwłaszcza pauperyzację
względna — w stosunku do
warstwy burżuazji-biurokratycznej,
która swoje wewnętrzne
nieдостatki kompensuje sobie
prymitywnym kultem
posiadania. Chce mieć
nie tylko po to, żeby używać,
ale żeby umacniać się w
przekonaniu o swojej
«lepszości».

Nie wyobrażam sobie
socjalistycznej polityki
kulturalnej i w ogóle
najwyższego humanizmu,
który by nie brał pod uwagę
tych zagrożeń.

JERZY KWIECIŃSKI

W świątecznym numerze „Odgłosów”

— Polowa handlujących wywodzą się
ze średnich i wyższych
sfer społecznych, od magistrów
w górę. Część absolwentów
wyższych uczelni uprawiała
swoją niedzielną procedurę
dyktando i luną wstyd
na licach, reszta natomiast
nie krepowała się zupełnie
— reportaż ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

— Z lasu powoli wypelzają czołgi,
za nimi posuwali się żoł-
nierze w hełmach, idący
tak niedbale jak na spacerze
w niedzielne popołudnie.
W pobliżu wioski za stogami
ukrywali się Kalmu-
cy, ale kiedy ujrzeli czołgi
podnieśli ręce do góry i
wyszli, chwytając się
wciąż na nogach. Niekiedy
padali na kolana i prosili
o litość. Żołnierze radzieccy
podepłali jeńców bagnatami
— fragment powieści
JERZEGO KOSIŃSKIEGO
„Malowany ptak”.

— Jeśli widzimy, że ktoś
nie wypełnia swych obowiązków
i szkodzi innym, nie
znaczy to jeszcze, że jest
człowiekiem złym.
Najprawdopodobniej
ma słabą wolę i jest po-
 prostu podły... eseje
EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO
z cyklu „Oblicza szczęścia”.

— Jak Andrzej Wyszyński
prześluchiwał Nikołaja
Bucharina. Fragment
stenogramu jednego z
słynnych procesów
moskiewskich z 1938 roku
— tłumaczył i opracował
JERZY KWIECIŃSKI.

— Drobny, szczupły
mężczyzna, po pięćdziesiątce
jeszcze nie odzyskał
kondycji po tragicznym
wypadku. W swoim zakładzie
wśród ludzi wbił sobie
nóż w brzuch, chciał
popętnić harakiri.
Dlaczego? — odpowiedź
w reportażu TERESY
JERZYKOWSKIEJ.

— Chłapanina, śnieg z
deszczem, wiatrzyko. Łódź
robi się jakas zatechła
czarna i brudna. Jedziesz
szukać wiosny na Zdro-
wiu. Ale w Ogrodzie
Zoologicznym pusto i
cichu, ludzie nie chcą
oglądać zwierząt, a
zwierzęta ludzi —
reportaż RYSZARDA
BINKOWSKIEGO pt. «Horror
nad Łódką».

Naszej redakcyjnej koleżance
red. GRAŻYNI OLECHNOWICZ
najserdeczniejsze wyrazy współczucia z powodu śmierci
T E S C I A
składa ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW”

Publikujemy kolejny fragment — czwarty już — książki Andrzeja Werblana „Władysław Gomułka sekretarz generalny PPR”. Książka ukazuje się niebawem nakładem Wydawnictwa „Książka i Wiedza”. Kolejny fragment pochodzi z rozdziału „Od KRN do PKWN”. Tytuł fragmentu i śródtytuły pochodzą od redakcji. Ważniejsze przypisy zostały włączone do tekstu.

— Znamieniem dla stosunków PPR z emigracją oraz wydobywającym interesujące cechy polityki i charakteru Władysława Gomułka stał się dość drugorzędny w swej istocie incydent z tzw. bazą zaopatrzeniową — łącznością Leona Kasmana, zwaną przez niektórych historyków „grupą łącznikową Kasmana”. O genezie tej grupy — nie do końca jasnej — była już mowa. Miała ona na swym koncie niemało pozytywnych osiągnięć, stabilizowała łączność radiową i kurierską KC PPR z Moskwą, pomagała przetrwać do ZSRR delegację KRN itp. Z jej działalności wiązały się jednak liczne komplikacje, które były już dość szczegółowo omawiane na łamach „Życia Literackiego” oraz w książkach Mariana Malinow-

choć z protokołów Centralnego Biura Komunistów Polskich wynika, że również ono traktowało grupę Leona Kasmana jako instytucję, do której należy kierować pytania w sprawie sytuacji w kraju.

Próba podporządkowania grupy Leona Kasmana KC PPR.

Władysław Gomułka początkowo domagał się od Leona Kasmana podporządkowania jego grupy partii i nawet wystosował odpowiedni list do niego w imieniu KC PPR. Pisał w nim m. in.:

„Z chwilą gdy Wy wraz z oddziałem znaleźliście się na naszym terenie, traktujemy

terenowych działaczy. „Ponieważ znam Kasmana osobiście od dawna (i odwrotnie) zakazałem — wspominał — Moczarskiemu podejmowania próby odebrania siły oddziałowi Kasmana części automatów”. W końcu kwietnia 1944 r. udał się na Lubelszczyznę, dla rozpoznania sytuacji Ignacy Loga-Sowiński. Obszerne fragmenty jego realizacji z tej misji publikowało „Życie Literackie” w 1982 r. W długiej nocnej rozmowie Leon Kasman snuł przed Ignacym Loga-Sowińskim zupełnie oderwane od rzeczywistości i potracające o samobójczą fantazję propozycje w sprawie utworzenia w Polsce „partyzanckiego kraju” i przejścia KC PPR „na polowe warunki”, dzielił się podejrzeniami o prowokację ze strony Mieczysława Moczarskiego, rozważał możliwość likwidacji Mieczysława Moczarskiego. To wszystko zostało przez „Ignasia” zreferowane 5 maja 1944 r. na posiedzeniu KC PPR.

W archiwalnym zespole tzw. notatek protokolarnych Fran-

ciowskiego, jak też z uwagi na walory polityczne t. J.-go i jego przeszłość KC postanowił: wprowadzić t. J.-go w skład KC PPR z dniem dzisiejszym. KC przyznaje t. J.-mu wszystkie prawa członka KC, zręka się w stosunku do niego praw przysługujących kierownikowi partii dysponowania członkami partii na cały okres wypełniania przez niego poruczonego mu zadania”.

A więc propozycje daleko idące: przeniesienie Mieczysława Moczarskiego do uchylenia personalnych podstaw konfliktu, zgoda na realizację przez Leona Kasmana jego misji, ale złagodzenie jej nacechowanego nieufnością do KC PPR ostrą przez kooptację do KC. W sumie rozwiązanie odważne i niebanalne. Na posiedzeniu KC PPR podniósł się sprzeciw. Franciszek Jóźwiak i Bolesław Bierut oponowali przeciw przeniesieniu Mieczysława Moczarskiego, gdyż winnym konfliktu uważał raczej Leona Kasmana. Według relacji

Trzeba głośno mówić o wszystkim, co boli polskie rolnictwo.

Kongres nadziei

RYSZARD BINKOWSKI

Nie ulega wątpliwości, że w ostatnich latach jednym z najważniejszych wydarzeń politycznych w kraju — obok X Zjazdu PZPR i wizyty Papieża — był IX Kongres Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, którego największym dorobkiem stało się wypracowanie po raz pierwszy w dziejach ruchu ludowego trzech podstawowych dokumentów: deklaracji ideowej, programu i statutu. Treści zawarte w tych dokumentach podkreślają, że ZSL jest partią polityczną klasy chłopskiej, która zajmuje ważną pozycję w koalicyjnym systemie sprawowania władzy, dzięki czemu może uczestniczyć w rozwiązywaniu podstawowych problemów życia politycznego i społeczno-gospodarczego kraju.

Po IX Kongresie ZSL można było stwierdzić z satysfakcją, że najszybciej z kryzysu wychodzi rolnictwo, które z każdym rokiem zwiększało swoją produkcję zaspokajając podstawowe potrzeby żywnościowe ludności. Złożyło się na to wiele przyczyn, m.in. zapis konsultacyjny o trwałości indywidualnych gospodarstw rodzinnych, stabilność polityki rolnej podjęta na XI Wspólnym Plenum NK ZSL i KC PZPR, no i przede wszystkim wzmożona, ciężka praca samych rolników, zwiększone dostawy środków produkcji oraz sprzyjające warunki atmosferyczne.

Szkoro jednak jest tak dobrze, to czemu na wsi panuje dziś taka nerwowość i wzburzenie? Otóż chłopcy nie mają zastrzeżeń co do założeń wspólnej polityki rolnej. Denerwują ich jednak wypaczenia, potknięcia i niekonsekwencje. Pomiedzy ZSL i PZPR nie ma rozbieżności co do celów i założeń polityki rolnej. Nie znaczy to, że nie ma różnic poglądów, a dotyczą one przede wszystkim sposobu realizacji polityki rolnej.

Wydaje się, iż tym niezmiennie istotnym problemem, decydującym o naszej kondycji gospodarczej i samowystarczalności żywnościowej, powinien zająć się X Kongres ZSL, który będzie obradował w dniach 21—24 marca w Sali Kongresowej w Warszawie.

Województwo łódzkie jako zwarta aglomeracja ma specyficzne warunki rolnicze, ale spojrzenie z łódzkiego podwórka na sprawy wsi i rolnictwa nie jest wcale spojrzeniem zaściankowym, dotyczy bowiem także problemów ogólnopolskich. Potwierdza to kampania sprawozdawczo-wyborcza wojewódzkiej organizacji ZSL w kolach, zjazdach gminnych i dzielnicowych, wreszcie zjazd wojewódzki. Wniosków i postulatów było tyle, że czterech łódzkich przedstawicieli miało co do powiedzenia podczas obrad komisji kongresowej, na której opracowano projekt uchwały i tezy na X Kongres.

W zbieraniu materiałów ważną rolę odegrały zebrania otwarte w kolach, na których każdy mógł zgłaszać wnioski i postulaty pod adresem X Kongresu. Reszty dopełniły spotkania środowiskowe łódzkich delegatów. WK ZSL ma ich dziesięciu, w większości rolników i ogrodników. Wszyscy zabiorą głos podczas dyskusji w grupach problemowych. Jeden z delegatów wystąpi w obradach plenarnych. Będzie mówił o roli inteligencji w życiu Stronnictwa i kraju. Aby bowiem prestiż i znaczenie inteligencji wiejskiej osiągnęły właściwą rangę, należy szybko dążyć do wyrównania różnic w poziomie nauczania między wsią a miastem, do podnoszenia poziomu wiedzy i kwalifikacji kadry nauczycielskiej, objąć szczególną opieką młodzież studencką pochodzenia wiejskiego, tworząc jej korzystne warunki życia i pomagając w rozwiązywaniu jej spraw przez cały okres studiów.

W województwie łódzkim nadal brakuje mieszkań dla nau-czycieli i lekarzy, są trudności w zaopatrzeniu w wodę, gaz, brakuje telefonów, źle funkcjonuje komunikacja. Taka sytuacja ujemnie wpływa na sprawy kadrowe, bo młodzi inteligenci, których i tak jest mało, uciekają i ZSL nie może obsadzić stanowisk w administracji, przedsiębiorstwach rolnych i produkcyjnych dla rolnictwa. Bywa i tak, że „zielona” legitymacja dyskredytuje zamiast predestynować do objęcia stanowiska. A przecież o tym, kto jest lepszy, nie powinna decydować legitymacja, tylko zaradność, inteligencja, fachowość, przedsiębiorczość i zdolności inicjatywne.

Na początku roku ustalono odpowiednie ceny na płody rolne, które miały wyrównać straty wynikające ze wzrostu cen środków produkcji i podnieść o siedem punktów różnicę w parcie dochodów wsi i miasta. Wydaje się jednak, że zezwolono na zbyt dużą swobodę w ustalaniu cen przez przedsiębiorstwa i skutki tego są już widoczne. Równowaga została zachwiana, spadła opłacalność, gdyż niepokojąca stała się relacja cen środków produkcji, których i tak brakuje, oraz płodów rolnych. Ceny na środki produkcji gwałtownie rosną, w związku z czym chyba trzeba będzie podnieść ceny skupu. Jednocześnie w zakładach pracy — jeszcze wprawdzie nielicznych, ale za nimi mogą pójść inne — podnosi w znacznym stopniu płace, co absolutnie nie ma pokrycia we wzroście produkcji. Grozi to wzrostem inflacji i zachwianiem realizacji programu II etapu reformy. Problem ten musi być wnikliwie rozpatrzony na X Kongresie, który dla optymistów może się stać kongresem nadziei na uzdrowienie polskiego rolnictwa, poprawę warunków społecznych wsi, rozwój kultury i oświaty itp.

Jest sprawa oczywista, że jedna uchwała Kongresu niczego nie załatwi. Niemniej jednak trzeba głośno mówić o wszystkim, co boli polskie rolnictwo. O wzroście nakładów na przetwórstwo i bazę przechowalniczą, aby nie marnowało się nic, co urodziła ziemia. I o tym, że skoro rolnik — w przeciwnieństwie do fabryk — sprzedaje na skupie swoje produkty tylko po cenach umownych, to trzeba zlikwidować monopol w skupie, żeby mógł się umawiać co do ceny z tym, co lepiej zapłaci. A gdyby tak wyeliminować przepisy hamujące rozwój usług na wsi, gdyby mogły powstawać tam liczne zakłady przetwórcze, w tym i prywatne, to rolnik mógłby odstawić żywiec po korzystnej cenie np. do prywatnej masarni. Transport coraz droższy, a w ten sposób żywiec nie jeździłby po kraju, a na miejscu byłoby pod dostatkiem mięsa i wyrobów wędliniarskich.

Problemem ogólnopolskim stało się urealnienie zbyt niskich rent i emerytur rolniczych oraz wolny obrót ziemią, tzn. aby stary rolnik mógł sprzedać gospodarstwo bez obawy, że nie otrzyma emerytury. Problemem lokalnym i zarazem ogólnopolskim jest los małych gospodarstw, dla których np. potrzebne są lekkie, małe maszyny.

Alle najważniejsze jest to, aby wreszcie gospodarstwo chłopskie zaczęło się liczyć od 1 ha wzyżej, a nie od 50 arów. Dotyczy to w szczególności obrzeży Łodzi. Kto ma działkę do 50 a, otrzymuje węgiel według powierzchni mieszkalnej. Kto zaś ma 51 a, ten otrzymuje przydział węgla dla produkcji zwierzęcej. A ponieważ w drobnych gospodarstwach przeważa produkcja roślinna, właściciele otrzymują tylko trochę węgla na cele bytowe.

Jeśli masz 51 a, ZUS obciąża cię takimi opłatami za każdego członka rodziny jak właściciela 50 hektarów. Właścicielami tych małych działek są przede wszystkim dwuzarodkowy, którzy zawsze decydują się na wyższą emeryturę, wypracowaną w macierzystej fabryce. Ale przez lata placą składki na emeryturę rolniczą, z której potem nie korzystają.

Nie myślę, żeby Kongres miał się zajmować kłopotami rolników z Chocianowic, którym zaczyna dokuczać rzeka Ner. Ale melioracja to już nie tylko problem łódzki. Przedsiębiorstwo melioracyjne z Konstancynowa pragnęło wykorzystać łagodną zimę zamierzało wykonać sporo prac melioracyjnych, ale nie miało paliwa, a dobrowolnie przydział z puli naczelników gmin stanowiły zaledwie krople w morzu potrzeb. Przedsiębiorstwo mogłoby w marcu meliorować, gdy pola są puste, ale centralny przydział paliwa otrzyma chyba dopiero na zniwa.

W Moskwie sądzono, że nie istnieje już w Polsce kierownictwo PPR. Jak narodził się konflikt między grupą Leona Kasmana i Mieczysławem Moczarem?

Po co do Polski wysłano grupę Leona Kasmana?

ANDRZEJ WERBLAN



Mieczysław Moczarski



Ignacy Loga-Sowiński

skiego i Ryszarda Nazarewicz.

Leon Kasman („Janowski”) w liście do „Życia Literackiego” pomniejszał wyraźnie swoją misję i nie o wszystkim pisał. Nieco więcej napisał w liście do Biura Politycznego KC PPR jesienią 1945 r. Jeśli nawet przyjąć jego wersję, że Georgi Dymitrow, w obawie iż aresztowanie Pawła Findera oznaczałoby rozbitcie KC PPR, polecił mu wyjaśnić przyczyny wyspy i utworzyć trzy niezależne ośrodki regionalnego sterowania pracą PPR i GL, nie podejmując próby odbudowania centrum, to nie sposób zinterpretować taki zamiar inaczej niż jako rezygnację z krajowego umiejscowienia kierownictwa partii i przeniesienie ośrodka dyspozycji centralnej na emigrację. Byłby to powrót do struktury KPP.

Gdy okazało się, że KC PPR działa, funkcje grupy Leona Kasmana miały sprowadzić się do zapewnienia łączności oraz przetrwania ludzi i broni. Ale jeśli tak, to nie nie stało na przeszkodzie, aby całe przedsięwzięcie podporządkować KC PPR. Ponieważ grupa Leona Kasmana działała na Lubelszczyźnie, regionalne kierownictwo PPR i AL domagało się takiego podporządkowania. Grupa dysponowała pewnymi zasobami broni i sprzętu, co w niezwykle trudnej sytuacji AL budziło wręcz złość i zawiść. Na tym też dochodziło do ostrych zatargów i aktów gwałtu między dowódcą lubelskiego obwodu AL, Mieczysławem Moczarem, a Leonem Kasmanem.

Leon Kasman nawet po latach nie przytoczył żadnych rzeczowych argumentów na stanowczą odmowę współpracy z lokalnymi organizacjami PPR i AL oraz podporządkowania się KC PPR. Powoływał się jedynie na instrukcję Georgi Dymitrowa, którego był podwładnym. Trzeba mu wierzyć,

Was jako podległych KC partii przez kierownictwo obwodu. Samodzielność jednostki lub grupy uznajemy tylko w wypadku specjalnego zalecenia. Ponieważ takiego zalecenia od nas nie otrzymaliśmy, uważamy Was za podporządkowanych organizacji i używamy do tego (...). Wszelką akcję o charakterze politycznym — a do tej zaliczamy również dysponowanie bronią nadesłaną lub pobieraną decyzją, czy broni jest potrzebna lub nie — która by mogła być lub jest prowadzona przez Was bez uzgodnienia z nami lub naszym kierownictwem obwodowym, musimy my traktować jako tworzenie drugiego ośrodka dyspozycyjnego w kraju i w zależności od stanowiska ośrodka zewnętrznego odpowiednio do tego ustosunkować się. O tym szczególnie prosimy powiadomić T.D. (...).

Później dopiero Władysław Gomułka zaczyna domyślać się, że upór Leona Kasmana musi wynikać z poważniejszych powodów, których tamten nie chce lub nie może wyjawiać. Zadanie Leona Kasmana — według opinii Władysława Gomułka i wyrażonej w wiele lat później — polegało na „zbieraniu informacji o sytuacji w kraju i przekazywaniu ich do Moskwy własną stacją nadawczo-odbiorczą”. Kasman postępował ściśle w myśl tych instrukcji, działał niezależnie, a nawet wbrew zaleceniom kierownictwa centralnego i obwodowego PPR. W tej sytuacji Władysław Gomułka wykazał wielką dojrzałość polityczną i opanowanie. Przedsiewzięcie Leona Kasmana uważał za błędne i świadczące o nieufności wobec kierownictwa PPR. Postanowił jednak nie dopuścić do konfliktu i znaleźć takie rozwiązanie, które uchroniłoby prestiż obu stron i zminimalizowało ujemne konsekwencje. Przede wszystkim pomarkował

cisza Jóźwiaka zachowały się zapiski z tego posiedzenia. Do ich autentyczności wrócimy przy innej okazji, ale wraz z nimi znajduje się odręczny projekt uchwały KC napisany przez Władysława Gomułkę. Jest to tekst znamienity.

Próba rozwiązania

Otóż mimo relacji Ignacego Loga-Sowińskiego Władysław Gomułka proponował stwierdzić, że:

„Uchwała KC partii z marca br. skierowana do partyjnego kierownictwa Obwodu II, jak też list KC partii z tej samej daty skierowany do t. J. („Janowskiego”) — Leona Kasmana — A.W.) dotycząca podporządkowania grupy t. J. kierownictwu partyjnemu o partię na sprawozdaniach ustnych i pisemnych kierownictwa partyjnego obwodu i na interpretacji listu t. J. skierowanego do sekretarza partii (...) Organizacja partyjna obwodu nie była upoważniona przez KC partii do stosowania jakichkolwiek środków gwałtu czy przymusu w stosunku do grupy t. J. dla podporządkowania jej partii. Przejawienie takich tendencji przez kierownictwo partyjne i wojskowe obwodu KC traktuje jako przekroczenie jego wskazań (...) KC partii postanawia: a) zdjąć t. M. („Mietka”) — Mieczysława Moczarskiego — A.W.) z obwodu II i przesłać na inny obwód dla wypełnienia obowiązków równorzędnych z funkcją t. M. wypełnianą na obwodzie II, b) delegować członka sztabu G.L. AL, t. G. („Grzegorz”) — Grzegorza Korczyńskiego — A.W.) na obwód II dla wypełnienia obowiązków Komendanta (...) Wychodząc z założenia, że specyficzny charakter misji t. J. ściśle i bezpośrednio jest związany z całokształtem pracy politycznej i wojskowej PPR i że nosi ona charakter przeję-

Ignacego Loga-Sowińskiego Franciszek Jóźwiak nawet proponował rozbrojenie grupy Leona Kasmana i wcielenie jej żołnierzy do różnych oddziałów AL.

„Zabrzmiło to — pisze Ignacy Loga-Sowiński — złowrogo, jako rozszerzenie konfliktu Kasman-Moczarski na konflikt KC PPR — Dymitrow — KC WK(b)”. Jednak Władysław Gomułka swoją propozycję w tej sprawie przeprowadził. Upadł natomiast wniosek kooptacji Leona Kasmana do KC PPR. Według notatek Franciszka Jóźwiaka sprzeciwili się temu on i Bolesław Bierut. Według relacji Ignacego Loga-Sowińskiego wszyscy członkowie KC PPR byli przeciwni.

Jest jeszcze relacja Władysława Gomułka. Poniżej on milczeniem sprzeciw Bolesława Bieruta, Franciszka Jóźwiaka i innych. Dysponował wtedy w KC PPR większością i na pewno mógłby przeprowadzić swój wniosek, jeśli nie na tym, to na kolejnym posiedzeniu. Rzecz w tym, że sam zmienił zdanie wskutek reakcji Leona Kasmana, świadczącej o zdumiewającej ciastocie horyzontów politycznych. Władysław Gomułka od lat znał Leona Kasmana i oczekiwał bardziej dojrzałej postawy. Zaproponował mu osobiste spotkanie w Warszawie. Ten zachował się arogancko.

„Odpowiedział, że mogę przyjechać do niego, zaś instrukcje, co ma robić w kraju, otrzymuję z Moskwy”. W tej sytuacji Gomułka machnął ręką na Kasmana, ale do konfliktu nie dopuścił i pozwolił sprawie rozwiązać się samej w momencie wyzwolenia. Kiedy we wrześniu 1944 r. spotkał się w Moskwie z Georgi Dymitrowem, zapytał go o polecenia, jakie otrzymał Leon Kasman. Georgi Dymitrow potwierdził, że postępował on „ściśle w myśl instrukcji”.

Taki właśnie był. Przez wiele jeszcze lat Władysław Gomułka w różny sposób współpracował z Leonem Kasmanem, jako członkiem KC PPR i PZPR, nie miał jednak zaufania do jego politycznej mądrości i charakteru. Ale też nigdy nie zrobił żadnego kroku, który miałby najmniejszy nawet posmak odwetu. W tym stosunku personalnym pozostał zawsze rzeczowy i sprawiedliwy. Bolesław Bierut natomiast i Franciszek Jóźwiak łączyła z Leonem Kasmanem przez długi czas przyjaźń polityczna. Wystąpili oni w maju 1944 r. przeciw niemu prawdopodobnie dlatego, że znajdowali się w zasadniczym sporze z Władysławem Gomułką w kwestii taktyki partii wobec Centralnego Komitetu Ludowego i chętnie sprzeciwiali się jego wnioskowi.

(Ostatni fragment książki Andrzeja Werblana pt. „Próby pozyskania socjalistów i ludowców” ukazuje się za dwa tygodnie).

jęcych projekt. Zrozumiałe jest, że ci, którzy są przeciwko, nie będą się układać w pomysłodawcy, stąd może tak nikła ilość listów, które nadeszły do Janusza Zielonackiego od przeciwników. Nie liczy się jakość, tylko ilość. Nie liczy się, że przeciwko temu pomysłowi wystąpił Zarząd Główny PTK. Nie liczy się Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Nie liczy się Zarząd Główny LOP ani Polski Klub Ekologiczny. Nie liczą się głosy naukowców. Wazniejszy jest parę tysięcy listów od indywidualnych narciarzy.

Otóż w niespełna dwa tygodnie zebraliśmy pod „Listem Otwartym” ponad tysiąc podpisów przeciwników „Stacji...”. Podpisywali się studenci, robotnicy, uczniowie szkół średnich, wykładowcy wyższych uczelni. Podpisy zostały dołączone do listu wysłanego do Krakowskiego Ośrodka Telewizji. Kserokopie są w naszym posiadaniu.

List w tej sprawie przysłał również MAREK JUSKIEWICZ. Zacytował on swój list:

KTO ULECZY ZAWRÓT GŁOWY?

Oto obszerne fragmenty tego listu:
W ostatnim czasie wiele emocji budzi zainicjowany przez Ośrodek TV w Krakowie plan budowy w Bieszczadach stacji klimatycznej. Plan ten — pod hasłem „Kolorowy Zawrót Głowy” — stał się przedmiotem ożywionej dyskusji w prasie, radiu i telewizji. To, że na ten temat wypowiadają się wszyscy, od zwykłych śmiertelników nie mających z narciarami nic wspólnego (ma to być głównie ośrodek narciarski), przez fachowców z różnych dziedzin (geologów, architektów), po organy administracji — świadczy o szerokim zainteresowaniu społeczeństwa tym programem. Janusz Zielonacki wyłożył m.in. założenia tego pomysłu w publikacjach: „Na śniegu można zarobić” (Polityka-Eksport-Import nr 8 z 20.02.1988) oraz „Kolorowy Zawrót Głowy” (Sportowiec nr 8 z dn. 23.02.1988). Jest on uważany za pomysłodawcę tego projektu. (...)

Janusz Zielonacki okazuje się być też gorącym bojownikiem o prawa narciarzy w Polsce (jeszcze jeden przyczynek do problemu dyskryminacji mniejszości w naszym kraju). Plan budowy pięciotysięcznego miasta w Bieszczadzkim Parku Narodowym uważany jest zapewne za genialny — przynajmniej w kręgach zbliżonych do redakcji sportowej TV, a Januszowi Zielonackiemu tak głęboko zapadł w serce, że nawet w korespondencjach z Igrzysk w Calgary raczył nas analizami porównawczymi stoków w Górach Skalistych z okolicami Wołosatego. Przy okazji należy zwrócić uwagę, że tereny rozgrywania olimpijskich konkurencji alpejskich już chyba tylko zwyczajowo noszą indiańską nazwę „miejsca, gdzie cicho szumi drzewa”, gdyż ogolone z lasu, poprzecinane trasami zjazdowymi stoki nie będą takich szkojarzeń.

Z publikacji w prasie oraz z programów krakowskiej telewizji znamy 5 propozycji lokalizacji stacji: Wołosate-Tarnica, Ustrzyki Górne-Wielkie, Rawka, Berezki-Polonina Caryńska, Brzegi Górne-Polonina Wetlińska lub Caryńska oraz Wetlina-Smerek. Trzy spośród pięciu propozycji mniej lub bardziej ingerują w stan posiadania Bieszczadzkiego Parku Narodowego, ale wobec planów rozszerzenia powierzchni Parku w najbliższym czasie wszystkie proponowane lokalizacje znajdują się całkowicie na terenie rezerwatu.

Czy taki obiekt miałby szansę powstania? Janusz Zielonacki uważa, że tak. Wiele osób podziela bezkrytycznie ten pogląd, ostrzegając się, aby jak najszybciej rozpocząć wycinanie bieszczadzkiego drzewa. Ale nie wystarczy szlachetna idea (nie jestem o jej słuszności przekonany), wspaniały plan — nawet fachowo opracowany, dobre chęci, wymagane zezwolenia, konieczne badania terenu, materiały budowlane oraz armia gotowych na wszystko ochotników. Potrzebny jest jeszcze jeden element, którego animatorem „Kolorowego Zawrotu Głowy” zabrał — potrzebne jest przede wszystkim myślenie. Trzeba zastanowić się, czy w obecnych warunkach stać nas na budowę takiego obiektu. Czy technologia, jakie posiadamy, czy wystarczające do budowy stacji odpowiadające wymaganiom ochrony środowiska i czy uda się pogodzić wymagania komfortu i realizację zadań stacji z warunkami ekonomicznymi?

Janusz Zielonacki uważa, że trzeba taki plan zrealizować tam, gdzie jeszcze nie popełniono błędów. Czy taka próba nie będzie właśnie największym błędem? Czy wolno nam ryzykować tworzenie sytuacji, w której następna próba nie będzie już możliwa? Doprowadziliśmy do śmierci Karkonoszy i katastrofy ekologicznej w Tatrach. Nie oszukujmy się. Bieszczady są ostatnią w Polsce enklawą czystej i żywej zieleni i świeżego powietrza.

Moim zdaniem pomysł jest nieprzemysłowy, żeby nie powiedzieć — absurdalny. Jak można być tak krótkowzrocznym? Przecież dla 5 tys. wczasowiczów nie wystarczy jeden hotel. Liczba osób obsługi podwoi się sumę i okaże się, że zamiast ośrodka wypoczynkowego zbudujemy dziesięciotysięczne miasto. Ten moloch nie będzie bynajmniej samowystarczalny. Trzeba będzie zapewnić transport, komunikację, zaopatrzenie dla części handlowej. A więc system szybkich dróg, parkingi, stacje benzynowe, myjnie, warsztaty. (...)

W „Polityce” Janusz Zielonacki napisał:
„Oglądając transmisję telewizyjną z wielkich zawodów narciarskich, będąc w wielu stacjach klimatycznych w Europie i USA upewniam się i na swój użytek twierdzę, że narciarstwo to wspaniały, kolorowy zawrót głowy, który mógłby stać się ważnym elementem polityki społecznej państwa i antidotum na trudne problemy powszedniego dnia”.

Otóż wiemy już, że Ministerstwo Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych nie podziela poglądu Janusza Zielonackiego. Ministerstwo wypowiedziało się przeciwko projektowi budowy stacji klimatycznej w Bieszczadzkim Parku Narodowym. (...)

Zostały opublikowane ponadto protesty Harcerskiego Klubu Turystycznego PTK „WYGA”, który działa przy Stolejczy Choraży LHP, a który za Sekcję Bieszczadzką podpisał: Zofia Wieluska, Lucyna Czerniawska, Przemysław Wierchowski, Jarosław Wadas oraz „List otwarty” dyrekcji i pracowników Bieszczadzkiego Parku Narodowego w Ustrzykach Górnych oraz Wschodniokarpackiego Koła Polskiego Klubu Ekologicznego. Ukazało się też sporo artykułów, felietonów i listów sprzeciwiających się idei budowy stacji klimatycznej w Bieszczadach. Ale zaczniemy może od początku.

GŁOS MA JANUSZ ZIELONACKI

z Krakowskiego Ośrodka TV, który stał się nie tylko rzecznikiem budowy stacji klimatycznej w Bieszczadach, ale propagując tę ideę w cyklu audycji „Kolorowy zawrót głowy” zebrał publicznie ciego za cały pomysł. W „Przeglądzie Tygodniowym” zaatakował go Jerzy Jurowski. Odpowiadając mu Janusz Zielonacki pisze — również w „Przeglądzie Tygodniowym”:

„W ciągu zaledwie 23 dni, od 5 do 28 stycznia, otrzymałem ponad tysiąc listów od około 3500 osób, 40 osób neguje naszą propozycję, argumentując swój stosunek w różny (...) sposób. Otrzymałem ponadto do tej pory około 350 listownych deklaracji wykupu akcji po 100—150 tysięcy zł od osób prywatnych. Zgłosiło się też 11 instytucji i przedsiębiorstw z deklaracją pomocy fachowej i finansowej”.

Zgłoszyły się więc między innymi: Naczelna Rada Adwokacka, która zadeklarowała „bezpłatną obsługę prawną przedsięwzięcia”, Bank w Sanoku, Instytut Ochrony Środowiska Politechniki Wrocławskiej, który przekazał bezpłatnie dokumentację oczyszczalni ścieków, Polskie Górnictwo i Gazownictwo, które chce bezpłatnie wywieźć szczyby dla wydobycia gazu ziemnego i doprowadzenia go do obiektów stacji klimatycznej, Politechnika Warszawska, „Budostal” z Krakowa, „Sanos” z Sanoka, SARP, który ma ogłosić ogólnopolski konkurs architektoniczny, FSM w Bielsku-Białej, WSK-PZL w Miechowie oraz wiele innych firm państwowych, polonijnych i prywatnych.

Co ma powstać w Bieszczadach?

Janusz Zielonacki tak to określa:
Jest to pomysł „zbudowania pierwszej w Polsce z prawdziwego zdarzenia całorocznej, ogólnodostępnej stacji klimatycznej w

Bieszczadach, gdzie obowiązować będzie moda na sport i aktywny wypoczynek”. Janusz Zielonacki zwraca uwagę na to określenie, gdyż wielu jego oponentów mówi tylko i wyłącznie o narciarstwie zjazdowym, ograniczając zadania stacji klimatycznej tylko do tego jednego. „Przed wszystkim — pisze — ma to być całoroczna stacja klimatyczna, a nie „ośrodek zjazdowego narciarstwa rekreacyjnego” — jak to nazwał Jerzy Jurkowski w „Przeglądzie Tygodniowym” i jak to nazywają inni oponenty — gdyż „stacja narciarska jest pojęciem czterokrotnie węższym, biorąc pod uwagę liczbę sezonów występujących w Polsce”.

U nas na ogół każdy słyszy lub czyta tylko to, co chce usłyszeć lub wyczytać. Stąd przeciwnicy budowy stacji klimatycznej w Bieszczadach zarzucają Januszowi Zielonackiemu, że jest tylko i wyłącznie reprezentantem „lobby narciarskiego”. Oczywiście nieporozumienie.

Dlaczego w Bieszczadach?

Janusz Zielonacki przypomina, że już mówił w programach telewizyjnych, dlaczego „nie da się tego zorganizować w Szczyrku, Korbielewie (...), u stóp masywu Piłska czy w Zakopanem”. Ponieważ argumentacja ta nie dotarła do oponentów lub ją całkowicie pominieli, autor „Kolorowego zawrotu głowy” przypomina. Tak więc:

1. „Szczyrk i Korbielewo zostały niemal całkowicie opanowane przez górników”, gdzie „górnictwo zrobiło wszystko dla siebie”, gdzie wprowadzić może jednocześnie 5000 narciarzy, „ale w Korbielewie jest tylko jeden, w dodatku zakładowy dom wczasowy, oczywiście górników na około 100 miejsc. Narciarzy przywozi się tam zakładowymi autokarami, najczęściej na soboty i niedziele”. Janusz Zielonacki przypomina też, że „każdy wyciąg ma dwa wejścia”, jedno dla górników, drugie dla pozostałych narciarzy.

2. Jak jest w Zakopanem — wszyscy wiemy. Ale myślę, że

Zniszczyć Bieszczady czy pozostać w zacofaniu?

warto zwrócić uwagę Czytelników na bardzo konkretny, dobrze udokumentowany artykuł Jerzego Kulczyńskiego „Pod Giewontem czy w Bieszczadach?” opublikowany w 11 numerze „Rzeczywistości”.

Jerzy Kulczycki prezentuje sytuację, jaka powstała w Zakopanem po podwyższeniu cen, co wcale nie jest tak wielką bagatelą. Według jego obliczeń — zapewne niekompletnych — jeden dzień pobytu narciarsza w Zakopanem kosztuje od 5000 zł minimum do 10 000 złotych i więcej, co już zależy od kieszeni i fantazji. Zakopane jest poza tym zadymione, zaniedbane, zagrożone, gdzie hurma wała ludzi na rzekomy odpoczynek, gdzie przywozi się dzieci na kolonie, jak by nie było w Polsce innych ośrodków mniej zagrożonych. O potrzebie ratowania Zakopanego mówi się i pisze od dawna, ale i na tym się poprzestaje.

Budowa więc stacji klimatycznej w Zakopanem byłaby nieporozumieniem, a jednocześnie wyrokiem śmierci na stolicę polskich Tatr.

3. Swego czasu lansowano w prasie — i nie tylko — koncepcję budowy „drugiego Zakopanego” w rejonie Śnieżnika. Autorami tej koncepcji byli: Andrzej Ziemiński, Ołaf Chmielewski, Bolesław Kubisz, Władysław Lechowicz. Szumu było wiele. Przypomniał sobie o tym Wiesław Sachs, który w „Kurierze Polskim” tak napisał:

„Jako że wspaniałe ta inwestycja była projektowana! Z jaką dokładnością zbadano teren, nasłonecznienie stoków, czas utrzymywania się śniegu. Zezwiedczono nawet niemal każde drzewo! Opracowano dosłownie wszystko. Wiele o tym pisano, mówiono. Potem nagle nadszedło milczenie. Ale projektanci długo jeszcze potajemnie pracowali nadal.”

Mielimy już zbudować „drugą Polskę”, była też idea zbudowania „drugiej Japonii”, zbudowania „drugiego Zakopanego”. I co? I nic. W tym miejscu wypada przedstawić Czytelnikom

KOMENTARZ NR 1

Nadszedł chyba czas, aby głęboko i publicznie zastanowić się nad modelem wypoczynku Polaków. W dalekiej przeszłości, którą wielu z nas zalicza już do historii najnowszej, jeździli po Polsce „wesole pociągi” i wozili ludzi na wymyślone przez ludową władzę wczas. Trzeba było wtedy — jak to opowiadają dziś emeryci — ludzi do tego zachęcać, agitować, a niekiedy nawet siłą wywozić. Było to bowiem czasy, kiedy lud nie tylko wszedł do śródmieścia, ale zaczynał jeździć na wczas do byłych kurortów.

Później wczas spowszedniał i nadszedł czas dzielenia jezior, rzek, gór i plaż morskich między polskie przedsiębiorstwa, które najpierw stawały tam „psie budki” zwane szumnie domkami campingowymi, a następnie zaczęły tam budować wielkie domy wczasowe. Górnicy sobie, hutnicy sobie, włókniarze sobie, papiernicy sobie, dziennikarze sobie i tak dalej. Mamy więc Polskę dookładnie podzieloną pomiędzy grupy zawodowe. Tylko oświata nic nie ma i w czasie wakacji lub ferii zamienia się szybko szkoły na domy wypoczynkowe dla kolonistów. Aby i dzieci mogły wypocząć.

Był też czas „wczasów pod gruszą” i czas wielkich hoteli, jak

choćby „Kasprowy” w Zakopanem i był też czas stawiania dach nad wolnymi jeszcze brzegami rzek, jezior, w lasach i na stokach gór i pagórków. A kto myśli o indywidualnym turystyce, któremu też należy się wypoczynek, a który ma przyswójliwe dziury w kieszeniach, zarabia mało i nie lubi spać pod namiotem, bo lata już nie te. Kto pomyśli o emerytach, którym za pracę i wysiłek dla kraju coś też się należy oprócz wczasów ulgowych w martwym sezonie. Jeśli więc dyskusja nad tym, czy zniszczyć Bieszczady przetrwała się w dyskusję o modelu wypoczynku w Polsce, to byłoby to niczym nie kwestionowany pożytek.

Ale powróćmy do „Kolorowego zawrotu głowy”. Otóż Janusz Zielonacki uparcie twierdzi, że stacja klimatyczna może powstać tylko w Bieszczadach, bo na przykład wokół Śnieżnika w województwie wałbrzyskim „usychają drzewa w wyniku zanieczyszczeń”. Niedawno Polska, CSRS i NRD zobowiązały się do wspólnych działań w celu ratowania lasów w Sudetach. Jak na razie porozumienie to pozostaje na papierze. A sprawa jest pilna.

BIESZCZADY MAJĄ SWOICH OBRONCÓW

Są też i zwolennicy budowania tam stacji klimatycznej. Przytoczmy jednak argumenty przeciwników. A więc budowa stacji klimatycznej w Bieszczadach spowoduje:

— „daleko posuniętą degradację środowiska”, nastąpi „zaburzenie stosunków hydrologicznych”, zanieczyszczenie potoków, obniżenie lustro wody,

— wzmożony ruch samochodów po Bieszczadzkiej Petli zatrąca powietrze, które obecnie jest najczystsze w Polsce,

— ruch w Bieszczadach wypłoszy zwierzę, a żyją tam zwierzęta, których nie spotyka się nigdzie indziej, nastąpi też zniszczenie nigdzie indziej nie występującej roślinności.

Zdaniem dyrekcji i pracowników Bieszczadzkiego Parku Narodowego w Ustrzykach Górnych oraz członków Wschodniokarpackiego Koła Polskiego Klubu Ekologicznego propozycja prezentowana przez Janusza Zielonackiego jest „jaskrawym przykładem ignorancji dla wartości nadrzędnych”, a zdaniem członków Harcerskiego Klubu Turystycznego „WYGA” mogła się zrodzić „jedynie w głowach ludzi zupełnie nie znających Bieszczadów”. Zarzuca Januszowi Zielonackiemu i innym pomysłodawcom najprzeróżniejsze grzechy, obrzuca ich wymysłami i wyzyskami.

„Niefrasobliwość w podejściu do tematu” — pisze w „Gazecie Krakowskiej” Tomasz Ordyk i to jest dość łagodne sformułowanie. Posadzono Janusza Zielonackiego o brak wyobraźni, bezzmysłowość, o gonienie za sławą kosztem rodzimej przyrody, o chęć wzbogacenia się, o obronę interesów narciarzy zjazdowych. Dyrekcja i pracownicy Bieszczadzkiego Parku Narodowego — co zauważył w „Polityce” Andrzej Mozolowski — przeraziła się 150 tysięcy ludzi, którzy rocznie bywają odwiedzają stację klimatyczną w Bieszczadach i wystąpił w obronę „ponad 500-tysięcznej rzeszy turystów odwiedzających rokrocznie Bieszczady”. A ta półmilionowa rzesza „turystów z plecakami” nie brudzi, hałasuje, niszczy, śmieci, zanieczyszcza?

W Polsce mamy niedobrą tradycję dyskutowania nie przy pomocy faktów i argumentów, ale przy pomocy inwektyw i demagogii. Jakże często w rozmowach pada określenie: „bez sensu”, które właściwie ucinia wszelką wymianę poglądów i zastępuje argumenty. Wystarczy popatrzeć na reprodukcję z „Polityką” mapę Bieszczad, aby zobaczyć, jak często demagogiczne i wydumane są rzekome argumenty.

„Popatrzcie na mapkę — pisze w „Polityce” Andrzej Mozolowski. — Bieszczady (polskie) ciągną się od Przełęczy Lupkowskiej aż po sam południowo-wschodni kraniec Polski. Są trzykrotnie dłuższe od Tatr (polskich). Cały ich pas wzdłuż granicy z Czechosłowacją i ZSRR, to góry dzikie, bezludne, ten właśnie raj turysty. Same Bieszczady Wysokie, o szczytach przekraczających 1 tys. m, zajmują mniej więcej połowę tego. Sam zaś Park Narodowy liczy 6 tys. ha!”

Jakim cudem kropka na tej mapie, czyli owa stacja klimatyczna (jeden z 5 wariantów) z zaznaczonym obszarem, na którym będą jeździli narciarze, spowoduje zatrucie, zdeptanie i zniszczenie owego całego potężnego masywu górskiego, ciągnącego się w linii powietrznej — długością przeszło 60 km?! Bez historii, panowie.”

Jak już choćby z tego widać, jest w tej dyskusji

POTRZEBNY SPOKÓJ I RZECZOWOŚĆ.

Znaleźli się przecież obrońcy koncepcji zwanej „Kolorowy zawrót głowy” a sprowadzającej się do budowy stacji klimatycznej w Bieszczadach. Wprawdzie niektórzy z nich ostrożnie sugerują, żeby się jeszcze zastanowić, czy rzeczywiście konieczne muszą to być Bieszczady, a może powrócić do koncepcji wykorzystania okolic Śnieżnika. Inni — jak choćby Jacek Kłosiewicz w liście do „Przeglądu Tygodniowego” — sugerują, że „absolut-



Jeden z pięciu wariantów usytuowania stacji klimatycznej — na ście całych Bieszczad. „Polityka” nr 11/1988 r.

ODGŁOSY 5

Po wielu latach nieobecności w Łodzi, zawiatała tu Zdzisława Sośnicka-KA reklamowana przez warszawskie Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe w „Super Show — Aleja Gwiazd”. Renomowani piosenkarze (poza nielicznymi wyjątkami), rzadko zdobywają się teraz na przygotowanie własnego programu estradowego a już o super-show nie marzy nikt, bowiem wymaga ono ogromnych nakładów finansowych, a koszty jego eksploatacji przerastają możliwości kontrahentów. Z tym większym więc zaciekawieniem wybrałem się na „Super Show” Zdzisławy Sośnickiej do Teatru Wielkiego w Łodzi, aby obejrzyć ów ewenement estradowy co w przypadku tej ambitnej piosenkarki mogło być całkiem prawdopodobne.

I. Pani od chóru

Zdzisława Sośnicka-Bajer urodziła się 29 sierpnia 1945 roku w Kaliszu. Od najmłodszych lat należała do dzieci upartych, wierzących w siebie i konsekwentnie dążących do celu. Była dobrą i sumienną uczennicą kaliskiego LO i średniej szkoły muzycznej (w klasie fortepianu).

W rodzinnym Kaliszu po raz pierwszy stanęła na estradzie, biorąc udział w eliminacjach do konkursu piosenki radzieckiej. W zielonogórskim finale wyśpiewała II nagrodę. Był wtedy rok 1963. Jej pierwszy debiut. W rok później rozpoczęła studia w PWSM w Poznaniu, ale nie w wymarzonej klasie fortepianu, lecz na wydziale wychowania muzycznego w sekcji nauczycielskiej „A” ze specjalnością dyrygentury chóralskiej.

W tym czasie śpiewała m. in. na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie, współpracowała z poznańskim kabaretem „Nurt”. Dniom magistra sztuki uzyskała w 1968 roku, dyrygując na koncercie dyplomowym m. in. „Pieśniami kurpiowskimi” Karola Szymanowskiego i oratorium „Ave verum” Wolfganga Amadeusza Mozarta. Wybrała jednak śpiew solowy i estradę, które stały się jej zawodem i sprawą najważniejszą.

Niedoszła pani od chóru zaczęła śpiewać wszystko: piosenki literackie, pieśni, przeboje, jazz. Ale długo nie mogła się przebić, odnieść sukcesu i naprawdę zaistnieć. Bywały dni, że chciała rzucić śpiewanie i zająć się czymś innym. Zwyklieli jednak upór i wiara w siebie. Została przez piosence.

II. Na malej alejce gwiazd

Występ Zdzisławy Sośnickiej w Łodzi (za wyjątkiem dwóch pierwszych koncertów) był poprzedzony doskonale ułożonym i z wielką elegancją podanym „dossier” artystki, którego autorem i prezydentem był sam Tomasz Raczek, dziennikarz rzadko parający się w swojej obecnej działalności biografiami piosenek, ale za to gdy już — to wyjątkowo celnie, inteligentnie i reklamowo.

A oto zapis jego wystąpienia poświęconego bohaterce wieczoru Zdzisławie Sośnickiej, z którego dość klarownie rysują się najważniejsze momenty w jej karierze artystycznej.

„Zapraszam państwa w aleję gwiazd. W Hollywood istnieje od dawna ścieżka sławy, na której znalazło miejsce kilkadziesiąt nazwisk wybitnych osobowości estrady, telewizji i ekranu. My mamy naszą małą alejkę gwiazd, na której można spotkać pod proporcją garde tylko jedną gwiazdę, ale za to jaką? Znany francuski reżyser Claude Lelouch powiedział o Zdzisławie Sośnickiej, gdy po raz pierwszy usłyszał ją podczas koncertu inauguracyjnego Igrzysk Olimpijskich w Monachium: „Jeżeli wszyscy polscy sportowcy będą reprezentować na Olimpiadzie poziom tak wysoki jak Sośnicka na estradzie, na pewno nie będą milknąć brawa publiczności na stadionach”. Może więc trochę szkoda, że ze względu na koncerty w Łodzi, w tym roku Sośnicka nie pojechała do Calgary, bo transmisja z Olimpiady oglądalibyśmy z większą przyjemnością i satysfakcją.

Od czasu swego debiutu w 1971 roku (Opole), piosenkarkę nazywano pogromczynią festiwali. Nie dziwnego, skoro w ciągu tylko jednego roku potrafiła przywieźć aż 10 nagród z międzynarodowych festiwali piosenki. W swoim dorobku ma m. in. Grand Prix „Sopot 77”, „Złotego Orfeusza”, główne trofea festiwali w Istambule, Tokio, Caracas. Po koncercie galowym w Cannes gratulacje składali jej Francis Lai, Frank Purcell. To był etap pierwszy kariery Zdzisławy Sośnickiej, etap zdobywania sławy. Potem przyszedł etap drugi, jeszcze trudniejszy, gdy trzeba było to sławę potwierdzić.

Sośnicka zmieniała style, rytmy, piosenki, fryzury, kolor włosów, a mimo to nigdy nie miała trudności z rozpoznaniem jej na estradzie. Działo się to dzięki wspaniałemu, silnemu, pełnemu dramatyzmu głosowi, za który tak ją lubimy. Program, który za chwilę państwo zobaczą przedstawia dorobek kilku ostatnich lat pracy Sośnickiej i będzie zarazem podsumowaniem pewnego etapu jej kariery. Usłyszą w nim państwo m. in. piosenki z ostatniej płyty „Aleja gwiazd”, która została laureatką plebiscytu „Fono-Pop” na najlepszą płytę 1987 roku, piosenki z repertuaru światowych gwiazd, które Sośnicka szczególnie lubi i cení: Barbry Streisand, Diany Ross, Lionela Richie, Tyny Turner.

Będzie też sekwencja, którą szczególnie polecam. Właściwie trudno zrozumieć — dlaczego do dzisiaj Sośnicka nie zagrała żadnej wielkiej roli musicalowej, chociaż wydaje się być do tego stworzona. Przekonają się państwo o tym sami, słuchając w jej interpretacji songu „Nie czekaj mnie w Argentynie” z musicalu „Ewita”, songu „Memory” z musicalu „Kets” oraz utworu „Somewhere” z musicalu „West Side Story”. Nie usłyszymy „Pieśni kurpiowskich” ani „Ave verum”, za które otrzymała dyplom PWSM.

Piętnaście lat temu „Kurier Polski” pragnąc zorientować się w gustach wschodzącej gwiazdy zadał jej kilka pytań:

- Ułubiony malarz?
- Van Gogh.
- Ułubiony kompozytor?
- Beethoven.
- Ułubiony poeta?
- Bryll i Apollinaire.
- Główna cecha charakteru?
- Upór w dążeniu do celu.

Przed chwilą zadałem Sośnickiej te same pytania. Odpowiedziała, że przez 15 lat nic się nie zmieniło.



Czy to wszystko, co mogła osiągnąć Zdzisława Sośnicka?

Na zakręcie w alei gwiazd

BOHDAN GADOMSKI

Tyle o Zdzisławie Sośnickiej ze strony Tomasz Raczka.

Co prawda w rodzimej alei gwiazd estrady mamy ich poza Zdzisławą Sośnicką jeszcze kilka, ale faktem pozostaje, że właśnie ona (obok Violety Villas) konsekwentnie realizuje swój ideał gwiazdorski wizerunek na publiczny użytek. Czasy, gdy cytowani tu znani twórcy zagraniczni chwalili Zdzisławę Sośnicką minęły kilkanaście lat temu i tamtej obiecującej piosenkarki już nie ma, ale z drugiej strony tak mało dobrego mówi się na Zachodzie o naszych piosenkarkach, że skoro już kiedyś coś powiedziano, to warto o tym pamiętać.

„Pogromczynią festiwali” Zdzisława Sośnicka od dawna już nie jest, tłumaczy to sama niechęcią do tego typu imprez, ale znając ją dościszej, wiem, że przyczyna tkwi w ogromnej ostrożności, w podejmowaniu jakiegokolwiek ryzyka artystycznego. Ponadto nie śpiewa już od dawna pełnym głosem czyli festiwalowo, więc i szanse na sukcesy na tym polu ma znikome. Teraz zajmuje się przede wszystkim dbałością o urodę i pielęgnacją włosów, których ułożenie ma często większe znaczenie niż opracowanie nowej piosenki.

No i wreszcie sam głos, główny atut jej powodzenia. Kiedy zaśpiewała kiedyś na żywo w TV słynny przebieg Shirley Bassey „Something” moja wiara w duże możliwości głosowe Zdzisławy Sośnickiej zachwiała się. Zaprezentowała lokalową wersję tego utworu, a że w ostatnich latach dosyć często występuje w zachodnich restauracjach, skutki tego są widoczne. Ponadto ma swoistą manierę wokálną, która też robi swoje. „Somewhere” z repertuaru Barbry Streisand w studyjnej wersji Zdzisławy Sośnickiej brzmi fantastycznie, w wersji estradowej traci o połowę, dlaczego?

Ala zaczynamy do Teatru Wielkiego w Łodzi, gdzie w dniach 23—29 lutego 1983 r. odbywały się koncerty Zdzisławy Sośnickiej reklamowane jako „super-show”. Zdecydowanie zmienilibym ich nazwę, która mimo wszystko zobowiązuje artystkę i organizatorów do zupełnie innej propozycji niż ta, którą w rzeczywistości przedstawiono.

III. Mini-show.

Na czwartkowych koncertach Zdzisława Sośnicka wypadła nieciekawie. Przybyłej na „Super-show” publiczności w zamian dużej orkiestry zaproponowano pięciopięciowy zespół muzyczny. Zapewne w ramach oszczędności zrezygnowano z chóru i baletu. Ponieważ prezydent Tomasz Raczek nie dojechał z MFF w Berlinie Zachodnim, gwiazda musiała zapowiadać się sama. Od dawna wiadomo, że Zdzisława Sośnicka nie umie mówić publicznie. Również i w tym wypadku wykute na pamięć teksty raziły sztucznością i pretensjonalnością.

Na przykład: — A teraz zaśpiewam państwu moją ulubioną piosenkę, która wcale nie zapowiada się na przebieg, a jednak nim została. „Julia i ja”. A teraz proponuję państwu... itd. Ogromna scena Teatru Wielkiego przyozdobiona na tę okazję białymi muszelkami (?) wionęła pustką. Piosenkarka wyglądała na niej na zagubioną, a niefortunne ustawienie wejść i zejść (wszystkie z prawej kulis) powodowały, że zanim doszła na dwustopniowe schodki (środek sceny) musiała przebyć długą drogę, której nie wypełniała nic poza samym spacerem, wyjątkowo powolnym i ostrożnym, jako że Zdzisława Sośnicka, będąc niskiego wzrostu, pokazuje się na estradzie w obuwii na niezwykle wysokich obcasach, co w każdej chwili grozi upadkiem. Wejścia i zejścia estradowe są bardzo istotne. Czyżby tak doświadczona piosenkarka o tym zapomniała?

Nowy program Zdzisławy Sośnickiej okazał się przypadkowo zmontowaną składanką estradową z repertuarem starych i nowych piosenek. Nie było ani jednej premiery, ani jednej niespodzianki. Estradowe interpretacje znanych piosenek były analogiczne jak na płytach, co jest kolejnym błędem, bo żywe wykonania utworów żądają się swoimi prawami. Sam układ programu nieciekaw i monotony.

Głównym atutem Zdzisławy Sośnickiej jest głos. Ale jeżeli jego właścicielka zamiast śpiewać — podśpiewuje lub szepcze, to trudno ocenić czy po 15 latach śpiewania naprawdę go

jeszcze posiada. Piosenkarka zapażrona na współczesne trendy światowego śpiewania, tak bardzo stara się być wokalistką nowoczesną, że owa nowoczesność zabija autentyczność i szczerość przekazywanych treści słownych i muzycznych. Sam głos jest sztucznie prowadzony, choć zgodnie z tym jak się teraz śpiewa.

Zdzisława Sośnickiej od dawna towarzyszy zarzut, że jest sztuczna i wymyślona, co jeszcze



Foto: Grzegorz Gałasinski

gólnie można zauważyć w jej występach telewizyjnych. Na estradzie ową pozę i zimny chłód stara się przykryć uprzejmym uśmiechem lub pozornie głębokim zamysleniem, co niestety widać i co powoduje, iż między piosenkarką a publicznością powstaje ściana ze szkła. Tak właśnie było na koncertach w Łodzi, na których artystka śpiewała jakby dla siebie, a publiczność dająca jej spory kredyt zaufania usiłowała wytłumaczyć sobie, że jednak dla niej.

Na 1,5-godzinne zaistnienie na pustej estradzie trzeba mieć pomysły. Zdzisława Sośnicka go nie znalazła. A ponieważ nie jest wybitną osobowością estradową jej program nużył. Zapytałem meza artystki a zarazem jej impresaria Jerzego Bajera: — kto dobierał repertuar i kto reżyserował ów program?

— Zna sama.

To widać. Ale sanio pocucie państwa Bajera jest, jak zwykle, dobre. Zdzisława jest wielką, wspaniałą i niepowtarzalną.

W programie znalazło się kilka światowych przebojów musicalowych, które w przypadku tej wokalistki powinny nie tylko uatrakcyjnić repertuar, ale w ogóle go tworzyć. „Super-Show” Zdzisławy Sośnickiej, to przede wszystkim powinna być rewia wspaniałych hitów musicalowych, znakomicie zaaranżowanych i brawurowo zaśpiewanych wielkim głosem z towarzyszeniem dużej, najlepiej big-bandowej orkiestry. No i oczywiście schody, schody, schody, także fajerwerki. Trzech smutnych znudzonych panów umieszczonych wraz z ruchomymi reflektorami na scenie — to nie wszystko. Nawet kreacje (duży atut Zdzisławy Sośnickiej) tu nie zajął, bo ich po prostu nie było. Dwie sukienki (czarna i złota) znamy dobrze z TV.

Przywiezione z Warszawy: charakterystyczna fryzjerka, beczynnie siedzący w garderobie, bo gwiazdzie w czwartek nie chciało się zmieniać fryzury i makijażu. Tego typu atrakcje państwo Bajerowie pozostawili na piątek i sobotę, kiedy to „show” filmowała TV. Pierwszego dnia na „brudno”, aby gwiazda i jej impresario przejeżdżali na bieżąco nakręcony materiał i wnieśli poprawki do następnego.

W telewizyjnym koncercie „Live” zobaczymy program Zdzisławy Sośnickiej wypracowany przez technikę i wytrawnych realizatorów. Zdradzę tu Czytelnikom tajemnicę, że zanim Zdzisława Sośnicka zdecydowała się na udział w programie telewizyjnym lub festiwalu piosenki wnikliwie sprawdziła — kto jest realizatorem i kto zajmuje się oświetleniem (dobre oświetlenie to połowa sukcesu w TV).

— Zbyt duże jest ryzyko niekorzystnego pokazania się milionowej widowni — powiedział mi Jerzy Bajer przed festiwalem „Opole 87”. — Na to żona nie może sobie pozwolić.

A tymczasem specjalści od oświetlenia postanowili zrobić wymagającej gwiazdzie psikusa i oświetlili ją tak, że... na drugi dzień wyjechała z Opola rezygnując z udziału w koncercie finałowym. Nie dziwie się więc obecnej ostrożności państwa Bajera, których przezorność i zapobiegliwość była w tym wypadku mocno przesadzona. Dopiero w piątek, sobotę i niedzielę Zdzisława Sośnicka zmieniła fryzurę (mieczyk z boku, fantazja i rozrzepiana słoma) i przebrała się w trzecią, srebrną sukienkę.

Sprawdziłem ceny biletów czwartkowego i pozostałych koncertów — były jednakowe. Nie wolno przecież lekceważyć publiczności i dzielić jej na lepszą i gorszą.

Największy sukces przy realizacji tego maratonu estradowego w Łodzi odnieśli kolporterzy biletów, którym udało się sprzedać prawie w komplecie wszystkie koncerty. Obawiam się, że warszawskim ZPR i państwu Bajerom przede wszystkim o to chodziło. Znałe nazwisko lubianej piosenkarki w szumnie, choć fałszywie zapowiedzianym „Super-show” może przyciągnąć wielu widzów nawet do tak dużej sali, jaką ma Teatr Wielki w Łodzi.

Nowy program Zdzisławy Sośnickiej był jej porażką artystyczną. Jest to na pewno artystka ambitna i poszukująca, lecz w tym wypadku ambicje nie sięgnęły obecnymi możliwościami gwiazdy i opiekującej się nią instytucji. Tomasz Raczek dziwi się, że Sośnicka nie występowała do tej pory w musicalu. Nie mogła wystąpić, bo samo odśpiewywanie musicalowych hitów — to nie wszystko. Zdzisława Sośnicka nie ma talentu aktorskiego, tanecznego. Nie ma też wymaganego w musicalu temperamentu scenicznego. Jej obecny program utwierdził mnie w przekonaniu, że długie lata występów na estradzie i w zachodnich lokalach nie nauczyły jej niczego nowego.

Na pytanie postawione Sośnickiej dwa lata temu: — W jakim momencie kariery znajduje się obecnie? — gwiazda odpowiedziała:

— Cóż, wydaje mi się, że mogłabym jeszcze bardzo wiele zrobić. Mam pewne plany, które chciałabym zrealizować, zarówno jeśli chodzi o doskonałe piosenkarskie osobowości jak i warsztat. Czy to się uda — pokaże następna płyta. Siódma z kolei, do której się przymierzam. Będzie to płyta musicalowa.

Minęły dwa lata. Zdzisława Sośnicka wydała kolejną płytę, ale nie musicalową. Można na niej znaleźć podobne do siebie komercyjne piosenki pod efektownym szyldem „Aleja gwiazd”, spośród których tak naprawdę udało się jej wyłuskać tylko jedną — tytułową.

Nie dziwie się, że od tamtego czasu jest na zakręcie owej alei gwiazd, która prowadzi ją w niebezpiecznym kierunku rutynowej komercjalizacji tego, o czym śpiewa i jak śpiewa. Teraz jedzie do St. Zjednoczonych i Australii. Sama nie ma już złudzeń co do swojej dalszej kariery.

Kilka lat temu powiedziała mi w wywiadzie dla „Odgłosów”:

— Myślę, że to już wszystko. Cóż mogę jeszcze zdziałać? Mogę jeszcze raz wyjechać do USA, ZSRR, NRD, odbyć trasę po kraju, nagrać nową płytę, wystąpić w TV. Innych perspektyw nie widzę, chociaż zrobiłabym nie wiadomo co. Szkoda!

Pojechałem do „Dywila-
nu”, spotkałem
na schodach paru
urzędników i oni
się uklonili. Było
to wrażenie szoku-
jące, przyszedłem
bowiem anonimowo nikt mnie
nie znał, nie ciągnął ze so-
bą sprzętu telewizyjnego, nie
miałem aparatu fotograficz-
nego i w ogóle wyglądałem skro-
minie. Przecież to można zwa-
riować, kiedy o dziesiątej rano
kłania ci się na schodach w
polskiej fabryce jakiś urzędnik.
Całe moje dotychczasowe do-
świadczenie podszeptowało, że
taki gość powinien wkurwić się
najwyżej ukradkiem albo u-
śmiechnąć złośliwie, a gebe, jak
to polscy urzędnicy powinni
mieć skwaszoną, obwieszającą
całe światło swoje niepowodzenia
życiowe: ot, zaczął się przy-
gotowywać do wyjazdu, a nie
stolec, albo rano wczoraj do
kolacji o dwie stowy za dużo
i boli go głowa.

Otóż nie, drodzy państwo, E-
legancko ubrani urzędnicy „Dy-
wila-
nu” zachowywali się tak,
jakby w Polsce nie było znowu
tak źle i jakby człowiek nie-
koniecznie miał powody, aby
pluć na widok drugiego czło-
wieka. Z podobną uprzejmością
spotkałem się zresztą w sekre-
tariacie.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

„Dywila- nu”: carpet factory

Wszedłem do gabinetu dyrek-
tora naczelnego „Dywila-
nu”, inżyniera ADAMA JUNKI. Wcze-
śniej widziałem go tylko raz,
osiem lat temu, podczas spotka-
nia Towarzystwa Polska-His-
zpania, na które przyjechał
Zdzisław Żukrowski. Dyrektor
Junka jest obecnie członkiem
Zarządu Głównego owego To-
warzystwa, ale to nie ma nic
do rzeczy, jako że Junka nigdy
w Hiszpanii nie był i wcale
Hiszpanom dywanów nie sprze-
daje. Co robił Junka, kiedy
wiedziałem go w gabinecie? No
wtedy, wyobraźcie sobie państwo
— trzymał w ustach zapalo-
nego papierosa, jeśli w ogóle
można nazwać papierosem pro-
dukt Polskiego Monopoli Ty-
toniowego.

— Pali pan? — zapytałem
ze zgrozą?
— Tak.
— Dużo?
— Około sześćdziesięciu
dziennie.

— Chryste! To, jak ja mam
z pana zrobić pozytywnego bo-
hatera? Już wiem!

— Co?
— Zafascynujemy obraz. Przy-
ślemy fotografa i uknie pa-
na z butelką kefiru.

Tak czy owak, uzyskałem zgo-
dę, aby o tych papierosach
wspomnieć, żeby obraz nie był
zbyt słodki i żeby się nikomu
nie wydało, że kierować pote-
żną i kwitującą fabryką w kło-
nej na korytarzu nie znajdziesz
pyłki, a hale są piękne, jest
łatwo.

W ciężkich kryzysowych cza-
sach „Dywila-
nu” produkuje,
sprzedaje i zarabia z takim
wdziękiem, jakby Murzyn tan-
cował na plaży fokstrotu. Wszy-
stko wychodzi, wszystko się u-
daje. Wyrzoby „Dywila-
nu” trafiają na cztery kontynenty, do
28 krajów świata. Zysk oscyłu-
je w granicach miliarda zło-
tych i wystarcza, aby pokryć
deficyt kilku innych wielkich za-
kładów. Złóża liczy zaledwie
1800 pracowników, a średnia
płaca w końcu ubiegłego roku
wynosiła tylko 28 tysięcy. Ale
roboty w „Dywila-
nu” daje sa-
tisfakcję, są ludzie, którzy pra-
cują z pokolenia na pokolenie.
Nikt nie boi się atestacji, bo
przepracowano ją tutaj już
trzy lata temu nie oszczędzając
bynajmniej pionu kierownicze-
go — kiedyś było czterech za-
stępów dyrektora naczelnego,
teraz jest tylko dwóch i
główny księgowy.

„Dywila-
nu” zawsze był dyna-
miczny i zawsze wyprzedzał
terminy. Dzisiejszy wspaniały
budynek przy ulicy Dąbrowskiej
został przekazany do eks-
ploatacji 15 listopada 1974 ro-
ku, na dwa miesiące przed dy-
rektywnym terminem, a w o-
twarcu uczestniczył Edward
Gierek. W następnym etapie

przedsiębiorstwo musiało zre-
alizować dwa trudne zadania —
osiągnąć projektowaną zdolność
produkcyjną oraz spłacić kredyt
dewizowy, zaciągnięty na wy-
posażenie nowej fabryki w ma-
szyny i urządzenia. Powiodło
się! Planowaną zdolność produk-
cyjną osiągnięto znowu na
dwa miesiące przed terminem,
co w efekcie dało dodatkową
produkcję rynkową o wartości
121 milionów złotych, zaś kre-
dyt dewizowy udało się spłacić
o dziewięć miesięcy wcześniej,
dzięki czemu uległy wydatno-
mu zmniejszeniu odsetki.

I tak było zawsze. „Dywila-
nu” rok po roku rozbił młt, że
w socjalistycznym państwie nie-
możliwy jest prawdziwy sukces
produkcyjny. Wszystko jest mo-
żliwe. W połowie lat sześćdzie-
siatych opuszczał „Dywila-
nu” zgodnie z planem 1532 tys. m
kw. dywanów i chodników ro-
cznie. Występujący na rynku
niedobór dywanów zmobilizował
kadre inżyniersko-techni-
czną do zwiększenia produkcji.
W tym celu zrezygnowano z
niektórych urządzeń, a w ich
miejscu zakupiono kilka wy-
soko wydajnych krosien. Poczy-
niono zmiany w technologii,
wprowadzono nowe rozwiąza-
nia techniczno-organizacyjne i
„Dywila-
nu” zaczął nagłe produ-
kować 2500 tys. m kw. dywanów

zję przyszłego dywanu tworzy
jednak sam. Wie po prostu, na
co czekają kontrahenci, wie, co
podoba się Arabom, a co Eu-
ropejczykom. Nawiasem mó-
wić, robi także dywanowe por-
tetry, szelki, premierz, re-
wolucjonistów i osobistości ko-
ścielnych.

2.
Skoro już wspomnieliśmy o
tradycjach, warto powiedzieć,
że „Dywila-
nu” ma długą i bo-
gatą historię. Ho, ho! Powstał
już w 1881 roku pod szyldem
„Łódzka Manufaktura Pluszo-
wa”, a jej pierwszymi właścici-
elami byli bracia Finsterowie,
z pochodzenia Bułgarzy. Wła-
ściwy rozwój fabryki nastąpił
dopiero w początkach dwudzie-
stego wieku, kiedy to rządzie
zaczął młodszy z braci. Zalo-
żył on spółkę akcyjną, rozbu-
dował firmę i zwiększył zakres
produkowanych wyrobów, któ-
re do 1904 roku ograniczały się
głównie do różnych imitacji fu-
ter oraz tkanin pluszowych, me-
blowych, dekoracyjnych, za-
kardowych i gobelinowych.

W sezonie, od czerwca do
października, pracowało wów-
czas w fabryce około trzystu o-
sób. W 1910 roku wzbogaci-
ono park maszynowy o 33 kro-
sna przeznaczone do produkcji

— Dlaczego?
— Bo umie kierować ludźmi
z uśmiechem i bez wrzasku, a
do dywanów ma nosa. Jak on
złutuje jakiś projekt, to chło-
dy wcześniej wszystkim się wy-
dawało, że to żaden cymes, wy-
chodzi z tego prawdziwe cudo,
które chętnie powiesiliby na
ścianie.

Zakład, jako się rzekło, jest
okazy i piękny, z kioskami,
bibliotekami i stołówkami, lecz
gdzie praca nie jest skądinąd
lekka i na niejednym czole zo-
baczysz serdeczny pot. Ale ce-
cha charakterystyczną „Dywila-
nu” jest wspomniana już u-
przejmość i spokój, którego na
próżno byś szukał w innych
fabrykach — trudno powiedzieć,
na czym to polega, ale ludzie
pracują tu jakoś inaczej, z go-
dnością i bez paniki, z wiarą,
że to co robią jest wspaniałe,
poszukiwane i potrzebne.

3.
Oprawdzał mnie po „Dywila-
nie” TADEUSZ STEFANSKI,
kierownik Działu Postępu Te-
chnicznego. Była to pożytecz-
na lekcja, z której niewiele zo-
rumiałem, bo wyprodukowanie
dywanu jest procesem trudnym
i żmudnym. Wszelako napa-
rzyłem się na różne wzory,
dzięki którym sale wystawowe
„Dywila-
nu” wyglądają jak me-
zet albo nawet jak pomiesz-
czenie recepcyjne w pałacu su-
łtańskim. Są dywany okrągłe,
elipsoidalne, kwadratowe i pro-
stokątne, są małe, ale są i o-
gromne, cztery metry na sześć,
a jeśli tylko będzie zamówie-
nie, fabryka może wyprodukować
jeszcze większe.

„Dywila-
nu” kooperuje z sze-
ścioma spółkami handlowymi o-
raz utrzymuje trzy sklepy fir-
mowe — w Łodzi, Nowej Hucie
i Rzeszowie. Z „Dywila-
nu” wyrosła kadra, która tworzyła
przemysł dywanowy w Polsce,
najpierw na Ziemiach Odzyska-
nych, a obecnie w Białymsto-
ku. Dla wyjaśnienia trzeba do-
dać, iż Kowary specjalizują się
głównie w wykładzinach, a po-
tentatem dywanowym cały czas
jest łódzka fabryka.

„Dywila-
nu” stanowi przedsię-
wzięcie pełnowydziałowe. Zamy-
kające cały cykl produkcyjny
od przędzy do dywanu. Sześć-
dziesiąt procent wyrobów kie-
ruje fabryka na eksport, głów-
nie do drugiego obszaru płatni-
czego. W bieżącym roku kon-
trakcja jest o dziesięć procent
większa, na czym zresztą nie
konczą się ambicje dyrektora i
załogi.

„Dywila-
nu” produkował dla
Zamku Królewskiego w War-
szawie, a Hermaszewski wystął
sobie „Dywila-
nu” wszystkie
ściany i podłogę pokoju, bo
wieszacie jeszcze na suficie było-
by już doprawdy przesada. Naj-
większym europejskim konku-
rentem „Dywila-
nu” jest chyba
Belgia, łódzianin pracują jednak
na nowoczesnych maszynach i
nie mają kompleksów.

Dyrektor Junka nie wie je-
szcze, czy dywany drożeją.
Gdyby popuścili mu trochę z
podatkami, nie śrubowałby cen
i dywan można by kupić za te
same pieniądze, co w ubiegłym
roku. To samo dotyczy zresztą
wykładzin, poszukiwane ciągle,
tak jak i dywany, przez
Polaków.

Zastanawiam się, kiedy kra-
jowy rynek będzie wreszcie na-
sycony, ale zastanawiam się rów-
nież, czy dywany nie są przy-
padkiem wykupywanym na zasa-
dzie lokaty kapitału, o czym
mogłyby świadczyć liczne ogło-
szenia w gazetach. Dywan
przypomina trochę wino: im
starszy, tym cenniejszy. Można
go zrolować i położyć pod ścia-
ną, a w stosownym momencie
sprzedać.

— Co przyniosła?
— Dywany.
— No to trzeba stać.
— A może byśmy podzielił
się rolami? Ja ustawię się u
kolejce po dywan, a ty kup
wódkę. Wiesz, dwadzieścia bu-
telek. Gra?

— Gra!
I orły ruszyły do boju do-
wodzić, iż z chwila podniesie-
nia cen naród nie stracił in-
icjatywy i ciągle przejawia zdro-
we instynkty handlowe. Swoją
drogą, byłby to znakomity żart,
gdyby dyrektor Junka pofol-
gował lekko w cenie i rzucił do
sklepów dywany tańsze.



Mówi: Jerzy Jakubowski

— Jest pan obecnie najpopularniejszym męskim głosem Pol-
skiego Radia. Co z tego wynika dla pana?

— Trochę kłopotów, ale i trochę zobowiązań w stosunku do
samego siebie. Nie wolno mi się teraz mylić, popełniać błędów
językowych. Rozpoznawano mnie natychmiast po głosie, gdy za-
czytnałem mówić, wszyscy się odwracali.

— A pan?

— Natychmiast traciłem mowę. Teraz znana jest również moja
twarz i nie mogę być prywatny.

— Jak długo pan pracuje?

— Pracę w radiu zacząłem 1 stycznia 1976 roku, a w TV
kilka miesięcy później. Dość szybko otrzymałem listy od stu-
dachy, łącznie z propozycjami matrymonialnymi i prezentami.

— Jaki był start?

— Zgłosiłem się na konkurs spikerów. Nie spełniałem wpraw-
dzie dwóch wymagań, ale, koleżanka okłamała szefa. O moim
przyjęciu zdecydował głos: foniczny z głębią.

— Za to teraz mówi się o panu, że zdominował trzy programy
radiowe: I, II i IV.

— W ramach etatu muszę odczytać 125 godzin dyktów spie-
kerskich w ciągu miesiąca, tj. po 5 godzin co dwa dni.

— Musi pan być w stałej gotowości i dyspozycji. Na czym
ona polega?

— Nawet gdy choruję, mogę pracować. Np. czytałem dziennik
wieczorny szeptem, a wcześniej prowadziłem uroczystość wre-
czenia nagród, prawie 300 nazwisk do odczytania. Ale nie
muszę przesadnie dbać o swój głos i nawet dużo palić.

— Ile czasu spędza pan w radiu?

— Wychodzę o 8 rano, wracam o 1 w nocy.

— Najgorsza wpadka na antenie?

— Po obiedzie zaczęło mi burzyć w brzuchu, Irene Falskiej
również, nie wytrzymałem tego podwójnego burczenia i dosta-
łem ataku śmiechu. Na szczęście było to podczas czytania wia-
domości sportowych. Pewnego razu utknąłem w korku samo-
chodowym na trasie Warszawa—Łódź i do studia zdążyłem na
ostatnią chwilę. Ale gdy usiadłem przy mikrofonie, ścisł gardła
uniemożliwił mi czytanie. Natychmiast było 50 telefonów z mi-
asta z pytaniem: co się stało ze spikerem.

— Czy został pan ukarany?

— Zabrano mi premię.

— Próbowal pan także sił jako konferansjer festiwalowy, ale
doszedł jedynie do Festiwalu Piosenki Czeskiej i Słowackiej w
Ustroniu.

— To był czysty przypadek. Pojechałem tam po raz pierwszy
z Tadeuszem Szukiem, który prowadził festiwal. W rok później
zaproszono mnie. W tym roku byłem tam po raz dziesiąty.

— Ale panu zapewne marzy się Sopot, San Remo i Eurowizja.

— Sopot nie, ale pozostałe — tak.

— Przestał się pan pokazywać w „Toto-Łotku”?

— Zrezygnowałem słysząc, jak dzieci wołają za mną: „7, 8,
12, 13, dodatkowa 21”. Bardziej czuję się lektorem niż prezente-
rem telewizyjnym.

— Czy to prawda, że jest pan pilotem zagranicznych wycie-
czek?

— Tak i to już kilkanaście lat. Zaczęłem się tym zajmować
jeszcze w czasie studiów. Współpracuję ze „Sports-Touristem”
(Złecenia), zwiedziłem Europę Wschodnią i Zachodnią, Wyspy
Kanańskie, Kanadę, Afrykę, Kubę, Tajlandię, Egipt, Algierię.
To moja pasja, znakomita odciecznia od studia i mikrofonu i
tym razem bezpośrednie obcowanie z ludźmi, choć również obo-
wiązki wynikające z opiekowania się nimi.

— Musi pan być w nieustannym ruchu. To pana sposób na
życie?

— Tak. Kiedy mam wolny dzień, ciska mną po mieszkaniu
i potrafię jechać po zapaliki czy papierosy do Warszawy (miesz-
kam w Pruszkowie).

— Domyślam się, że nie ma pan życia prywatnego?

— Bardzo skromne. Do domu wracam jak do hotelu. Mnó-
stwo znajomych się na mnie obrażają.

— To pewnie dlatego rzucił pan żonę?

— Zapewne tak. Nie wytrzymała biedaczka, chociaż byliśmy
zgodnym małżeństwem, bo nie było czasu, żeby się pokłócić.

— Swego czasu zorganizował pan come back Violetty Villas.
Co zafrapowało pana w Violetcie Villas?

— Głos. Byłem jej menażerem kilka miesięcy, ale gdybym
chciał się temu naprawdę poświęcić, musiałbym zrezygnować
z etatowej pracy w radiu i współpracy z telewizją. Faktem
jest, że po latach milczenia udało mi się ją namówić na występ
w TV.

— Ale Czesława Cieślak-Kowalczyk vel Violetta Villas potrafi
być niewdzięczna jak mało która z kobiet?

— Tak? Nie rzuciła we mnie filiżanką z kawą i popielniczką
jak swego czasu w pana, może dlatego, że wiedziałam jak na-
leży z nią rozmawiać. Co prawda kosztowało mnie to sporo ner-
wów, ale miałem sukcesy, a Violetta stanęła na wysokości za-
dania.

— Mówiono, że jesteście stałą parą także prywatnie?

— To tylko tak pozornie wyglądało.

— Ale pewnego dnia rozstał się pan z Violetta i skończył się
jej come back.

— Samo życie. Przed Violetta otworzyły się nowe możliwości
i mogła już egzystować sama, choć z różnymi hochsztaplerami,
którzy chcieli ją wykorzystywać, ale niczego zainwestować w jej
dalszy rozwój.

— Jak zareagował pan na wieść o jej ślubie z największym
playboyem Chicago?

— Początkowo ucieszyłem się, ale takie różne wiadomości stam-
tąd teraz docierają, że boję się o nią.

— Nie zaprosił pana na ślub?

— Pewnie zapomniała mojego adresu.

— Kim pan jest z wykształcenia?

— Ukończyłem Wydział Mechaniki Precyzyjnej Politechniki
Warszawskiej. Jestem inżynierem mechaniki precyzyjnej o spec-
jalności aparatura elektromedyczna.

— Nie żał panu tych zmarnowanych lat na studiach?

— Nigdy nie pracowałem w swoim zawodzie, bo pod koniec
studiów już pracowałem w radiu. Zresztą chciałem studiować
medycynę.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Debiut

JACEK SUT



gram codziennie na surynie zia
banalizuję wszystkie uczucia
nie taki byłem

spie codziennie na prawym boku
czasem drętwieje mi ręka
boję się ślany

piszę muszę pisać choć grozi to szaleństwem
wiersz mój opuszcza spodnie na ulicy
jest męszerny i brak mu umiaru

powinienem już dawno przestać palić i
pójść do dentysty a nie robię tego
aby zasłuszyć na zbawienie

czytam różne rzeczy i czasami dziwię się
że to moje

już późno
noc gromadzi się pod blokiem
trzeszczy podeszwami
i drwi przynikniętym okiem księżycu
ona już wie
zagłada przez ramie i robi głupie uwagi
czeka aż zasną
trzymając swojego psa
granatowym kagańcem hemuje jego

bluźnierstwa i morały
słysz jak skomli
w nim szderstwo

Półka z książkami

„GENIUSZ I OBLĄKANIE”

Polecam dziś książkę, tyleż trudną co interesującą: „Geniusz i obłąkanie” Cesare Lombroso. Ukazała się ona w serii „Biblioteka Kłasyków Psychologii” wydanej przez PWN. Cesare Lombroso, niedługo nie tyle może uznany, co modny lekarz-psychiatra, w dziele swojego życia starał się udowodnić, iż pomiędzy geniuszem a obłąkaniami zachodzi nierozdzielny związek. Na poparcie swojej tezy przytaczał „dziwactwa”, „nietęto”, różne tiki i ułomności psychologiczne wielkich tego świata, jak Napoleona, Piętra Wielkiego, Schillera, Kartezjusza, Rousseau, Haendla, Dantę, Byrona i in. Dziś wiemy, że nauka nie potwierdziła badań Lombroso, ale jego książkę czyta się niekiedy znakomitą, rozprawkę sensacyjną.

Przekład z 1887 r. J.L. Pawłowskiego.
Cesare Lombroso: „Geniusz i obłąkanie”.
PWN 1987. Str. 552. Cena 560 zł.

„PAMIĘTNIKI” GEN. KIRCHMAYERA

Mimo faktu, że to już czwarte wydanie tej książki, pozostaje ona nadal czytelnym bestsellerem. Autor — generał, historyk wojskowości, uczestnik walk nad Bzurą w 1939 r., a także, po wojnie, pracownik Akademii Sztuki Generalnej — kreśli w swoich pamiętnikach przebiegi wojny, stosunków państwowych, obywateli, jej słabości militarna i polityczna, z uznaniem odnotowuje bohaterstwo żołnierzy w dniach najcięższej próby, kiedy hordy hitlerowskie runęły na Polskę. Podczas lektury tej świetnie napisanej książki czytelnik otrzymuje, niejako pośrednio, odpowiedź na pytanie: dlaczego doszło do klęski w pamiętnym wrześniu 1939 r.?

Jerzy Kirchmayer: „Pamiętniki”. MON 1987.
Str. 512. Cena 850 zł.
E. I.

Przypomnijmy: na początku lutego w redakcji „Odgłosów” odbyła się dyskusja na temat sytuacji książki w Polsce. Wzięli w niej udział przedstawiciele środowisk twórczych, wydawców, drukarzy i księgarzy. Jej przebieg przedstawiliśmy w publikacji pt. „Przetwarzaj zły czas”. To właśnie pod koniec tego spotkania padła najważniejsza propozycja, będąca swoistą pointą. Wystąpił z nią dyr. Stefan Czarnecki z „Domu Książki”: „Spróbujmy przelać zły czas, niemoc — powiedział. — Spotkajmy się ponownie i zastanówmy nad tym, jakie książki by szybko poszły. Wydawca spróbuje szybko je przygotować, drukarz również szybko wydadzą, my odbierzemy bezpośrednio z drukarni i postaramy się o sprawny dystrybucję...”. „Pomysł wyjdzie — odpowiedział wtedy sekretarz KAW, Janusz Marchewski — pod jednym warunkiem, że wcześniej zdecydujemy o jakiej książce myślimy...”. Ze swej strony zobowiązaliśmy się patronować każdej inicjatywie, przedsięwzięciu, które doprowadzi do przełamania bariery niemocy, rutyny i doprowadzi do udrożnienia promocji książki.

Zrodzony w naszej redakcji pomysł po niedługim czasie zaczął przybierać wcale realne kształty. Konkretna inicjatywa wyszła od najmniej spodziewanej strony i osoby. A może spodziewanej? Wszak tylko ludzie dynamiczni i pełni inwencji zdolni są przełamywać nie tylko takie bariery, lecz i stereotypy myślowe. A takim człowiekiem w naszym mieście jest bez wątpienia Sławomir Pietras, naczelny dyrektor Teatru Wielkiego, który w krótkim stosunkowo czasie zaprowadził łódzki teatr na liczące sceny Europy i to on właśnie był sprawcą największej bodaj sensacji artystycznej ostatnich lat — sprowadzenia do Teatru Wielkiego gwiazdy operowej, pierwszej wielkości w naszych czasach, solistki Metropolitan Opera w Nowym Jorku, Teresy Wojtaszek-Kubiak.

Te dwa wydarzenia — redakcyjna dyskusja nad losami książki i przyjazd Teresy Wojtaszek-Kubiak — z pozoru są tylko odległe. Rzecz bowiem w tym, że to Sławomir Pietras dostrzegł pewne zjawiska i sprawy w szerszym wymiarze i u niego zrodził

Zmowa nieobojetnych

się pomysł, który trafił na właściwy grunt zasiany w redakcyjnej dyskusji. Ono to podjął się przedniego zadania — napisania biografii, a raczej opowieści impresyjnej o naszej wielkiej śpiewaczce...

I oto w ub. tygodniu odbyło się kolejne spotkanie dyr. Łódzkiego Oddziału KAW, Andrzeja Sidorowicza i sekretarza wydawnictwa — Janusza Marchewskiego, dyrektorów — Łódzkich Zakładów Graficznych, Wiesława Piotrowskiego, „Domu Książki” — Stefana Czarneckiego i autora pomysłu, który go przedstawił w ten sposób: Teatr Wielki (podobnie jak i inne teatry w Polsce) jest jedyną w świecie sceną, która nie ma własnych wydawnictw. Wszystkie znaczące sceny świata posiadają w swoim teatrze stoiska z własnymi wydawnictwami, w których kupić można nie tylko bieżące programy, lecz i książki o ludiach tego teatru, wydawnictwa albumowe, płyty, pocztówki itd. Cały współczesny ruch impresyjny osadzony jest na bogactwie wydawniczym. U nas — miast porządnie opracowanego wydawnictwa promującego artystę bądź spektakl — prowadzi się z zagranicznym kontrahentem wielomiesięczną dyskusję korespondencyjną przy pomocy poczty. Żeby więc przełamać ten archaiczny stan rzeczy zaproponował wydanie książki o Teresie Wojtaszek-Kubiak, która pomysł zaakceptowała. W czasie pobytu w Teatrze Wielkim nasza gwiazda, a właściwie gwiazda Metropolitan Opera, wiele uwagi i czasu poświęciła tej inicjatywie, a przynajmniej na tyle ją zainteresowała, że lot z Frankfurtu do Nowego Jorku przełożyła o dobę, aby pobyt w Europie wykończyła na omówienie ze Sławomirem Pietrasem koncepcji przyszłej książki. Więcej — w kolejnej wizyty gwiazdy wkalkulowała już sprawy tego wydawnictwa.

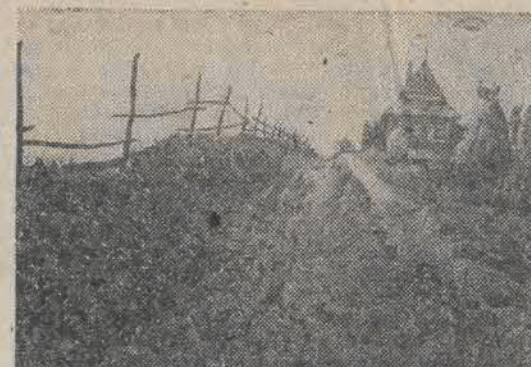
Trzeba przy tym pamiętać, że dla Teresy Wojtaszek-Kubiak, zarówno koncerty w kraju jak i wspomniane wydawnictwo, nie-

wielki to interes — strata kilkudziesięciu tysięcy dolarów za występy w Ameryce, na rzecz sentymentu do rodzinnego Dobronia, Łodzi i Polski. Dla nas — może to być interes znaczący. Poza próbą ukazania pewnych mechanizmów, przy pomocy których robi się dziś światową karierę, będzie okazją ukazania wielkiej indywidualności artystycznej z Polski rodem, która budzi duże zainteresowanie na całym świecie. Książka ma więc szansę odpowiedzieć na to zapotrzebowanie i trafić za granicę.

Pomysł wydania biografii naszej gwiazdy spotkał się z dobrym przyjęciem w łódzkiej KAW, która z kolei zainteresowała nim dyrektorów drukarni i „Domu Książki”. Przystąpiono więc do omawiania szczegółów, terminów, niwelowania urzędniczych barier, by przywrócić dawne, piękne i efektywne tradycje edytorskie. Obszernie omówiono konspekty pracy, która etapami trafić będzie do wydawcy i drukarni, drukarnia zaś w nietypowej formie przystąpi do opracowywania materiału ilustracyjnego, a wszystko po to, aby w marcu przyszłego roku, kiedy artystka przyjedzie na kolejny występ do łódzkiego Teatru Wielkiego, książka o niej znalazła się na stoisku. Oczywiście obok innych, istniejących już wydawnictw — o mieście, o dziełach sztuki itp. Łódzki Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej zamierza bowiem uruchomić w Teatrze Wielkim własne stoisko. Przez widownię teatru, jego foyer, przewijają się w ciągu roku dziesiątki tysięcy widzów. Niech bodaj jeden procent widzów zakupi książkę, będzie to dla niej dobra promocja.

Miejmy więc nadzieję, że ta zmowa ludzi nieobojetnych doprowadzi do przełamania niemocy otaczającej książkę.

MARIAN
ZDROJEWSKI



Odechodzące piękno

Tak nazwał swoje prace Jerzy Wierzyński („Bohdan”), „Plener — rysowanie, malowanie „na gorąco”... Utrwalanie niepowtarzalnego klimatu polskiego krajobrazu, współtworzących go elementów przyrody, niszczącej architektury... Owych cudownych obrazów ojczystych, obok których przebiegamy często obojętnie trawieni gorączką pogoni za uchodzącym dnem powszednim...” — oto użeczenia Jerzego Wierzyńskiego przeniesione na prezentowane w Klubie Dziennikarzy obrazy.

Urodził się w 1922 roku w Zgierzu. Już w latach 1937—39 prezentował swoje obrazy olejne, akwarele, rysunki (pod kierunkiem artysty malarza Zygmunta Burdzyńskiego). Potem przyszedł czas wojny, udział w niej — w Pogotowiu Wojennym Harcerzy, Tajnym Harcerstwie, organizuje i dowodzi oddziałami Szarych Szeregów, jest członkiem Komendy SZP-ZWZ-AK Rejonu Zgierz. Projektuje, ilustruje okładki tajnej gazетки „Pobudka”, był twórcą albumu egzekucji St. Polaków w Zgierzu. Projektuje sztandar SzSz. ZWZ-AK rejonu zgierskiego, dokumentuje zbrodnie hitlerowskie (plany, rysunki), w 1944 roku otrzymuje zaoczny wyrok śmierci.

Po wojnie studiuje w PWSSP w Łodzi. Jego profesorami byli Ormowski, Strzemiński, Byrski, Tyrowicz, Wegner. Pracował jako nauczyciel rysunku, plastyk, autor wielu wystaw stałych i okolicznościowych, projektant wnętrz muzeów, bibliotek, lokali pawilonów (Targi Poznańskie, Wystawa Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, Wystawa Rolniczo-Przemysłowa w Częstochowie, Białymstoku, Łodzi). Ma w swoim dorobku 187 wystaw zbiorowych, indywidualnych, poplenerowych.

„Współczesność nieubłaganie zaciera ślady przeszłości. Czyny to szybko i zachłannie jakby się wstydzą kulturowego spustoszenia, które czyni w imię postępu cywilizacji. Spiesz się zatem, aby rejestrować, zatrzymać w „malarskim kadrze” to, co tak szybko zanika z naszych miast, ulic, wsi i osad... Uwiecznienie ODECHODZĄCEGO PIĘKNA — to codzienna moja praca i pasja...”

Praca wzruszająca i urokliwa, zmuszająca do zadumy i refleksji.
M. B.

Rarytasy spod księgarskiej ludy

Praktycznym uwiarygodnieniem wyrażanych niejednokrotnie intencji naszych władz w spełnianiu postulatów badaczy i środowisk opiniotwórczych — dotyczących likwidowania „białych plam” w dziejach najnowszych Polski, stało się opublikowanie w serii historycznej Państwowego Instytutu Wydawniczego (w dwudziestotysięcznym nakładzie) „Ostatniego raportu” Józefa Becka.

To nie znane dotąd szerszemu ogółowi, niezwykle ważne źródło do pełniejszego poznania dzieł II Rzeczypospolitej i osobowości sternika jej polityki zagranicznej w latach 1932—1939, opatrzone zostało wnikliwą, a zarazem zwięzłą przedmową wybitnego znawcy polskiej dyplomacji okresu międzywojennego — prof. Mariana Wojechowskiego.

Przedstawia on we wstępie dramatyczne okoliczności powstania trzech szkiców, składających się na „Raport” (podczas internowania Józefa Becka w Rumunię) — oraz fakty i wydarzenia przemierzane przez ich autora lub pozostające w sprzeczności ze znanymi dziś dokumentami historycznymi.

Jak powszechnie wiadomo, Beck nie zauważył przez długi okres zębów skutków realizacji jego schematycznych założeń w polityce zagranicznej. Współdziałanie z Niemcami i antyradzieckość, a-biektownie wspieranie bowiem dążenia Rzeczy do obalenia postanowień Traktatu Wersalskiego, były podziwianiem galęz, „na której się samemu siedziało”.

Uzewnętrznio się to z całą jaskrawością w odniesieniu do Czechosłowacji — po haniebnym zabójstwie Żołnierz — której egzystencja była — niezależnie od wzajemnych resentymantów — warunkiem silne gusa non bezpieczeństwa Polski.

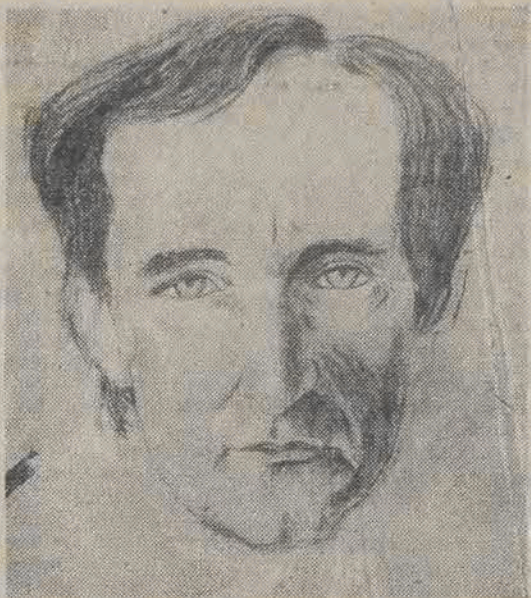
Nie można jednak równocześnie nie dostrzegać, że w niezwykle dramatycznym momencie naszych dziejów, w 1939 roku, Józef Beck zdobył się na powiedzenie „nie”. Hitlerowi, broniąc tym samym suwerenności i integralności państwa polskiego.

W imię prawdy historycznej — zdaniem prof. Mariana Wojechowskiego — wyrażonym w wydawie dla warszawskiej „Kultury” — należy odrzucić uproszczony stereotyp Becka jako głównego winowajcy klęski wrześniowej.

Zerwanie z koniunkturalnymi osadami w historiografii oraz perspektywą upływu czasu, sprzyjają dziś, jak nigdy dotąd — wyważonym, obiektywnym ocenom, zapobiegają tworzeniu się tak niebezpiecznych w skutkach mitów historycznych.

„Ostatni raport” niech mówi sam za siebie, krytyczna zaś refleksja powinna stać się udziałem czytelników.

JANUSZ KOZŁOWSKI



Portret Zygmunta Koniecznego z wystawy Ludwika Kronica to warszawskiej Kordegardzie.



Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

TRUDNY OKRES

— Przeżywamy trudny okres — mówi wybitny radziecki reżyser filmowy, Grigorij Czuchraja. — Nie wszyscy rozumieją co oznacza pierestrojka i dlatego się ją przeprowadza. Ale są i tacy, którzy doskonale zdają sobie sprawę z jej sensu i celów — i właśnie dlatego są przeciwi. Ci są szczególnie niebezpieczni. Oficjalnie są „za”, reforma — powiada — jest konieczna, ale... Ale to, ale tamto, i każde takie „ale” — a jest ich bez liku — ma na celu stopniowanie zmian.

Rachunek ekonomiczny sprawdziłem na własnej skórze. Wiem, co może przynieść reforma. Nie można zresztą zaważać jej do sfery ekonomicznej. Oczywiście jest jej wpływ na inne dziedziny życia: stosunki międzyludzkie, twórczość, moralność, ideologię. Udowodniła to przeszłość. W sytuacji, którą nazywam „ekonomiczną nieważnością” nie sposób było się polapać co czarne co białe, gdzie góra, gdzie dół. Słaby organizm jest podatny na wszelkie schorzenia. Państwo

było oszukiwane, kwitła korupcja i grabież mienia społecznego, kult ewanietwa szedł w parze z pogardą dla pracy. Chaos i demoralizacja we wszystkich sferach życia — oto nielawne owoce wczorajszej ekonomiki. Jasne, że ci, którzy czepiali z tego pełnymi garściami — materialnie i prestiżowo — są teraz przeciwi (...)

Znajdujemy się obecnie w okresie przejściowym. To trudny okres. Wiele spraw zweryfikuje praktyka i czas. Będą oczywiście pomyłki, będą straty i ofiary. To nieuniknione koszty wprowadzania nowego. Ale warto je ponieść. Najważniejsze to nie wprowadzić błędów w konstrukcję nowego modelu. Wierzę, że dokonamy tego, co zamierzaliśmy.

(Z wywiadu G. Czuchry dla tygodnika „Film”)

30 LAT SPIEWANIA

Z okazji 30-lecia kariery estradowej Edyta Piecha przedstawia w Leninradzie nowy program pt. „Dla moich przyjaciół”. Do programu koncertu

włączyła piosenkę Seweryna Krajewskiego „Niech żyje bal” którą spopularyzowała w Związku Radzieckim Maryla Rodowicz. Zapytana przez dziennikarza, w czym kryje się tajemnica jej popularności piosenkarka odpowiedziała: Sądze, że nie ma w tym nic tajemniczego. Zawzięcie bardzo nad sobą pracowałam i pracuję po dziś dzień. Śpiew jest moim życiem.

SPOSÓB NA SUKCES?

Przed ponad rokiem w kinach amerykańskich podniesiono ceny biletów do kin o 10 proc. (w stosunku do 1984 roku). Temu przypisuje się dziś (ponoć) najlepsze od wielu lat wpływy kasowe za rok ubiegły. 22 tys. kin przyniosło 4,2 mld dolarów zysku, czyli blisko 100 mln dolarów więcej niż w rekordowym roku 1984. Jak podała agencja DPA, największe wpływy zanotowały na swoim koncie trzy filmy ze znanym czarnym komikiem, Eddie Murphym (pamiętaj, „Gliniarz z Beverly Hills”) w roli głównej, a mianowicie aż 256 milionów dolarów.

MUZEUM CWIETAJEW

Jak poinformowano w Moskwie, w domu przy ul. Pisemskiego 6 otwarte zostanie muzeum Maryny Cwietajewej, która mieszkała w tym domu w latach 1914—1922. Tu napisała 10 spośród 15 swych książek wydanych za jej życia. Tu wreszcie odwiedzali ją wybitni przedstawiciele rosyjskiej literatury — Maksymilian Wołoszyn, Josp Mandelsztam, Ilija Erenburg, Aleksy Tolstoj. Po przeprowadzeniu niezbędnych prac konserwacyjnych w domu tym, obok muzeum, znajdzie również pomieszczenie klub „Moskwa”, w którym organizowane będą wieczory poetyckie.

EDITH PIAF NADAL TRUMFUJE

Jak wykazały wyniki sondażu francuskiej telewizji, mimo upływu ćwierć wieku od śmierci, Edith Piaf nadal jest najpopularniejszą piosenkarką we Francji. Aż 93 proc. Francuzów

„Biżuteria — nowy styl” — tak nazywała się wystawa przygotowana przez Galerię 86 (nazwa wywodzi się od adresu: ul. Piotrkowska 86) w 1986 roku. Zasiadają prowadzących galerię Janusza Głowackiego i Grzegorza Musiałę było urządzenie tego zbiorowego pokazu złotych dzieł artystów środowiska łódzkiego, ale nie byłby ów pokaz możliwy, gdyby nie coraz bardziej wyraźna odrębność łódzkich złotników i coraz wyższe notowania ich artystycznej pozycji, przede wszystkim na ogólnopolskich przeglądach w Legnicy.

Podczas otwarcia tej pierwszej wystawy zauważono, że biżuteria w łódzkim wydaniu, to doskonałość artystyczna sama dla siebie, przedmiot sztuki mający swój niezależny byt, jednak kiedy przeznaczony do noszenia wespół z ubiorem zawsze zaprojektowany i skonstruowany w zgodzie z budową ludzkiego ciała. Ta druga cecha podkreśla zwłaszcza Andrzeja Szadkowskiego. Jego prace pokazano ostatnio w Złotniczej Galerii Sztuki i są one doskonałym potwierdzeniem poglądu tego artysty.

Zarówno wystawa sprzed dwóch lat jak i następna, częściowo indywidualna, w Galerii 86, odświeżyła inną jeszcze odrębność łódzian. Nieprzypadkowo użyłmy określenia: skonstruowany przedmiot sztuki. Nawet jeżeli są to małe obrazy — broszki Grażyny i Włodzimierza Stelmachowskich, rzucają się one prawami konstrukcji, tyle że chodzi o budowę obrazu. Ale już czysta konstrukcja, choć niewolna od przedmiotowych skojarzeń, są wbiły Radosław i Piotr Cieciorów, jak i przedmioty biżuterii Andrzeja Bossa.

Galeria 86 —

eksport „nowego stylu”

To właśnie „budowlane” oblicze — jak sądzić — pozwoliło zestawiać, a może nawet skonstruować, prace grupy łódzkich złotników z dokonaniem warszawian charakteryzującymi się miękko, romantycznie, można powiedzieć nawet malarską linią, aby skomponować autorski zespół na wystawę w Muzeum Miejskim w Linzu, firmowaną przez Galerię 86.

Eksportowy zyciorys Galerii rozpoczął się w Poznaniu podczas VI Targów Sztuki Krajów Socjalistycznych — Interart '87. Odnótowano nie tylko sukces finansowy, w pamięci pozostała też opinia o stoisku urządzonym ze znajomością i wyrozumiałością, aby właśnie Galeria 86 — będąca wizytówką łódzkiego oddziału P.P. Sztuki Polska przy współpracy Biura Handlu Zagranicznego „Sztuki Polskiej” — patronowała pokazowi polskiego złotnictwa w Linzu, nie była dziełem zupełnego przypadku.

SILVER TOP FROM POLAND — tak zatytułowana jest wystawa w Linzu — to 81 prac następujących: autorów: Andrzeja Bossa, Radosława i Piotra Cieciorów, Andrzeja Czubryńskiego, Krzysztofa Głucha, Roberta Kuleszy, Grażyny i Włodzimierza Stelmachowskich, Andrzeja Szadkowskiego, Jarosława Westmarka, Ewy Czarna-Czarnej i Lukasz Zaremskiego, Marcelina Zaremskiego, Tomasza Zaremskiego, Hanny i Jacka Zdanowskich, Tomasza Żyłki oraz wrocławskiego małżeństwa Anny i Andrzeja Bandkowskich.

Jak każdy wybór i ten musiał być stronniczy, ale dzięki temu stał się klarowny, przejrzysty w motywacji. Chodziło o pokazanie polskiej sztuki srebra a nie jubilerstwa nawet pojętego unikatowo, zwłaszcza że Linz nie jest miastem zupełnie obcojęzycznym dla polskiej sztuki.

W 2-3 numerze PROJEKTU z 1982 roku znajdziemy relację Danuty Wróblewskiej ze świętego festynu sztuki wina towarzyszącego muzycznemu festiwalowi im. Antonia Brucknera właśnie w tym nadnaddunajskim mieście. Fragment opisu wydarzeń sprzed ponad sześciu lat niech będzie urasowaniem, że nad przygotowaniem „srebrnej” wystawy warto było się potrudzić. „Linz jest miastem nowym także dla tkaniny artystycznej, mimo istnienia w nim wyszłej szkoły projektowania tekstylnego oraz Instytutu Tytułarni z nią, związanej. Jak zresztą w całej Austrii na głównym miejscu była tu i jest muzyka, po niej raczej teatr niż plastyka. Jednak ta dalej w koleśności potrzeb austriackich ustawiona plastyka domaga się dziś konfrontacji i potwierdzenia”.

Tyle z przeszłości. Jak nasza z 1988 roku — wystawa, czynna od 10 marca do 16 kwietnia, została przyjęta, postaram się donieść przy okazji napisu następnego eksportowego wypadu Galerii 86: na I Targi Sztuki do Budapesztu, od 18 do 26 marca.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

zna doskonale postać Piaf i jej piosenki. Co jednak dziwniejsze, okazało się, że ponad połowa młodzieżowych respondentów ankietę uważa ją nie tylko za najwybitniejszą zjawiskę w historii francuskiej estrady, ale również za swoją ulubioną piosenkarkę.

KSIAŻKI ROKU

Wśród autorów najlepszych dzieł literackich roku 1987 — według tygodnika „Time” — znaleźli się pisarze uznani, nobliści Saul Bellow i inny twórca pochodzenia żydowskiego Philip Roth (autor m.in. „Kompleksu Portnoya”). Bellow wydał w ub. r. powieść „Więcej umiera od złamanego serca”. (More Die of Heartbreak); bohaterem jest wybitny botanik, którego komedyczne przeżycia ilustrują problem relacji między miłością a pieniędzmi w środowisku intelektualistów. „Kontrżycie” (The Counterlife) Philipa Rotha krytycy określają jako metafizyczny Thriller. Pozostałymi wyróżnionymi pozycjami są: „Ognisko próżności” (The Bonfire of The Vanities)

Toma Wolfa — satyryczny obraz życia śmietanki towarzyskiej Nowego Yorku; „Dziecko w czasie” (The Child in Time) młodziego powieściopisarza brytyjskiego Iana McEwana — o porwaniu dziecka w supermarket, oraz „Wybrzyk natury” (A Sport of Nature) wybitnego pisarza południowoafrykańskiego Nadie Gordimer.

NIE MA ZAMIARU

44-letni gwiazdor „Rolling Stones” Mick Jagger oświadczył w jednym z wywiadów, że dopóki czuje się w formie, nie ma zamiaru rezygnować z kariery artystycznej, jednak z pewnością nie doprowadzi się do takiego stanu jak Elvis Presley. Określił siebie jako człowieka rodzinnego, którego najważniejszym celem jest wychowanie dzieci.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Zbigniew Nienacki „Pan samochodzik i tajemnicze tajem-

nic” — 300 zł; Melchior Wańkiewicz „Anoda i katoda” (2 tomy) — 3000 zł; „Kalendarz żydowski” — 2000 zł; Stanisław Broniewski „Cajny życiem” — 1000 zł (cena nominalna — 300 zł); Aleksander Grobicki „Żołnierze Sikorskiego” — 700 złotych; „Mała encyklopedia PWN” — 12 000 zł; Waldemar Łysiak „Empirowy paszansa” — 1000 zł; Cezary Chlebowski — „Reportaż z tamtych dni” — 1200 zł; Ella Kazan „Układ” — 2000 zł; „Klasyka Joga Indyjska” (PWN) — 1500 zł (cena nominalna 1100 zł); John Re-wald „Historia impresjonizmu” — 3500 zł (cena nominalna 1800 zł); Kazimierz Moczarski „Rozmowy z katem” — 800 zł; „Encyklopedia dla pielęgniarzek” — 1800 zł (cena nominalna 1100 zł); Erving Fuller Torrey — „Czarownicy i psychiatrzy” — 850 zł; Robert Jungk „Człowiek tysiąclecia” — 500 zł; Stefan Korboński „Polskie państwo podziemne” — 2000 zł; Andrzej Makowiecki — „Co dzień bliżej nieba” — 850 zł; tegoż „Noc saksofonów” — 450 zł.

40 LAT ZESPOŁU „HARNAMA”

Gdy pękają deski sceny

Aby dostać się do tego zespołu, mamy fałszywą dla dobra swych pociech datę urodzenia. Zasadniczo mogą przyjmować dzieci z „zerowki”. Czasami udaje się zdementować jakiegoś wyrosłego pięciolatka. Nikt nie robi z tego afery. Dzieci mogą spokojnie bawić się w taniec i piosenki. Nie ośmieszają zapisów, a już w marcu codziennie kilka telefonów od stroskanych rodziców, czy skrab mogłoby zacząć od tego sezonu...

Naturalnie, nie tylko możliwość spędzenia paru godzin z rówieśnikami pod opieką instruktora — zwabia tu małe dzieci. Zasadniczy powód to bez wątpienia świadomość, że najlepszą wyprawą na artystyczny podbój świata. Jest jeszcze trzeci argument, z powodu którego nie brakuje chętnych. Gdy robi się zimno, dzieciaki okolicznych dzieci zlatują się, jak stado ptaków do ciepłych kątów, aby przeczekać najgorsze sioły i mrozy w zacisznej sali w rytmie czegoś dynamicznego. To dzieci z rodzin patologicznych.

Podczas jednej z podróży po USA, występowali w domu parafalnym. W czasie wykonywania starczego krakowiaka — nagle ruchoma scena zaczęła się rozjeżd-

żać w obie strony. Występu nie wypadło przerywać. Gdy jedna fala tancerzy przeszła jak burza nad prawie metrową chłodziarką drugą starła się stosownym krokiem do sunąć obie części. Gdzieś indziej znów w Stanach Zjednoczonych spotkali się nawet z zakazem tańczenia w ciężkich skórzanych butach, w teatrze. Dostosowali się i pokazali się publiczności w całej kraj, tyle że — bosą!

Któregoś roku skorzystali z zaproszenia do Belgii. Występowali po świetnie przygotowanych choreograficznie Rumunach którzy koncertem rok wcześniej wyrobili sobie opinię nie kwestionowanych gwiazd sceny. Rumuni mają równie swoje tańce ogromnie dynamiczne. Już po kilku układach oberka, polscy tancerze wykonali mocno nadwerżoną przez poprzedników scenę. Belgowie zawstydzili się bardzo. Nikt do tej pory nie mógł im zarzucić niestannego przygotowania estrady przed programem.

Za zespołem poszła zabawna fama. Gospodarze innych imprez kazali przed publicznym pokazem zbierać się tancerzom na podestach, żeby poskakali i potupali

sprawdzając wytrzymałość na takie obciążenia.

Zabawne sytuacje zawsze towarzyszą wiozom. Gdy ruszyli na egzotyczne tournée do Syrii, do odpraw celnych stawali w strojach ludowych. W nich zajmowali miejsce w samolotach. Nie rozstawali się z nimi w hotelowych numerach. W kraju i za granicą czasem wytykano im, że robią to dla reklamy. Nikt by nie uwierzył, że zaoszczędzili na wożeniu bagażu — milion złotych!

Niesamowite przygody zdarzają się również w kraju. Kiedyś gardęrobane zapomnieli zapakować czerwone spodnie do kostiumów. Ich brak spostrzegli tuż przed wyruszeniem w tan. Nie zawiedli publiczności, wręcz dali z siebie tyle jak nigdy dotąd. Piękne dziewczyny zatańczyły tylko w halkach. Wiowały tak cudownie po parkiecie, że nieobecności tegoż detalu nie dostrzegła nawet pani choreograf. Albo nie chciała dostrzec.

Zespołowi Pieśni i Tańca przy ZPB im. Sz. Harnama stuknęła okrągła „czterdziestka”. Pod patronatem min. A. Krawczuka, i sekret. KŁ PZPR J. Niewiadomskiego i prezydenta J. Pietrzyka, harnamowcy obchodzili uroczystości w sobotę w Teatrze Wielkim — jubileusz pracy artystycznej. W wielkiej sali wystąpiło 500 wykonawców — wychowanków Zakładowego Domu Kultury — dzieci i młodzież, zgromadzonych w 8 zespołach pieśni i tańca.

Na 2-częściowy koncert złożyły się m.in. mazur z opery „Straszny Dwór”, tańce mieszczan żywieckich, górali tatrzańskich, śląskie. Ziemi Rzeszowskiej oraz oberki łowickie. Autorami układów tanecznych byli: S. Mazurkiewicz, K. Sitkowski, J. Hryniewiecki, K. Bogucki. Kierownictwo artystyczne — S. Mazurkiewicz, muzyczne — C. Banaszkiewicz.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Foto: Grzegorz Galasiński

— Znasz klasyczne pytania i znasz odpowiedzi. Spróbujmy jeszcze raz, to samo, ale inaczej.

— Domyślam się, co skłoniło panią do rozpoczęcia tej rozmowy, ale proszę wywrzeć, moje podobieństwo do Schwarzeneggera jest tylko pozorne. W gruncie rzeczy bardziej przypominał Stallone, choć nie potrafię iść przez dżunglę życia z wściekłością i wolnością Rambo. Znamy, jeśli chce sprawić mi przyjemność, nazywają mnie Obeliskiem.

Aby przybliżyć czytelnikom moją osobę, pozwolę pani, że usiądę bliżej mikrofonu. Jestem dzieckiem lat sześćdziesiątych, mój pradziadek był fabrykantem, kochał secesję, szybkie automobile i

MŁODZI O SOBIE

Filolog polski...?

moją prababkę. Mój dziadek, na skutek przykrego zrzędzenia losu, nie odziedziczył nawet fabrycznego kominu. Ożenił się za to z uroczą dziewczyną z dobrego domu i, kiedy byłem mały, chodził ze mną na długie spacery ulicą Przedzalaną. Pamiętam, że kupował mi kolorowe żołnierzyki, które w czasach mojego dzieciństwa nie były jeszcze tak tandetne jak obecnie. Chętnie sięgam do przeszłości, do tej beczki starego, wybiorczego wina i piję za ojcyste strony Konwiktów, panny z Wilka albo ulicę Krakowską. Mam skłonność do literatury, rozwinięte włosy i humanistyczny profil. Mijające dni przyjmuję tak, jak panienka lekkich obyczajów przyjmowała klientów — nie zawsze z zadowoleniem, ale zawsze z nadzieją na zysk. Życie odkrywa przede mną swoje tajemnice i nawet nie próbuję dyskretnie. To się nazywa

mieć gest! Sześć lat temu ja także miałem gest — zafundowałem sobie studia. Ssensu świata zacząłem szukać w literaturze. Mądrość ksiąg miała być płonącą świecą, rozpraszającą ciemność mieszczańskiego umysłu. Czas mija, a ja choć świecę zastąpiłem kandelabrem, wciąż szukam i mienia Róży i jako Bungo przeżywa swoje upadki. W ciężkich chwilach pocieszam się Hrabalem i czeskimi komediami.

Przyszłość?... Właściwie mnie nie interesuje. Czasem tylko docierają tu jakieś informacje na ten temat, ale pochodzą one z drugiej, albo nawet trzeciej ręki i trudno stwierdzić ich wiarygodność. Nie zaliczam się do grona miłośników science fiction, dwudziestego pierwszego wieku i jasnych perspektyw. Nad futurologię przedkładam futurizm i mało mnie obchodzi magiczna szklana kula kryzysowej wróżki. Być może mam gdzieś anonimowego opiekuna, jakiegoś świętego Mikołaja, który myśli o mojej przyszłości i kiedyś przyniesie mi ją w pięknie opakowanej paczuszce. Wierzę, że tym prezentem nie okaże się dzialek do atomowych orzeszków, czarny frak do tańca śmierci lub inne, powiem otwarcie, świnstwo. Proszę nie sądzić, że jest to bezpodstawny optymizm. W świętego Mikołaja nie wierzę tak mocno jak w Anioła Stróża.

Skończyła pani plany, to przyznam, że owszem, posiadam takie, ale są to wyłącznie plany miast i plany dotyczące wakacji. Zresztą jedno i drugie mają ze sobą pewien związek, ale o tym nie będziemy teraz rozmawiać. Poważnych planów życiowych nie snuję od kilku miesięcy i może dzięki temu uda mi się uniknąć rozpaczającego, którego sięś została rozzerwana skrzydłem odrzutowca.

(Autor zastrzegł sobie anonimowość.)

Rozmawiała: JOLANTA POL

Fraszki

TADEUSZ FANGRAT

NIEDOBRE

Niedobre, gdy autorytet przed rozumem ma priorytet.

PLYNĄ

Czasem prywatne interesy plyną z luk publicznej kiesi.

NIE LUBIĘ

Nie lubię kanałów i wdziku konwali.

TE DOJŚCIA

Pną się w góry nawet ciury, mają dojścia do figury.

(Tadeusz Fangrat — „Płochodnie”. Wyd. Łódzkie 1982).



Kronika

OSIEMDZIESIAT LAT przetrwała słynna Synagoga Warszawska im. Ryfki i Zalmana Nożyków.

Budowę jej — według planów sławnego architekta Marcusa — rozpoczęto w marcu 1898 roku. W okresie międzywojennym mogła pomieścić ona 600 osób (300 mężczyzn na dole i 300 kobiet na galerii — tzw. babinicu).

Warto wspomnieć jako ciekawostkę, że miejsca siedzące były odpłatne (im bliżej pulpitu kantora, tym droższe). Zebrane pieniądze służyły na posag dla niezamożnych par, opłaty pogrzebowe itp.

Podczas okupacji hitlerowcy urządzili w bóżnicy magazyn siana i... stajnię.

Pod koniec lat siedemdziesiątych, staraniem naszych władz, z największym pietyzmem, rozpoczęto prace renowacyjne.

Obecnie, w każdą sobotę, odbywają się w synagodze nabożeństwa (z zachowaniem tradycyjnego rytuału). Dużo zainteresowanie budzą przepiękne koncerty muzyki synagogalnej.

W 43 rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim — odbędzie się w bóżnicy oświeceniowe uroczystości religijne, przygotowywane przez Związek Religijny Wyznania mojżeszowego.

Synagoga dostępna jest dla zwiedzających w każdy czwartek (od 10 do 15).

POLSCY SPIEWACY — Stefania Toczyska i Wiesław Ochman — wystąpili w nowojorskiej Metropolitan Opera.

Zaspiewali partię Marty i Golicy na operze Modesta Musorgskiego „Chowanszczyna”. Występy czołowych naszych artystów operowych w Stanach Zjednoczonych, spotkały się z wielkim uznaniem publiczności oraz krytyki.

KRZYSZTOF ZANUSI wyreżyseruje jeszcze w tym sezonie dwa spektakle w teatrach zachodniomiejskich — „Dawne czasy” Pintera w Monachium i „Kroka Rogera” Karola Szymanowskiego na scenie Opery Miejskiej w Bremie.

DO NAJPOCZTYNIJSZYCH CZASOPISM W ZWIĄZKU RADZIECKIM — w erze „pierestrojki” — należą: „Moskowskie Nowosti”, „Literaturnaja Gazeta”, „Ogoniok” i „Sowietkaja Kultura”.

Błyskawicznie, w ciągu kilku minut po dostawie, znikają one z kiosków.

25-LECIE DZIAŁALNOŚCI ARTYSTYCZNEJ

obchodził w tym roku Wojciech Młynarski. Z okazji jubileuszu, ten wielce popularny artysta wychodzący z założenia, że każdy powinien dobrze robić swoje, „zrobił swoje” — przygotował bowiem doskonały koncert pt. „Mój dom”.

Utwory Wojciecha Młynarskiego podczas koncertów z tego cyklu (w Poznaniu, Zabrzu i Warszawie) wykonywali m.in. takie sławy estrady jak: Kalina Jędrusiak, Hanna Banaszak, Ewa Bem, Edward Dziewoński, Wiesław Michnikowski.

JAK OSIADŁA KRYSTYNA JANDA, jednym z największych wysiłków aktorskich w jej życiu będzie przygotowywana rola Medei (w przedstawieniu, które wyreżyseruje Zygmunt Hübner na scenie Teatru Powszechnego w Warszawie).

Wyznała też, że jej trzynastoletnia córka spogląda na pracującą bez wychowania matkę... trochę jak na osobę nienormalną.

NA PRZEŁOMIE LUTEGO I MARCA BR. PRZEBYWAŁA W WILNIE delegacja łódzkiego Teatru Powszechnego, z dyrektorem Bogdanem Pawłowskim.

Celem wizyty było zapoczątkowanie współpracy z Wilenskim Rosyjskim TEATREM DRAMATYCZNYM. Omawiano, szczegóły umowy, przewidującej m. in. wymianę spektakli (podpisanie jej ma nastąpić w maju, podczas rewidzji dyrekcji wilenskiego teatru w Łodzi).

W bardzo serdecznych słowach odnotował pobyt w Wilnie przedstawiciel „TP”, tamtejszy „Czerwony Sztandar”.

ADAM HANUSZKIEWICZ reżyserować będzie w łódzkim Teatrze Wielkim operę Mozarta „Wesele Figara”, (premiera odbędzie się 30 kwietnia br.).

„AVA” — nowa łódzka spółka z ograniczoną odpowiedzialnością — otrzymała zezwolenie od Komitetu Kinematografii — na produkcję filmów, w tym również fabularnych.

Będzie mogła zatem rywalizować z wytwórniami państwowymi.

ZDZISŁAW SMEKTAŁA, dziennikarz, prozaik, poeta, bluesman, aktor („Dreszcze”, „Smażalnia Story”), zbulwersowany opieszałością działań reklamowych wydawców, rozszalał na ulownej ulicy Wrocławia, ulotki zachęcające do kupowania mających ukazać się wkrótce jego książki („Lisaj” — PIW, „Pię” — KAW, „Jaz-baba-riba” — Wydawnictwo Łódzkie).

Dodajmy też jako kolejną ciekawostkę, że wg. opinii dyrektora Mody Polskiej, Jerzego Antkowiaka, uchodzi on za najlepiej ubranego Polaka (roku 1987).

W SPRAWOZDANIU z wystawy portretów Ludzika Kronika w Warszawie, zamieszczonym w poprzednim numerze „Ogłoszeń” w miejscu gdzie mowa była o nie dokonanym portrecie Jana Świdorskiego, zdanie powinno brzmieć: „z powodu zawału serca modela”, nie zaś „z powodu śmierci...”. Sprawił to paskudny chochlik, który wszędzie, niestety, potrafi plątać figle.

Wróży to wybitnemu artyście, wiele lat życia i wiele świetnych kreacji aktorskich, czego, gorąco przepraszając, z całego serca życzę.

Opracował: JAK

Ale teraz, kiedy siedziała i oglądała pokój, rzeczy, do których przywykła, wdychała znane zapachy, znów poczuła się tamtą dziewczynką, poczuła tęsknotę i pojęła wyraźnie, że mimo nudziarstwa Ninki, spokój może odzyskać tylko tutaj, tu jest jej dom, innego domu nie ma i mieć nie będzie.

Ninka podała jej kartkę.
Waria sprawdziła z ankieta, wszystko w porządku, Nina odpowiedziała na wszystkie pytania.

— Tak, dobrze, dziękuję... No fajnie, do widzenia.
— Bywaj zdrowa.

Czy poprawnie zachowywała się wobec siostry? A jak jeszcze mogła się zachowywać? Skakać ze szczęścia? Z tego powodu, że Waria idzie do pracy? Wszyscy pracują. To sprawy elementarne. Nikogo Waria nie uszczęśliwiła. Mogła iść na studia, chce pracować jako kopska, każdy sam sobie wybiera drogę. Mówimy o kobiecej godności, ale zapominamy o niej, jak tylko pojawi się mężczyzna.

Waria, no dobrze, dziewczyna, która wychowała podwórko, ulica... Ale Lena Budiażina, dorosła kobieta, która rosła w takiej rodzinie! Wtedy, zimą, Nina wie o tym, że Lena przez Jurę robiła sobie nielegalną skrobankę, o mało nie umarła, a on, łobuz, ani razu nie przyszedł do szpitala, zjawiał się za pół roku i Lenka znowu się z nim zeszła. Nie widzi, co on sobą reprezentuje? W NKWD pracują nie tylko prawdziwi czekiści, nie brak też takich, którzy wśliznęli się tam prawem kaduka — Jurka jest jednym z nich. Lenka nie może o tym nie wiedzieć. No a teraz nowa historia, nowa „tragedia” — Jurka, okazuje się, żyje jeszcze z jakąś A. Lenka, zamiast wybić sobie z głowy to zero, znowu się zdręcza, cierpi. Nina nienawidziła w kobietach zależności od mężczyzny, widziała to we własnej siostrze i z tego powodu, że pójdzie do pracy, prawdziwość tego poglądu nie doznała uszczerbku. Więc nie ma jak dotąd żadnego święta, żadnego triumfu.

Ze Jura ją zdradza, Lena wyznała Ninie w chwili rozpacz. Ale żadnych szczegółów. „On mnie zdradza” — tylko tyle powiedziała.

Szczegóły, ściśle mówiąc, jedyny szczegół, polegał na tym, że Jura zdradza ją z Wiką Marasiewicz. Zetknęły się twarzami w twarz na Marosiejce, w zaułku Starosadskim, na klatce schodowej, Lena wyszła z windy i w tym momencie Wika zamknęła za sobą drzwi tego samego mieszkania, do którego szła Lena. Przez kilka sekund patrzyły na siebie w zmieszaniu, potem Wika powiedziała „cześć”, to samo wyszeptała w odpowiedzi Lena. Wika weszła do otwartej jeszcze windy, zamknęła drzwi.

Pierwszym impulsem było „uciekać!” Lena zbiegła po schodach, piętro niżej zatrzymała się wstrzymując oddech i wsłuchując się... Na dole trzasnęły drzwi windy, to znaczy, że Wika wyszła. Niech odejdzie jak najdalej... Lena pozwoliła zeszła jeszcze jedno piętro niżej... O Boże! Wtedy, na Nowy Rok, nie było było przypadkiem, ciągną to dawno, widzieli to wszyscy, tylko ona jedna była ślepa. I Nina urządziła wtedy Jurze awanturę, i Sasza wprost przy Jurze spytał ją: „Gorszego gówna nie mogłaś sobie znaleźć?” Jura był dla niej bezwzględny, do dzisiaj ją młóci od zapachu gorzycy. W szpitalu powiedzieli jej: „Przeżyła pani cudem” — a on tchórzyl, krył się, nie przyszedł ani razu. I teraz czekał na nią w łóżku, z którego dopiero co wstała Wika. W tym łóżku bywa, na pewno, nie ona jedna. Nie zawahał nawet umówić się z nią tego samego dnia co z Wiką, prawie w tej samej godzinie.

I dopiero teraz Lena uświadomiła sobie, że przyszła o czwartej, a Jura mówił o piątej, ale zapomniała o tym, przyszła jak zwykle, o czwartej. Przez godzinę odpoczywał Sukinsyn, rozpustnik! Może jeszcze zapragnie, żeby obydwoje naraz weszły mu do łóżka. Oczywiście, z nim sprawa skończona na zawsze. I bez wyjaśnień. Nie życzy sobie wysłuchiwać jego kłamliwych usprawiedliwień.

Wieczorem Jura zadzwonił do niej, spytał karpynym tonem, dlaczego nie przyszła dzisiaj.

— Długo pracowałam.
— Będziesz mogła przyjechać we wtorek?
— Nie.
— No to kiedy?
— Nie wiem. Jak będę mogła, sama zadzwonię. A ty nie dzwon do mnie więcej. Do widzenia, Jura.

Z czego jest niezadowolona? Szarok nie mógł pojąć. Niby wszystko szło dobrze, spotykali się nie za często, taką ma pracę, chodził do teatru, do kina, do klubu aktorów, na wystawy... Dlaczego się tak nadyma? Dziwnie!

Przeczne jej niezadowolenia Jura poznał bardzo szybko.

Natknąwszy się na Lenę, Wika zmieszła się tylko w pierwszej chwili. Rozumiała, że Lena przyszła tutaj zupełnie w innym charakterze, iż ona — wiedziała od Wadima, że ich związek został wznowiony i dopuścił do tego, żeby Lena zobaczyła ją tu, w zakomspirowanym mieszkaniu. Wydał jej Lena, oczywiście, zażąda od Jury wyjaśnień, i wtedy Jura się przyzna, że ten pokój służył nie tylko do intymnych spotkań. Ale nie wydaje się żadnych współpracowników, odpowie za to, że dopuścił do tego spotkania.

Ta myśl od razu uspokoiła Wikę. Uświadomiła sobie, jaka szansa wpadła jej w ręce: teraz już Juroczka będzie musiała ją zwolnić, teraz już się nie wykręci. Dzisiaj szedł z niej, teraz zapłaci za tę poniżającą rozmowę.

Rozmowa była taka.

— Jura — powiedziała Wika — wychodzę za...

— Tak? — odpowiedział wesoło. — Ciekawe, za kogo?

Wymieniła imię i nazwisko Architekta. Szarok znał to imię i nazwisko. Jednak szczegółnego dziwienia nie okazał.

— Gratulacje Wybitny człowiek.

— Stalnowi spodobał się jego projekt.

— Widziałem ten projekt na wystawie.

— Powściągliwie powiedział Szarok jakby nie śmiać nawet mówić o projekcie, pochwalonym przez samego Stalina.

— Przyjdzie nam się rozstać, Jura.

— Udał, że jej nie rozumie.

— W jakim sensie?

— Jestem teraz żoną, czuję żonę — to wiesz. Zmienił się mój tryb życia, koniec z restauracjami, odpadło grono starych znajomych.

— Będziesz spotykać się z innymi.

— Nie, mąż prowadzi bardzo zamknięty tryb życia. Od 9 rano do 11 wieczorem jest w pra-

cowni, czekam na niego w domu. Sama. Ale nawet nie na tym polega problem. Nie mogę, nie mam prawa ukrywać przed nim niczego.

— I nie ukrywaj! — powiedział spokojnie Jura.

— To znaczy jak... Opowiedzieć mu o naszych spotkaniach?

— Opowiedz, jeśli uważasz za potrzebne.

— Ale podpisałam oświadczenie o zachowaniu tajemnicy.

— Dla dobra twego ogniska domowego pozostawiam ci zdradzić tę tajemnicę — uśmiechnął się Szarok.

— Ale on natychmiast mnie rzuci.

Jura wzruszył ramionami.

— Za co? Za to, że wykonujesz swój obowiązek?

Patrzyła na Szaroka szeroko otwartymi oczyma. Przecież doskonale rozumie, że nigdy nikomu o tym nie powie. Ale nie chce wypuścić jej ze swoich szponów, chce, żeby donosiła na własnego męża, i ani przez chwilę nie wątpi, że ją do tego zmusi. Jednak odpowiedziała tak:

— Dobrze, opowiem mu o wszystkim.

Wykrzywił wargi.

— Opowiedz, opowiedz... A my dodamy. Wszystkich twoich cudzoziemców wymienimy — uśmiechnął się. — A ty opowiesz mu, jak to oni, cudzoziemcy, załatwiają... Z nimi, pewnie, stodziej się spi?

— Jura, co ty mówisz?

Wzwałł pięścią w stół, zaryczał:

— Wiem, co mówię... Ty, dżidko, śpisz z nimi, szlajasz się po hotelach, rękami i nogami związałaś się z obcymi agentami. Po uszy w gównie. No to opowiedz swojemu mężusowi, co jest w nich pociągającego, a on niech posłucha.

leganiu Wiki było coś alarmującego. Jednak wymamrotał z niezadowolaniem:

— Co za pośpiech? Zobaczymy się w swoim czasie, porozmawiamy.

— To sprawa nie cierpiąca zwłoki — nalegała Wika — uprzedzam cię, potem możesz mieć pretensje tylko do siebie.

— A to co, groźba?

— Myśl, co chcesz. Pytam cię po raz ostatni: czy możesz teraz wyjść na Arbat?

— Zaraz teraz?

— Możesz za godzinę, możesz za dwie, wyznacz porę, która ci odpowiada.

— Dobra, spotkamy się za godzinę na placu Sobaczym, mam interes w tamtej stronie.

— Usiądźmy — zaproponowała Wika, wskazując na pustą ławkę na skwerze.

— Nie — sprzeciwił się Szarok — przejdźmy się po tej uliczce, muszę na Worowskiego. Poszli przez zaułek Trubnikowski.

— Więc co się stało?

— Co się stało? — powtórzyła Wika z uśmiechem — a to, że mieszkanie, w którym się spotykamy, nie należy zamieniać w miejsce swoich miłosnych schadzek.

Szarok pojawił wszystko w lot: spotkała się tam z Leną.

Jednak, chcąc zyskać na czasie, spytał:

— No, co?

— Spotkałam się na klatce schodowej z Leną Budiażiną. Nawet się przywitałyśmy, przecież jesteśmy szkolnymi koleżankami. Oczywiście, domyśliła się, po co chodzę do ciebie, przecież wie, gdzie pracujesz. To znaczy, że zostałam rozszyfrowana, jako współpracownik nie będę ci

teraz aresztujesz, wywieziesz, ten list zostanie wysłany. Mój to na uwadze.

— Aresztować cię, wywieźć — pogardliwie wymamrotał Szarok. — Komu jesteś potrzebna? I zaczął iść. Szało obok niego, ale już go nie brała pod rękę.

— Niepotrzebna, tymi lepiej, rozstańmy się. Posunę się do ostateczności, nie mnie nie powstrzyma, nie cofnę się.

— Ach, to straszne!

Nie zwracając uwagi na jego słowa, ciągnęła:

— Robiłam wszystko rzetelnie. Spotykałam się z obrzydliwymi ludźmi, z tym Liebermanem, ale wydałeś mnie przez swoje miłosne sprawy. Zobaczymy, jak to się spodoba twoim zwierzchnikom.

— Nie groź, nie groź — uśmiechnął się Szarok — to ci nie pomoże, tylko zaszkodzi.

— Ty mi też nie groź, niczego się nie boję. Wyszedłam za ciebie, urządziłam sobie życie i będę go bronić. Nawet jeśli przegram, to i tak twoja kariera będzie skończona, czegoś takiego ci nie przebaczą. A jeśli postąpisz rozsądnie, pozostanie to między nami. Możesz mi zaufać.

— No cóż — teraz zatrzymała się Szarok — Lena rzeczywiście cię widziała, urządziła mi scenę, przyznałam się, że mieliśmy romans, przecież mieliśmy romans, czyż nie tak?... Daję jej słowo, że więcej się z tobą nie spotkam. I możesz być spokojna: Lena nikomu o tym nie powie. Z tej strony nie zagraża ci żadne niebezpieczeństwo. Jeżeli chodzi o twój list, to nie osiągnie celu. Lena jest faktycznie moją żoną, natknęła się na nią, to się zdarza, żona podpisała nam oświadczenie o zachowaniu tajemnicy i koniec sprawy. Swoim listem osiągniesz tylko jedno: przekażę cię komu innemu, nie jestem przekonany, że to będzie dla ciebie lepsze.

Wika słuchała go w napięciu, patrzyła mu prosto w oczy swoimi wielkimi szarymi bezwstydnie oczyma.

Potem twardo, zdecydowanie i gniewnie rzekła:

— No cóż, każde z nas pójdzie swoją drogą. Bywaj zdrow.

Ale ją zatrzymał.

— Czekaj, sprawa ma jeszcze inny aspekt. Zeszłym razem prosiłaś, żeby cię zwolnić ze współpracy. Taką prośbę byłem obowiązany przekazać swemu zwierzchnikowi, tego samego dnia umieściłem w raporcie. Jaki będzie rezultat, nie wiem. Wytrzymaj jeszcze.

— Jak długo mam czekać? — spytała Wika, wiedząc, że to wszystko Szarok wymyślił w tej chwili, że żadnego raportu nie przekazywał, ale, być może, przekaże, to znaczy, że boi się jej oświadczenia.

— Na naszym następnym spotkaniu otrzymasz odpowiedź.

Czekać dziesięć dni! Znowu wlec się do tego mieszkania?

— Dobrze — rzekła Wika — poczekam dziesięć dni.

9.

Wika nie popuścił. Kiedy została żoną Architekta, wyobraziła sobie, że siła jest po jej stronie. Siła, rzecz jasna, jest po przeciwnej stronie, ale Wika jest bezczelna, zdecydowana, zdolna do wszystkiego i trzeba przynajmniej dać jej jakiś atut.

Dłatego Szarok uznał, że zrobi mądrzej, jeśli powie Dżakowowi:

— Marasiewicz Wiktorii Andriejewna wyszła za mąż za Architekta, chce być w jego oczach grzeczną dziewczynką.

— Skamle?

— Z towarzystwem Liebermana zerwała, ze starymi przyjaciółmi się nie spotyka, po restauracjach nie chodzi, siedzi w domu. A nowych znajomości jeszcze nie ma. Może zwolnić ją na jakiś czas, niech zapozna się z nową sytuacją, wejdzie w nowe środowisko, zawrze nowe znajomości, wokół Architekta dużo ludzi się kręci i to ludzi interesujących.

— To rozsądne. — zgodził się Dżakow — niech się pobawi. Teraz jest taka sprawa, Szarok...

Dżakow przerzucił papiery na biurku, ten ruch oznaczał, że zbiera się z myślami, waży słowa, które wypowie.

— Tak, no więc — niech to zostanie między nami — spojrzaj na Szaroka z naciskiem — z Leningradu przyjechał towarzysz Zaporozec, chce wziąć do siebie do Leningradu z centralnego aparatu trzech-czterech chłopców, na których można polegać. Oczywiście, na wyższe stanowiska, z podniesieniem stopnia i zarobków. Wśród tych, którzy są brani pod uwagę, znajduje się też twoja kandydatura. Co o tym sądzisz?

Szarok wzruszył ramionami.

— Co ja mogę sądzić? Pojadę, gdzie każą. Moskiewskie mieszkanie, mam nadzieję, będę mógł zatrzymać?

— Oczywiście, mieszkają w nim twoi rodzice. Popracujesz parę lat na prowincji, zresztą, jaka to tam prowincja? Druga stolica. Wrócisz z wysokim stopniem i na jeszcze wyższe stanowisko. Pomyśl! Nie jest to rozkaz, lecz na zasadzie dobrowolności. Z Zaporozcem wielu chce pracować, dobry człowiek, wesoły, swoich chłopców skrzywdzić nie pozwoli. To wstępna rozmowa. Sam będzie z tobą rozmawiał, może po przestaniu na innej kandydaturze. Przemyslił to, według mnie, sprawa ma perspektywę.

Propozycja nieoczekiwana, ale ciekawa. Przecież całe życie w aparacie nie można, nie jest to przyjęte, trzeba jakiś czas popracować na prowincji i wrócić do Moskwy z doświadczeniami w pracy praktycznej w terenie. Leningrad to wariant najlepszy, nie jakaś tam prowincjonalna dziura, no i noc jazdy do Moskwy. I Zaporozec pewnie wkrótce zastąpi starszka Miedwedzia. To znaczy, że razem z nim do góry pójdzie także on, Szarok. Powinien zresztą mieć tu jakieś oparcie. Dżakow nie stanowi oparcia, mały człowieczek. Bieriezin? Tak, to duża figura, ale nie zgadza się z Jagodą i prawdopodobnie przeniosła go na Daleki Wschód. A jechać na Daleki Wschód — nie, już lepszy jest Leningrad.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

ANATOLIJ RYBAKOW

(40)

Dzieci Arbatu



— Jura, jak możesz? Widziałam tych ludzi tylko przy stole.

— Kłamię! Spasłaś z nimi. Ostatnim razem ze Szwedem. Znamy go i wszystkich, którzy byli przed nim, wszystkich co do jednego. Tobie co, naszych Rosjan nie wystarcza? Czy są gorsi, odpowiadaj!

Mógł być uprzejmiejszy, przecież z nim, Rosjaninem, też spała. Ale milczała, przybita jego doinformowaniem.

A on, patrząc na Wikę z nienawiścią, kontynuował:

— Ach, ach, to po prostu znajomi tatusia, znakomitości... Profesor Kramer, Rossolini, Kurt Zanderling — w jego głosie brzmiała odraza. — „Utalentowani skrzypkowie”. Ach, ach, Fritz, Hans, Michel... Prawie rodzina Kotusiel! A te kotusie to aktywni działacze partii nazistowskiej, faszysty, agenci i Japonczycy, z którymi pijesz, wszyscy co do jednego też są agentami, i to nie były jakimś, niektórzy mają stopnie pułkowników. Nie wiesz, po co do nas przyjeżdżają, jak nas kochają. Zadawałaś się z nimi, a teraz przychodzisz: zwolnijcie mnie, bo jak nie, to wszystko powiem mężowi. Nie, moja droga, nie powiesz, sami powiemy, zobaczymy, czy się z tobą ożeni!

Wtedy zamilkła, bezzilna, przegrana.

Ale teraz, idąc przez Marosiejkę, Wika nie czuła się ani bezzilna, ani przegrana. Przeliczyła się, krawiecki synku! Została zdemaskowana z jego winy. Nie przekonał cię argument o mężu, będziesz musiał liczyć się z innymi argumentami. Będziesz musiał, Juroczka, będziesz.

W niedzielę Wika zadzwoniła do niego do domu.

— Jura, cześć, mówi Wika, musimy się pilnie spotkać.

— Co się stało?

— To nie jest rozmowa na telefon. Chcesz, to wstąpię do ciebie, chcesz, to spotkamy się na mieście, przejdziemy się.

Bała się jechać na Marosiejkę. Bała się zostać z Szarokiem sam na sam. Ale także Szarok nie mógł umówić się z nią na Marosiejce, dzisiaj tam nie był jego dzień. Rozumiał, że Wika znowu zacznie marudzić o mężu, więc nie ma powodu, żeby się specjalnie śpieszyć. Ale w na-

użyteczna, Juroczka. Rozstańmy się jak przyjaciółcie.

Szedł, milcząc słuchał jej, rozważając sytuację. Wszystko jest jasne: Lena przyszła o godzinie za wcześnie, pomyliła się, kwok! Nadziła się na Wikę, obraziła się, dlatego nie chce się z nią spotykać, niech idzie do diabła! Ma przez nią same nieprzyjemności. Ale też Wice ten numer nie przejdzie, wymyśliła sobie, że go zaszantażuje głupia!

Wika nagle wzięła go pod rękę, uśmiechnęła się, przymiłnie spojrzała w oczy.

— Nie gniewaj się, Juroczka! Należę do cię, jesteś dwoma spotkaniem, ale jesteś inteligentny, wszystko jakoś załatwisz, i nikt się o tym nie dowie. Ze mną jest gorzej: teraz nie będę mogła się nigdzie pokazać, wszyscy będą mnie unikać, wypadnie mi siedzieć w domu.

Nie usunął swojej ręki. Sprytna z niej jednak kobieta, nie ma co mówić, bezczelna, bezwzględna. Przecież to taka właśnie kobieta jest mu potrzebna, nie tamta zmokła kura! Z tą by daleko zaszła. Tamta, chociaż jest córką Budiażina, ale do tego Budiażina już tęskni ciele w Butyrce, a ta pochodzi z neutralnej, profesorskiej rodziny...

Ale za późno o tym myślał.

— A nie przyszło ci do głowy co innego: Lena zobaczyła cię i doszła do wniosku, że jesteś moją kochanką?

Wika zatrzymała się, musiała zatrzymać się także Szarok. Już się nie uśmiechała, patrzyły na niego szare bezlistosne oczy.

— Nie uważaj mnie za idiotkę! Podporządkowałam się Dżakowowi, bo się pogubiłam i podpisałam dokument, który mi podsunął. Ale ty przecież nie jesteś Dżakowem, przecież znamy się od dziecka, jesteś kolegą mojego brata, bywasz w naszym domu i na dodatek spałeś ze mną... Mogłeś mnie oszczędzić — nie oszczędziłeś. Teraz ja nie będę cię oszczędzać, mój to na względzie. Wyślę do Jagody list o tym, że w zaułku Starosadskim urządziłeś burdel i rozszyfrowałeś mnie wobec jednej ze swych kochanek, a ta kochanka jest córką zastępcy komisarza ludowego i moją przyjaciółką z dzieciństwa. Ten list jest gotów, napisany. Jeśli mnie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

APEL WOJEWÓDZKIEGO KOMITETU WSPIERAJĄCEGO BUDOWĘ MAUZOLEUM MARTYROLOGII WSI POLSKIEJ W MICHNIOWIE Z SIEDZIBĄ W ŁODZI

Powszechnie znana jest inicjatywa Budowy Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskiej w Michniewie. Zyskała ona już powszechne uznanie w społeczeństwie, a także u władz centralnych. Honorowy Przewodniczący Komitetu Budowy — Marszałek Sejmu Roman Malinowski poprzez swą działalność państwową i społeczną inspirował szereg działań na rzecz ostatecznego sfinalizowania tak wzniesłej idei.

Systematycznie wzrasta wielkość wpłat na ten cel. Każdego dnia ludność miast i wsi, zakłady pracy, instytucje świadczą na rzecz budowy Mauzoleum.

Zwracamy się z gorącą prośbą o poparcie idei budowy „Mauzoleum”. Będziemy wdzięczni za każdy dar przekazany na ten cel. Mauzoleum w Michniewie wybudowane społecznym wysiłkiem całej Polski — będzie symbolem pamięci wszystkich pomordowanych mieszkańców spacyfikowanych wsi.

Niech ten symbol stanie się własnością całego narodu polskiego, a jego budowa udziałem nas wszystkich.

Wszelkie środki pieniężne prosimy wpłacać na konto Wojewódzkiego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Łodzi 47018-2307-132, NBP I O, Łódź.

Przewodniczący Komitetu Wspierającego
GABRIEL PŁOCK

SPRAWA DOMKU LETNISKOWEGO WE WSI STROBIN

W związku z ukazaniem się w numerze nr 7(1559) z 13 lutego 1988 r. krytycznego artykułu o pracy Urzędu p.t. „Za karę” — niniejszym pragnę wyjaśnić tok postępowania administracyjnego w powyższej sprawie.

Prwdą jest, że sprawa legalizacji wzniesionego domku letniskowego przez Józefa Nowaka jako samowoli budowlanej trwała zbyt długo — prawie okres 3-letni, ale nie była w tej sprawie wina pracowników Urzędu Gminy, lecz uzależnione to było od tego, w jakim terminie Ob. Józef Nowak dostarczył dokumenty formalno-prawne do legalizacji tej budowy i tak:

— Kiedy służba nadzoru budowlanego Urzędu Gminy stwierdziła, że obok zabudowań gospodarczych Henryka Patyka we wsi Strobina — kuzyna Józefa Nowaka, wzniesiony jest domek letniskowy bez pozwolenia na budowę i na gruntach klasy IV b, i w dodatku nie w terenach przeznaczonych pod budownictwo letniskowe. W związku z tym Henryka Patyka jako właściciela gruntów wezwano do rozbiórki wzniesionego domku letniskowego, który oświadczył na piśmie, że domek jest nie jego, a pobrał go Ob. Józef Nowak.

Ob. J. Nowaka w tej sprawie znów wezwano, który przyznał się do budynku i złożył oświadczenie pisemne 11.06.1985 r., że domek letniskowy należy do niego i w terminie do 30.10.1985 r. dostarczy dokumentację na wybudowany domek, i że będzie dostarczał dokumenty do legalizacji tegoż domku.

Zgodnie z prawem budowlanym sama dokumentacja na budowę domku letniskowego nie załatwia sprawy, ponieważ Ob. J. Nowak powinien posiadać dokument stwierdzający prawo dysponowania działką budowlaną, którego wówczas nie posiadał.

Pomimo tego, że wzniesiony domek letniskowy Ob. J. Nowaka nie znajduje się w terenach budowlanych przeznaczonych pod budownictwo letniskowe, postanowiliśmy zalegalizować w/w budowę ze względu na poniesione koszty związane z samowolnie wzniesionym budynkiem, doradzając Ob. J. Nowakowi uzyskanie dokumentu dzierżawy lub innego dokumentu stwierdzającego posiadanie działki budowlanej. Ob. J. Nowak 3.12.1985 r. złożył oświadczenie, że zobowiązuje się dostarczyć jeden z wymienionych dokumentów.

W dniu 31.12.1986 r. wpłynęło do tutejszego Urzędu podanie od Ob. J. Nowaka z prośbą o wydanie zezwolenia z załączonym dokumentem własności w formie Sentencji Wyroku Sądowego Sadu Rejonowego w Wieluniu, który uprawomocnił się 26.11.1986 r. Następnie Ob. J. Nowak zgłosił się do tutejszego Urzędu dopiero 2 marca 1987 r. i w tym dniu nie zastał Ob. Eleonory Janik (inspektora do spraw budownictwa), która przebywała na zwolnieniu lekarskim. W tym czasie jednak w biurze był obecny kierownik Referatu Gospodarki Komunalnej Nadzoru Budowlanego i Komunikacji Ob. Jerzy Wójt, który stwierdził, że nie jest w tej sprawie zorientowany i wysłał Ob. J. Nowaka do domu Ob. E. Janik.

Po niedługim czasie Ob. E. Janik przyszła do Urzędu i zwróciła uwagę Ob. J. Wójtowi jako jej przełożonemu, że nie powinien wysyłać interesantów do jej domu, lecz winien osobiście załatwić sprawę lub skontaktować się z nią co do sposobu załatwienia tej sprawy. Jako dowód tego zdarzenia załączam oświadczenie Ob. E. Janik i Ob. K. Budzika — obaj pracownicy Urzędu Gminy.

Prawdą jest, że Ob. J. Nowak był również w Biurze Geodezji w Wieluniu, ponieważ podważał prawdziwość ustaleń co do klasy gruntów, na której został wybudowany domek — nie wierzył Urzędowi Gminy, że jest to klasa IV b.

Ob. J. Nowak został też poinformowany przez pracownika do spraw gospodarki gruntami, że przy klasie IV b za część zabudowanej działki musi zapłacić kwotę 129,788 zł z tytułu ochrony gruntów rolnych. Jednak dotychczas nie wydano decyzji o naliczeniu tej należności do zapłaty.

W dniu 14.04.1987 r. Ob. J. Nowak dostarczył komplet niezbędnych dokumentów i w tymże też dniu otrzymał decyzję zezwalającą na użytkowanie domku letniskowego, dokonując jednocześnie opłaty skarbowej w wysokości 30.000 zł. Od wydanej decyzji na legalizację domku dla J. Nowaka odwołał się Ob. J. Brzezowski — sąsiad Ob. J. Nowaka do dyrektora Wydziału Planowania Przestrzennego, Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu. Wydział ten 16.09.1987 r. dokonał wizji lokalnej i pismem z 30.09.1987 r. nr UAN 8389-78/2221/87 uchylił naszą decyzję do ponownego rozpatrzenia z powodu niezachowania przez Ob. J. Nowaka właściwej odległości od budynków znajdujących się na sąsiedniej działce tj. Józefa Brzezowskiego.

W tej sytuacji 6.11.1987 r. kierownik Referatu Gospodarki Komunalnej Nadzoru Budowlanego i Komunikacji Urzędu Gminy

W Konopnicy zmuszony był wydać decyzję nakazującą wybudowanie J. Nowakowi od strony nieruchomości Ob. J. Brzezowskiego ściany o odporności ogniowej co najmniej kl. I jako ściany oddzielenia przeciwpożarowego z terminem wykonania do 30.04.1988 r. Po wykonaniu tego obowiązku Ob. J. Nowak wystąpił ponownie do tutejszego Urzędu o uzyskanie decyzji na użytkowanie tego domku, lecz już bez dodatkowej opłaty skarbowej.

W powyższym artykule zarzuca się też, że Ob. E. Janik jest często nieobecna w pracy. Stwierdza się, że charakter pracy E. Janik, jaką wykonuje w tutejszym Urzędzie, wymaga częstych kontroli budownictwa indywidualnego w terenie. Ob. E. Janik oświadczyła również, że umieszczony w artykule zarzut o tym, że poinformowała Ob. J. Nowaka, że naczelnik gminy jest nieobecny w pracy, ponieważ „siedzi nawóz w polu” jest nieprawdą, ponieważ takiej informacji nikomu nie udzielała. W tej sprawie jest oświadczenie E. Janik.

Kończąc powyższe wyjaśnienie szkoda, że w tej sprawie nie sprawdzono dokumentacji dotyczącej legalizacji samowoli budowlanej domku letniskowego Ob. Józefa Nowaka.

Za wszystkie nietaktowne zachowania się pracowników tutejszego Urzędu wobec Ob. Józefa Nowaka serdecznie przepraszam Józefa Nowaka oraz redakcję tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy” za interwencję prasową w tej sprawie.

Odnośnie zachowania się E. Janik w stosunku do mnie jak to stwierdzono w artykule, to wymieniona została ukarana nagana z zastrzeżeniem, że jeżeli podobne przypadki nadal będą występować, to wyłączenie będą dalsze wnioski służbowe łącznie do zwolnienia z pracy.

Do wiadomości: Ob. mgr Ryszard Wojciechowski — Rzecznik Prasowy Wojewody Sieradzkiego.

STANISŁAW MISIAK
(naczelnik gminy)

OSWIADCZENIE

Ja niżej podpisana, uprzedzona o odpowiedzialności karnej z art. 247 k.k. za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy oświadczam, że zwróciłam uwagę Ob. Jerzemu Wójtowi, wówczas kier. Ref. Gospodarki Komunalnej, Nadzoru Budowlanego i Komunikacji, że w czasie mojej nieobecności nie powinien przysyłać interesantów do domu. Sprawy powinien załatwić osobiście, a jeśli była taka potrzeba, to mógł sam ze mną się skontaktować. Przy tej rozmowie był obecny Ob. Budzik Kazimierz oraz Ob. Nowak Józef. Oświadczam również, że nigdy Ob. Nowaka nie informowałam, że Naczelnik Gminy jest w polu i „siedzi nawóz”.

ELEONORA JANIK

OSWIADCZENIE

Ja niżej podpisany uprzedzony o odpowiedzialności karnej z art. 247 k.k. za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy oświadczam, że byłem świadkiem rozmowy Ob. Janik Eleonory z kierownikiem Referatu Gospodarki Komunalnej, Nadzoru Budowlanego i Komunikacji Ob. Jerzym Wójt, podczas której Ob. Janik E. zwróciła uwagę Ob. Wójt J., że w czasie nieobecności pracownika nie należy przysyłać interesantów do domu pracownika. W takich sytuacjach kierownik referatu powinien skontaktować się osobiście z pracownikiem w celu wyjaśnienia danej sprawy. Przy w/w rozmowie obecny był również Ob. Nowak Józef zam. w Łodzi.

KAZIMIERZ BUDZIK

KTO CHCE SIĘ DOROBIĆ NA BRAKU KREMU DO GOLENIA?

Od dłuższego czasu do produktów, których z jakichś tam przyczyn nie można lub nie opłaca się robić — należy krem do golenia. Ot, niby błahostka, lecz denerwująca tak samo jak sprawa papieru toaletowego i rozważań Sanepidu czy szalety publicznej z braku takowego zamknąć czy nie.

W momencie, kiedy zaczynam się golić przy pomocy zwykłego mydła (dobrze, że choć pachnącego, a nie np. szarego) pojawia się w kioskach „Ruchu” jugosłowiański krem do golenia. Po 350 zł za tubkę. Nie powiem: jest on o kilka punktów lepszy od produktów „Polienu”. Czy jednak uzasadnia to taką cenę i skąd w ogóle ta cena się wzięła?

Sądzę, że z szufitu. A może z porównania do cen alkoholu, bo wobec nich wszystko jest u nas tanie.

Gdyby ktoś usiłował mi wmówić, że zastosowano przelicznik z oficjalnego kursu dolara, to jestem gotów kupować krem bez żadnych wahań. Pod warunkiem, że będę zarabiał miesięcznie na przykład 1200 dolarów, co — jak mówią świadkami rzeczy — wcale nie jest wygórowaną pensją. A do tej chwili będę miał świadomość, że ktoś usiłował na braku środków do golenia zrobić dobry interes.

W. AFELT

PARĘ NIEŚCISŁOŚCI

Informacje podane przez R. Nakoniecznego w recenzji filmu „Imię róży” (Odgłosy nr 9 z 27.02.88) wymagają sprostowania, zwłaszcza, że ta ekranizacja powieści Umberto Eco znajduje się zapewne na naszych ekranach. Autor recenzji podaje, iż do realizacji filmu „Długo szukano odpowiedniego obiektu” (tzn. klasztoru). W rzeczywistości budowla taka nie istnieje. Posłużono się bowiem makietą — swoistą kompilacją różnorodnych elementów średniowiecznej architektury klasztornej z terenu północnych Włoch. Tylko w niewielkim stopniu wykorzystano wnętrza prawdziwej budowli — cysterskiego klasztoru w Eberach w Rhenland-Pfalz (RFN).

Natomiast inspirację dla labiryntu — biblioteki stanowił słynny oktagonalny zamek Fryderyka II Hohenstaufa — Castel del Monte w Apulii. Na koniec jeszcze jedna uwaga. Podane przez R. Nakoniecznego nazwisko reżysera „Miłości Swanna” brzmi Schloendorff a nie Schlöndorff. Takiego błędu recenzentowi filmów robić nie wypada — Schlöndorff to przecież postać znana jako twórca „Błazanego bębna” (Złota Palma w Cannes i Oskar w 1979 r.).

JAN SARM

GAZ DLA OSIEDLA „CHELMY — LAGIEWNICKA” W ZGIERZU

Nawiązując do ostatnich interwencji rozgoryczonych mieszkańców osiedla „Chelmy — Lagiewnicka” w Zgierzu (notatka z 12.12.87) w sprawie przedłużającej się budowy osiedlowej sieci gazowej uprzejmie informuję, że 23 stycznia 1988 r. odebrana została ostatnia partia gazociągów i w tym sposób zakończona została inwestycja realizowana przez Spółeczny Komitet Budowy Gazociągu w partycypacji finansowej z Urzędem Miejskim w Zgierzu.

Aby korzystać z gazu mieszkańcy jeszcze muszą załatwić w sposób indywidualny sprawy rzeczowe i formalne związane z przyłączami, instalacjami wewnętrznymi i gazomierzami. Znajdą jednak dużą operatywność Społecznego Komitetu i środowiska, jestem przekonany, że sprawy te będą załatwione sprawnie i bezkonfliktowo.

Obiektywnie dodam, że pomyślne zakończenie sprawy jest przede wszystkim wynikiem skutecznego współdziałania mieszkańców zorganizowanych w Społeczny Komitet oraz zawsze inspirującym formom Waszych artykułów i notatek w przedmiotowej sprawie.

mgr inż. PAWEŁ WITCZAK
(wiceprezydent m. Zgierza)

UWAGA, KONKURSY!

Do 31 marca 1988 roku należy nadsyłać prace na konkurs ogłoszony przez ZG ZSMP i Klub Spraw Młodzieżowych SD PRL oraz na konkurs ogłoszony przez Dowództwo Pomorskiego OW i Pomorskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Oba konkursy są przeznaczone dla dziennikarzy. Prace poświęcone wojusku należy nadsyłać pod adresem: Zarząd Polityczny Pomorskiego OW, ul. Dzwonickiego 1, 85-915 BYDGOSZCZ 15 z dopiskiem na kopercie: „Żołnierska do rzecz”.

Prace o życiu młodzieży mogą nadsyłać zarówno zawodowi dziennikarze, jak i członkowie Młodzieżowych Wszechnic Dziennikarskich. Wycinki prasowe, taśmy magnetofonowe, scenariusze programów TV należy nadsyłać pod adresem: Zespół Rzecznika Prasowego ZG ZSMP, ul. Smolna 40, 00-920 WARSZAWA. Główna nagroda wynosi 60 000 złotych.

Tygodnik „KRAJOBRAZY” ogłosił ogólnopolski konkurs na reportaż pod hasłem: „SZANSE I BARIERY”. Konkurs nosi imię Wojciecha Kętrzyńskiego i ma na celu ukazanie życia ludzi na Suwalszczyźnie. Przewidziano główną nagrodę w wysokości 100 000 złotych oraz pozostałe nagrody w sumie 180 000 złotych. Reportaże nie powinny mieć więcej niż 15 stron maszynopisu i nie mogą być wcześniej publikowane. Nadesłać je należy do 31 maja 1988r. pod adresem: Redakcja „Krajobrazy”, ul. Tadeusza Kościuszki 32, 16-400 SUWAŁKI. Tam też można dowiedzieć się bliższych szczegółów dotyczących konkursu.

Również 31 maja 1988 roku upływa termin nadsyłania prac na Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Władysława Krywickiego. Konkurs przeznaczony jest dla twórców nieprofesjonalnych, nie należących do ZLP, SAP czy SD PRL. Wymagane są prace nie publikowane w objętości 12 stron maszynopisu, podpisane godłem. W osobnej kopercie — też oznaczonej godłem — adres, nazwisko. Pierwsza nagroda 20 000 złotych. Suma nagród pozostałych wynosi 50 000 złotych. Osobną nagrodę ufundował dyrektor Zakładowego Domu Kultury „KARO” w Siedlcach. Prace należy nadsyłać pod adresem: ZŁE „KARO”, ul. J. Marchlewskiego 15A, 08-110 SIEDLCE, z dopiskiem na kopercie: „IV KL im. Wł. Krywickiego”. W ZDK „KARO” w Siedlcach można dowiedzieć się bliższych szczegółów na temat konkursu.

Wszystkim, którzy zdecydują się na udział w konkursach, o których informujemy, życzymy powodzenia!

REDAKTOR DZIURNY

POCZTA LITERACKA

Od paru naszych miłych Czytelników otrzymałem listy z prośbą o ocenę artystyczną nadesłanych tekstów, listów kończących się znamionym apelem, iżby — jeśli nie będą warte druku — wrzucić je do redakcyjnego kosza. Nie jest w naszym zwyczaju takie beceremonialne obchodzenie się z literaturą, nawet tą „raczkującą” dopiero, zaś między literackimi początkami a debiutem jest jeszcze kółka pośrednich stopni prowadzących raczej do góry (roznowa, list, poradnictwo literackie) niż w przepaść redakcyjnego kosza. Dlatego serdecznie zachęcam do dalszego pisania panią Alinę S.B. z Radomia. Wiersze świadczą o dużej wrażliwości, są autentyczne, bez makijażu „modnych” poetyk. Oczywiście, pewne fragmenty można by jeszcze korygować, zrezygnować z paru „tworzydeł” (stereotypów literackich), ale to już sprawa do „Innej bajki” czyli listu, który już niebawem do Pani wyeksponuję. Serdecznie pozdrawiam.

Pan Marek W. również sądzi, że jego wiersze w tym przystojnym koszu się znajdują. Na druk może jeszcze za wcześnie, ale już teraz teksty te wstyd Autorowi nie przynosić. Młodzieńcze, uczniowskie nawet — zważywszy, że rewizja lekcji języka polskiego jest motywem dwu przynajmniej utworów — obiecuje, iż w panu Marku znajdzie może w przyszłości konkurenta; taka literacka „nadświadomość”, dystansowanie się i trochę ironii jest dobrą szkołą krytyków.

Pan Piotr U. Łódź — Opowiadanie „Hotel Europejski”, typowy „zapis z życia delegacyjnego”, nasza szara edukacja sentymentalna zapowiada być może dobrego reportera. I może w tym kierunku pójść dalsza twórczość Pańska. Opowiadanie jest jakby „jednowymiarowe”. Wszystko tu poprawne, anegdota wyraźna, narracja dość żywa, ale właściwie wszystko to jest repetycja znanych motywów literackich. Proszę wskazać o nadesłanie jeszcze kilku opowiadań (pisze Pan, iż szuflady od nich pękają), będę mógł wtedy postawić właściwszą „diagnozę” literacką.

Pan Janusz C. Rybnik — Opowiadanie interesujące. Proszę o cierpliwość. Napiszę.

PuB

SPROSTOWANIE

W moim artykule („Odgłosy” nr 12/1564) traktującym o cmentarzu żydowskim w Łodzi, wkradła się dość istotna nieścisłość, a mianowicie, napisałem, „są tacy Żydzi w Polsce, którzy czytają Torę bez względu na to, czy zwoje trzymają we właściwy sposób, czy też „do góry nogami”. Otóż zbierając materiał do wspomnianej publikacji, byłem w Kongregacji Wyznania Mojżeszowego w Łodzi u pana prezesa Bera Minca i tam mówiono mi o wielu sprawach dotyczących cmentarza żydowskiego oraz Żydów. Informacji było więc sporo, mogłem więc opatrzenie zrozumieć sens wypowiedzi i stąd owe niezręczne i krzywdzące sformułowanie, za które przepraszam wszystkich zainteresowanych.

Ponadto w części dotyczącej płyt nagrobnych chodziło o akrostychy, a nie o anagram, użycie którego wypaczyło cały sens cytowanego napisu.

EUGENIUSZ IWANICKI

A może do kina?

Młodym widzom proponujemy film Andrieja Praczenki — „KAPITAN WEDROWCA”, oparty na podstawie powieści Julesa Verne'a — „Piętnastoletni kapitan”. Jest to druga już filmowa wersja przygód dzielnego Dicka Sanda, jaka pojawiła się w kinie radzieckim. Pierwsza powstała w 1945 r., a reżyserem był Wasyl Żurawlew. Film Praczenki nie jest jednak wierną adaptacją książki (w przeciwieństwie do utworu Żurawlewa). Z książki autorzy zaczerpnęli najważniejsze wątki, głównych bohaterów, ale — wykorzystując środki współczesnego kina — zrealizowali atrakcyjne widowisko ze wszelkimi atrybutami gatunku przygodowego.

W rolach głównych, obok popularnych aktorów Alberta Filczowa, Tatiany Parkinej, Lwa Durowa wystąpił Wiaczesław Chodczenko, uczeń z Kijowa.



„KACZOR HOWARD” to kolejna superprodukcja hollywoodzka, której reżyserem jest Willard Huyck. Znajdziemy tu pełną skalę możliwości technicznych, a główną z nich jest tytułowy Kaczor Howard, bohater komiksu sprzed dziesięciu lat, którego twórcą był Stev Gerber. Film opowiada o przygodach mieszkanka Kaczego Świata, który za pomocą tajemnej siły zostaje przeniesiony na planetę Ziemia. Doświadcza nieznanej mu dotąd ludzkiej brutalności, której męźnie stawia czoło. W roli głównej zobaczymy L. Thompsona.



Fakty ◇ plotki ◇ anegdotki

* Firma dystrybucyjna Jeck Film zorganizowała w Paryżu przegląd sześciu filmów Jerzego Kawalerowicza. Marek Kotowski ze swoim filmem „Życie wewnętrzne” został zaproszony do udziału w konkursie festiwalu filmu autorskiego w San Remo. Dyr. festiwalu Nino Zucchelli zaproponował też, aby „Dom wariatów” zaprezentować w sekcji informacyjnej. Zamierza również zorganizować przegląd twórczości ubiegłorocznego laureata Antoniego Krauzego.

* Józef Węgrzyn, szef Warszawskiego Ośrodka TV, współtwórca popularnych programów: „Teleexpressu” i „Panoramy dnia”, laureat dwóch „Złotych ekranów”, z dniem 1 marca br. objął stanowisko dyrektora — redaktora naczelnego drugiego programu TV. Program pierwszy TV zapowiada na najbliższe tygodnie wiele interesujących propozycji, m.in. 75-odcinkowy serial brazylijski „Wiergini”, serię dokumentalno-biograficzną prezentującą sylwetki m.in. Josephine Baker, Marilyn Monroe, pisarki Colette i słynnej projektantki mody Coco Chanel. Dwójka zaś zamierza przebić te propozycje amerykańskim serialem „Piotr Wielki”, przeglądem filmów Federico Felliniego i cyklem filmów z Jeanne Moreau.

* Włóczyński reporter donosił, iż w warszawskiej kawiarni „Mazowie” odbyło się uroczyste pożegnanie Zbigniewa Napierały, dyrektora Dwójki, który przy lampce wina obdarował niektórych swoich współpracowników... skarpetami przysłanymi przez Romana Polańskiego...

* Sławny aktor — Arnold Schwarzenegger pojawił się na Placu Czerwonym w Moskwie w mundurze... radzieckiego milicjanta. Gra bowiem główną rolę w filmie „Red Heat” (Czerwony upał) o międzynarodowej aferze narkotycznej.

* „Naszemu celem jest dziennik autorski, porzucenie formuły spikersko-lektorskiej, rezygnacja z czytania tekstów bez podnoszenia głosu nad kartki. Postaramy się nawet odpowiedzieć na wyzwanie telewizji satelitarnej” — wyznał Andrzej Bilik, dyrektor programów informacyjnych TVP. Można więc wnosić, że zaprezentowany w ub. tygodniu Dziennik Telewizyjny z Koszaliną jest zwiastunem zapowiadanych zmian. Dawniej — jak utrzymują znawcy — trudno było o bezpośrednie transmisje festiwalu w Kotobrzegu z uwagi na trudności techniczne (gęsta itp.), koszty. Teraz widać, pokonaliśmy wszystko.

„Moje życie na trasie Warszawa — Łódź Fabryczna”

— rozmowa z RADOSŁAWEM PIWOWARSKIM, reżyserem filmu „Pociąg do Hollywood”

Określając twórczy styl Radosława Piwowarskiego krytycy filmowi próbowali przypisać reżyserowi realizowanie lirycznych, pełnych poezji melodramatów o ironicznym zabarwieniu. Niewątpliwie są to cechy symptomatyczne dla jego twórczości, a ostatni jego film „Pociąg do Hollywood” zdaje się być tego kolejnym potwierdzeniem. Od chwili debiutu fabularnego reżyser postanowił w ciągu trzech lat zrealizować trzy filmy dające różne doświadczenia zawodowe. Po „Yesterday” (1985) — filmie z czterema debiutami aktorskimi R. Piwowarski zrealizował „Kochanków mojej mamy” (1986), film z gwiazdą — Krystyną Jandą w roli głównej i dzieckiem. Dalszą próbą sprawdzenia własnych możliwości miała być komedia „Pociąg do Hollywood” (1987).

— Co skłoniło pana do zrealizowania „Pociągu do Hollywood”?

— Od ukończenia szkoły średniej w Warszawie, mieszkając w której mieszkam, niemal całe moje życie upłynęło w pociągu. Zaczęło się to z chwilą podjęcia studiów reżyserskich w PWSTWiT w Łodzi. Później w tej samej uczelni byłem asystentem. Także w Łodzi zrealizowałem swoje pierwsze filmy ożeniłem się z Iodanką w Łodzi mam bardzo dobrych przyjaciół oraz ogromny sentyment do tego miasta. Właśnie tutaj mój film „Yesterday” cieszył się największą liczbą widzów. Ogromnie doceniłem wysiłek ludzi odpowiedzialnych za reklamę przy okazji chciałbym podziękować pracownikom łódzkiego OPRF-u za wspieranie reklam i dystrybucję moich filmów. Bardzo mi zależy na łódzkich kinomaniach. Krótko mówiąc, spędziłem godzinę spędziłem w pociągu i chciałem o tym nakręcić film. Kiedyś policzyłem wszystkie kilometry przejechane przeze mnie na trasie Łódź — Warszawa i z powrotem, to proszę rachunek wykażal że z powodzeniem dojechałbym do Hollywood...

Zdawałem sobie sprawę z tego, że gdybym nakręcił film autobiograficzny „Pociąg do Łodzi” z sobą w roli głównej, to nikogo nie zainteresowałoby, to historia, więc siebie zamieniłem na ładną dziewczynę — Katarzynę Figurę, a trasę wiodła do Hollywood...

Poza tym czuję się jedną z gałęzi wielkiego drzewa ludzi filmu i ten film jest hołdem dla jednego z największych magów kina — Billy Wildera. Jemu właśnie ten film zadedykowałem. Z drugiej strony był to hołd złożony wszystkim tym, bez pomocy których żaden film nie mógłby powstać a więc dla reżyserów, statystów, oświetlaczy, charakterystatorów, kostiumografów itd...

— W odróżnieniu od poprzednich pana filmów ten miał być komedią?

— Próbowałem zrealizować komedię, ale obawiam się, że mój zamysł nie powiódł się do końca. Myślę, że podstawową przyczyną była awaria w Czarnobylu... W tym samym czasie kręciliśmy scenę na stacji Gruzeczka. Od tej pory naszą ekipę filmową zaczęły spotykać same nie-szczęścia: polamana Kasia Figura chodziła w gipsie, zginął nam podstawowy rekwizyt filmowy — pociąg... Stoczył się do lasu, a tam miejscowa ludność pozbawiła go kabli, żarówek itp. Nawet

żeby nakręcić finałową scenę ze złotą rybką musieliśmy cztery razy jeździć nad morze, bo albo była mgła, albo nie było potrzebnej tali...

Te nieprzewidywane kłopoty przestały mnie śmieszyć i liryczna część mojej duszy wzięła górę nad komediowymi planami. Prawdę mówiąc nakręciłem materiał na komedię, ale uświadomiłem sobie, że chcąc zrealizować film właśnie w tym gatunku, musiałbym znacznie przekroczyć granice dobrego smaku.

— Stylizacja pańskiego filmu balansuje na granicy żartu i umowności w doborze środków wyrazu artystycznego, dających się głównie zauważyć w grze aktorskiej. Czym był podyktowany ów nadrealizm?

— Jest to zabieg celowy i konsekwentnie realizowany. Zauważyłem od pewnego czasu, że w wielu dobrych filmach poziom gry aktorskiej jest szalenie wyrównany. To sprawia, że widzowie zupełnie nie pamiętają poszczególnych bohaterów. Zależało mi na tym, aby moim aktorem udało się przedrzeć do pamięci publiczności filmowej i chyba tak się stało...

Wszyscy moi aktorzy zostali zauważeni. Jerzy Stuhr na Festiwalu Filmowym w Gdyni otrzymał nagrodę za najlepszą rolę drugoplanową. Piotr Siwkiewicz został wyróżniony nagrodą im. Zbyszka Cybulskiego dla najlepiej zapowiadającego się aktora Katarzyna Figura stworzyła postać, która przyniosła jej „Złotą Kaczkę”, nagrodę tygodnika „Film”, dla najpopularniejszej aktorki roku.

Poza tym myślę, że istotą kina są emocje. Realizując film sam im podlegam, dlatego chciałem, aby każdy gest przemawiał do widza, zwłaszcza że w naszych kinach bardzo źle widać i bardzo źle słychać. Fatalne warunki odbioru sprawiają, że do widza nie dociera emocja. A mnie się tak marzy, aby zakochani siedzący w ostatnim rzędzie kina w Sieradzu między pociekami mieli pełną orientację o tym, co dzieje się na ekranie.

— Co chciał pan swoim filmem przekazać widzowi?

— Przez wiele lat reżyserzy filmowi, przy pomocy krytyków, wmówili widzowi, że mają jej coś do przekazania. Wydaje mi się, że zmienia się funkcja widza filmowego. To nieprawda, że reżyser ma coś do powiedzenia widzowi. Dla mnie najważniejsze jest przetrwanie i rozwój z samego powodu kreowania filmu. Jeżeli jest coś takiego metafizycznego, że celowałaś taśma to coś z moich chęci przenosi, to dodatkowa satysfakcja pynie dla twórcy...

Moje filmy wyrażają mój zachwyt nad światem, zachwyt daleki od wszelkiego krytykowania jego natury.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Ponieważ telewizja dostarcza mi kilka chwil wzruszeń — np. film pt. „Listy martwego człowieka”, nad którym można by się publicystycznie rozognić — więc powinienem może zachłystnąć się entuzjazmem.

Ale, że chwil tych było tylko kilka, to pomimo iż i tak wypada uznać to za ogromny sukces, zdecydowałem się okazać troskę o stan naszej telewizji i rozpisad się konstruktywnie.

W dalszym bowiem ciągu to ja czekam na dobry program, a nie dobry program na mnie.

Telewizja wyznacza, a przynajmniej powinna wyznaczać rytm życia, lansuje lub raczej utwierdza wzory zachowań, kształtuje gusty itp.

Skoro jednak wdziera się w moje domowe ognisko, to niechaj czyni to z gracją, jak dama o zbiekającej krwi, a nie ładacznicą.

Śladowe jak na razie oznaki subtelności tej pani są widoczne i pragnęlbym, aby proces jej reedukacji następował trwale.

Porównywać polską telewizję z zachodnią nie sposób, bo tam gdzie gospodarka mniej szwankuje, a przeciętny obywatel zna swoje miejsce w życiu, opiera się na trwałych podstawach i zżyzwyczaj jest zadowolony, telewizja to sprawnie funkcjonujący

TV

List głodnego telewizzka II

mechanizm, który stanowi tylko dodatek do życia, aby przyciągnąć, musi oczarować.

Pomijam tu wszelkie wynaturzenia — bójki, pogonie, trupy w nadmiernej ilości — bo to są konieczne koszty konkurencji i walki o widza. Ostatecznie nie trzeba tego oglądać, zaś dziecku można przyłożyć, gdy za wcześnie chce być dorosłym.

Jeśli jednak burzliwość się trzyma i ma nie najgorzej, to, pomijając względy ogólnej natury, świadcząc to może o tym, że telewizja jest właściwie wkomponowana w system społeczny, tyle że konsumenci bardziej wybrzydza i wszelkie treści go kształtujące należy podawać w coraz atrakcyjniejszej opakowaniu.

U nas jak dotąd telewizja nie kształtuje, lecz tylko ukazuje rytm życia, który jest spowolniony i, jak sądzę, coraz bardziej odpowiada członkom Towarzystwa na rzecz Świadomości Krzyżowej.

W tej sytuacji zapał młodzieży z „Teleexpressu”, która brzęczy codziennie i jeszcze jej się nie odechciało, budzić musi głębokie zdumienie, a ponieważ i ja nie zacząłem jeszcze szukać lotosowych stóp Pana, mają więc moje moralne poparcie.

I gdzie jest Reszczyński, że zaingerując przy okazji w dział kadr.

Pojawilo się i utrwała kilku profesjonalistów — np. Sobczuk, Szynkiewicz, oczywiście Guca i Sawicki — którzy nie tylko mają coś do powiedzenia, ale jeszcze umieją to powiedzieć i którzy nie tylko umieją powiedzieć, ale jeszcze mają coś do powiedzenia.

Natomiast buzi Niny Terentiew to ja chcę oglądać, ale pod warunkiem, że otwierała się będzie jak najmniej.

Passent coś napomknął o parlamentarnym systemie rządów, ale nie wiem czy się nie prześlizgnął.

TOMASZ
KUBIK

„Dwie sceny”

puszczają się w nim nawet wręcz błędów, ich wypominanie jednak byłoby podobne do zachowania studentów pierwszych lat filozofii wyliczających z satysfakcją niekonsekwencje logiczne Platona. Ciekawe wreszcie, że te filmy-testamenty są na ogół niezwykle proste, omijają jakby całą kłopotliwą powierzchnię współczesności i raz jeszcze przywołują sprawy i wartości fundamentalne: miłość, śmierć, przyjaźń, samotność... Normalnie można o nich usłyszeć dziś niemal wyłącznie w nocnych lokalach i to dopiero nad ranem, tu zaś znajduje swoje odkupienie i właściwą rangę, choć bez ostentacji i gwałtowności, jakby starzy mistrzowie nie chcieli już — kogokolwiek przekonywać, albo nie mieli nadziei, że może się to w ogóle udać; mając ochotę, to wierzyć, nie, to nie.

Wszystkie te blaski i cienie są w „Ranie” sędziwego Akira Kurosawy. Począwszy od nagrodzonego w Wenecji w 1951 roku „Rashomona” Kurosawa stał się na całym niemal świecie symbolem japońskiego kina, a po części i całej japońskiej sztuki, chociaż w swojej ojczyźnie zdobył sobie raczej opinię producenta świetnych pocztówek z przeznaczeniem na eksport.

I rzeczywiście: w porównaniu z takim na przykład Kenji Mizoguchim — też zresztą nie był jakim mistrzem w swoim fachu — Kurosawa

wychodził na kosmopolitę zapatrzony bardziej na kulturę zachodnią niż własną, co, z drugiej strony, ułatwiło mu zdobycie wielkiej popularności, a stare problemy zmęczonych Europy w kostiumie japońskim przez chwilę znów wydawały się świeże i aktualne.

W „Ranie” atmosfera ta jest wyraźnie uchwytana, szczególnie poprzez narzucające się skojarzenia z Królem Learem i Makbetem; Szekspir zresztą zawsze był bardzo bliski japońskiemu reżyserowi i w swoim czasie publiczność Nowego Jorku, Paryża a także Warszawy, z dużym zainteresowaniem obejrzała „Troi w król”, czyli japońską wersję „Makbeta”.

Teraz jednak Kurosawa zaledwie powołuje się na stare wątki,

tempo i powtórzenia sprzyjają medytacji. Większość wielkich dzieł, także na poziomie szeroko pojętego warsztatu, skierowanych było w przyszłość, wywołując niekiedy poważne kontrowersje (po „Obywatelu Kane” ukazało się kilkanaście recenzji interpretujących film w diametralnie różny sposób, po projekcji „Przygody” w Cannes Antonioniego obrzucono niewielkimi słowami, „Ran” zaś zwraca się cały ku przeszłości — chociaż prawdą jest też, że sytuacja w kinie jest dziś inna i epoka wynalazków zdaje się dobiegła kresu).

W każdym razie są w „Ranie” przynajmniej dwie sceny, które powinny zmieścić się w historii kina.

Pierwsza to stak synów na za-

podpiera nimi, aby prowadzić własne rozliczenia ze światem. Jak w każdym ludzkim życiu nie przedstawiają się one najlepiej, na świecie bowiem jest strasznie mało miejsca na szlachetność i w ogołcie jakiejkolwiek „ludzkiej” uczucia, poza egoistyczną żądzą władzy, pieniędzy i używów. Iż to raz oglądaliśmy już smutne konstatacje na ekranie! Ale czy przed „Osem i pół” nie było filmów o rozterkach artysty, przed „Obywatel Kane” nie podejrzewano, że człowiek jest niezgrabny, przed „Tam, gdzie rosną poziomki” nie wiedziano, że mimo gorących pragnień nie ma powrotu do dzieciństwa, a przed „Przygodą” nie ośmieszowano niepokojącego rozpadu kontaktów między ludźmi? Oczywiście, że były, podejrzewano, wiedziano i obserwowano, a jednak po dziełach Felliniego, Wellesa, Bergmana i Antonioniego to wszystko stało się jakby wyraźniejsze, nie tylko dla mózgu, ale i dla serca.

Czy podobna ranga ma także film Kurosawy? Chyba nie.

Być może dlatego, że porusza się na zbyt wysokim poziomie abstrakcji (choć równocześnie wywołuje przez to rzadko doznawane w kinie wrażenie obcowania z jakimś fatum kierującym ludzkimi losami), a być może na skutek zbyt odlegającego od powszechnego dzisiejszego sposobu opowiadania (choć wolne

mek sędziwego ojca, który rozdzielił między nich swoją władzę i majątek — perfekcyjnie zainscenizowana i zmontowana, pełna dynamiki, ale bez rezygnacji z wysmakowanych kadrów).

Druga zaś to rozmowa obłąkanego króla ze swoim jedynym wiernym sługą i blaznem tocząca się w wysokiej trawie, falującej jak ocean pod uderzeniami wiatru. Tu, na odmianie, nie ma fałszerstw. Jest niesłychanie sugestywna i przejmująca wizja obłąkanego świata, nadająca się — niestety — doskonale jako symbol coraz większej ilości wydarzeń, które nas otaczają.

RYSZARD
NAKONIECZNY

„RAN”, reż. Akira Kurosawa, s.dj. Takao Saito i Masaharu Ueda, muz. Tani Takamitsu, aktorzy: Tatsuya Nakadai, Akira Terao, Jinpachi Nezu, Daisuke Ryu.

Jak preparowano „sprawę komsomolską” (2)

Szczegółowo wierszyli w nauki wodza światowej rewolucji. Rzetelnie wykonywali swoją pracę. Nieoczekiwanie dla siebie samych stanęli wobec fałszywych oskarżeń. Znaleźli się w obozach lub ponieśli śmierć.

Gdzieś, za grubymi, szczerbymi murami więzienia kipiało życie. Pstrzyły się od hasła ściany domów. Zmobilizowany przez Aleksandra Kosariewa Komsomol budował drogi, porty, drażył tunele dla metra, uczył się latać i skakać ze spadochronem. Rwał się na wojnę do Hiszpanii. Współwodził, spierał się, śpiewał. Dokonywał wielkich czynów. Z imieniem Józefa Stalina na ustach. Wydawało się, że nikt w nie nie wątpi. Kosariew? Pikina? Gorszenin? Dobrze im tak! Oderwać psie głowy wrogom ludu! Po bezkresnych przestrzeniach kraju przetoczyła się fala komsomolskich zebrań, podejmowano groźne uchwały. Pamiętali, komsomolcu, wrog czyni wszędzie! Stalinowsko-bolszewickiej przynależności uczymy się od towarzyszy Olgi Miśkowskiej! Śmierć zdradcom!

Na przesłuchaniach pytania ciągle te same, a twarze nowe. Bogdan Kobulow, naczelnik wydziału śledczego NKWD, komisarz państwowej służby bezpieczeństwa. Żółte, wilcze oczy.

— Przygotujmy tutaj młodzieżowy proces. Powinnyście wystąpić i odpowiedzieć, dlaczego wy, dziewczyna z robotniczej rodziny, posunęłyście się do udziału w organizacji, której działalność była wymierzona w partię. Czy Kosariew werbował?

Chwilami Walentina Pikina miała wrażenie, iż traci świadomość.

— Zrozumcie, że nikomu z was nie spadłby włos z głowy, gdyby nie było wyraźnej zgody Stalina! Możemy tutaj wszystko zrobić z wami i nie będziemy odpowiadać!

Stanie na baczność, pobicia, ataki psychiczne. 240 dni pojedynczej celi...

10 lipca roku 1934 Centralny Komitet Wykonawczy ZSRR podjął uchwałę, której pkt. 8 głosił:

„Zorganizować przy komisarzu ludowym spraw wewnętrznych ZSRR Komisję Specjalną, która na podstawie specjalnego regulaminu o- trzymuje prawo stosowania w trybie administracyjnym deportacji, zesłania, zamknięcia w obozach pracy i wychowania na okres do lat 5 oraz deportacji poza granice ZSRR”.

Wspomina Walentina Pikina.

— W obozie za główne zadanie uważałam przetrwanie, nierozklejanie się. Za „swoje” sprawy znajdowało się tutaj pięć osób, pozostałe były żonami „wrogów ludu”. Często wspominałam, z jaką wytrwałością znosił Włodzimierz Lenin carskie więzienia. KC Komsomolu wysłał czasami przez Międzynarodówkę Młodzieżową towarzyszy do nielegalnej pracy za granicą. Myślałam o nich i przekonywałam siebie o konieczności wewnętrznej mobilizacji. Trzeba było wyrzucić się samego siebie, nie można było siebie oszczędzać.

Zdecydowałam się za wszelką cenę wystąpić list do Józefa Stalina, gdyż wierzyłam, że wszystko to, co się wokół działo — było jakimś bezsensownym nieporozumieniem. Pomogła mi w tym Anna Rożina, żyjąca do dzisiaj w Leninogradzie. Ania zaszyła list w pantoflu, który razem z innymi rzeczami przekazałam matce podczas odwiedzin. Strażnicy to przeoczyli.

Oto treść listu.

„Do Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych ZSRR Józefa Stalina.

Od byłej deputowanej Rady Najwyższej ZSRR z Republiki Maryjskiej Walentyny Pikinej.

Notatka informacyjna

Uważam za swój obowiązek poinformować Was o tym, co w ciągu dwóch i pół roku wi-

działam na własne oczy w czasie realizacji bolszewickiego hasła walki z wrogami ludu, która w sposób zasadniczy umożliwiła rozgromienie wrogich ośrodków w naszym kraju. Organy NKWD, a zwłaszcza Wydział Specjalny, popełniły błędy, w wyniku których wielu uczciwych, oddanych partii i Ojczyźnie ludzi uciekało. Wrogowie ludu, którzy przeniknęli do organów NKWD, przyłożyli rękę do sprawy wybiecia kadr bolszewickich i spowodowania niezadowolenia z władzy radzieckiej. Wydział Specjalny, wydając wyroki, skazywał czasem ludzi całkowicie niewinnych, zapominając, że za każdym wyrokiem kryje się żywy człowiek.

Dokonałam rozumiem, że gdy mają miejsce wielkie wydarzenia historyczne, mogą zdarzyć się przegrzania, ale Wy zawsze uczyniście, że w naszym kraju najcenniejszym kapitałem jest człowiek. Nawet przez chwilę nie zapomniałam o tym, że w okresie budowania społeczeństwa komunistycznego walka klasowa nie gaśnie, lecz rozwija się z jeszcze większą siłą. Nie znaczący to jednak, że ludzie, którzy w swoim czasie stali się ofiarami błędów i przegrzania, nie powinni być (jeśli są ludźmi uczciwymi i od-

A życie toczyło się nieprzerwanie dalej

danymi swojej Ojczyźnie i partii) zrehabilitowani i przywrócić do pełnowartościowego życia. W celu naprawienia tych błędów konieczna jest Wasza osobista interwencja w postaci wydania odpowiednich dyspozycji organom NKWD i Prokuratury, albo w postaci stworzenia specjalnej komisji, która poważnie zajęłaby się tym problemem.

Nie wiem, za co zostałam aresztowana i tak ciężko ukarana. Jako podejrzana doświadczylam bardzo wiele. Tego wszystkiego było więcej niż dosyć, aby człowieka winnego zmusić do przyznania się. Metody te jednak do niczego nie doprowadziły, ponieważ nie miałam do czego się przyznać. Kolegium Wojskowe nie mogło mnie skazać z powodu braku dowodów, a Wydział Specjalny skazał mnie na 8 lat obozów, w których teraz odbywam karę.

Mój adres: Mordwińska ASRR miejscowość Jawas, skr. pocz. 241a, obóz NKWD. Walentina Pikina. 9 maja 1941 roku”.

Czego nie wiedziała Walentina Pikina.

Nie udało się ustalić, czy list ten dotarł do Józefa Stalina. Zapłacić zań jednak musiała, reakcja na list była szybka.

Na zachodnich rubieżach kraju grzmiała już wojna, gdy Sąd Najwyższy Mordwińskiej ASRR, po uprzednim anulowaniu wyroku Wydziału Specjalnego, skazał Walentinę Pikinę na 10 lat pozbawienia wolności w obozie karnym, przy wyrobie lasu, razem z kryminalistami.

O wielu rzeczach Walentina Pikina wtedy nie wiedziała. Nie wiedziała o tym, że zostali już straceni wszyscy sekretarze KC WLKZM, w tym i Aleksander Kosariew. Nie wiedziała, że jego żona, Marię Nanejswili, wyznaczoną przesłuchaniami, po późniejszej sfabrykowanej oskarżeniu, wysłano na 10 lat do Noryska, a po drugim aresztowaniu — do Dudinki. Na zesłanie Nie wiedziała, że Wiktor Nanejswili, jej ojciec, rektora Akademii Handlu aresztowa-

wano jesienią 1938 r., torturowano, trzymano przez cały rok w jednej celi z obłąkanymi i rozstrzelano w 1940 roku, nie uzyskawszy od niego przyznania się do winy.

Dopiero w 1954 roku prokurator odnalazł Walentinę Pikinę. Po przylocie z Moskwy powiedział jej: — Muszę się przyznać, że nie mieliśmy już nadziei na zstanie was przy życiu.

Została zrehabilitowana, wręczono jej legitymację partyną, z zachowaniem stażu. Wręczono jej Order Lenina i dwa ordery Czerwonego Sztandaru Pracy. Ale dopiero w 1984 roku dostała specjalną rentę państwową.

11 lipca 1953 roku „Krasnaja Zwiezda” w artykule wstępnym, pt. „Niewzruszona jednostka partii” napisała: „Obecnie zdemaskowany wroga ludu Beria przy pomocy różnorodnych karierowiczkowskich machinacji, pozyskał zaufanie kierownictwa i usiłował się doń”.

Kim był Ławrientij Beria?

Ławrientij Beria urodził się w 1899 roku w wiosce Merchuli koło Suchumi. Do partii wstą-

pił w marcu 1917 roku. W latach 1921—1931 piastował kierownicze stanowiska w organach radzieckiego wywiadu w Azerbejdżanie i Gruzji. Od listopada 1931 roku był sekretarzem KC KP Gruzji a od 1932 — I sekretarzem Okręgowego Komitetu WKP(b). Od roku 1938 był komisarzem ludowym spraw wewnętrznych ZSRR. 9 lipca 1945 r. nadano mu tytuł marszałka Związku Radzieckiego. Aresztowano go, skazano i rozstrzelano w 1953 roku.

— Miałem okazję prowadzić śledztwo w sprawie Ławrientija Berii — opowiada wybitny prawnik Giennadij Tieriechow. — Oczywiście, jego oficjalny życiorys został za jego życia sfalszowany. Ławrientij Beria, był jednym z agentów kontrrewolucyjnej organizacji burżuazyjno-nacjonalistycznej „Musawat” w Azerbejdżanie, co starannie ukrywał. Po jej rozgromieniu w kwietniu 1920 przeszedł do bolszewików. Czy wiedział o tym Stalin? W każdym razie po czątkowo Berii, wyróżniającemu się hołdźnikiem, wydawało się, że zdołał zatrzeć ślady. Jedno tylko go niepokoiło — archiwum wywiadu „Musawat”, które pozostało gdzieś w piwnicach Baku... Dlatego — kontynuuje Giennadij Tieriechow — gdy Beria został komisarzem ludowym spraw wewnętrznych i uzyskał praktycznie nieograniczoną władzę, rozkazał swojemu zastępcy Mierkulowowi, aby dostarczył archiwum do Moskwy. Tak też się stało. Swoje dossier jak by to się działo wydawać nie mogło, Beria do samego momentu aresztowania trzymał u siebie w gabinecie, w sejfie.

Wspomina Walentina Pikina.

— Gdy już pracowałam w Komitecie Kontroli Partyniej przy KC KPZR, nieoczekiwanie wezwano mnie na konfrontację ze Szwarcmanem, który mnie onegdaj przesłuchiwał w „sprawie komsomolców”.

— Czy znacie tę kobietę i kiedy ją poznałiscie? — zapytano przesłuchiwanego Szwarcmana.

— 27 listopada 1938 roku mnie, Rodosa i Arszatską wezwał Beria i dał polecenie, aby 29 listopada aresztować byłych sekretarzy KC WLKZM. Wyznaczył, kto po kogo pojedzie. Od 29 listopada prowadziłem śledztwo w sprawie Pikinej i wtedy ją poznałem.

— Czy stosowaliście wobec Pikinej niedozwolone metody prowadzenia śledztwa?

— Tak, stosowałem. Wszystko, co wtedy stosowano. Proszę obywatelkę Pikinę o wybaczenie.

— Dlaczego po miesiącu przeniesliście Pikinę do więzienia w Lefortowie?

— Na polecenie Berii. I jeszcze dlatego, że w więzieniu wewnętrznym NKWD mimo długich „stojek” niczego nie chciała powiedzieć.

— Co zeznała i kogo obciążyla w Lefortowie?

— Pikina nie złożyła żadnych zeznań.

— Jakże materiały obciążające Pikinę były podstawą jej aresztowania?

— Żadne, oprócz rozkazu aresztowania Pikinej wydanego przez Berię.

— Dlaczego usiłowaliście wydosłać z niej zeznania przy pomocy niedozwolonych metod?

— Gdybym nie robił tego, co mi kazali Beria i Kobulow, znalazłbym się tam, gdzie ona była.

— Czy to prawda, że Aleksander Kosariew żyje, odbywa karę w obozie, pracując w łazni?

— Zapytałem Szwarcmana.

— Nie, to nieprawda. Kosariewa rozstrzelano 23 lutego 1939 r. — odpowiedział.

— Jakże było ostatnie życzenie Kosariewa w celi śmierci?

— Kosariew wezwał mnie, poprosił o papier i ołówek. Dałem mu je. Napisał podanie do Stalina, w którym informował, że niczem nie jest winien. Prosił o utworzenie przy KC partii komisji, która przejrzałaby sfabrykowane przeciwko komsomolom sprawy. Oddałem to oświadczenie Berii. Zapoznawszy się z nim Beria zaczął na mnie krzyżować.

— Czy on oszalał, ja mam o tym meldować Stalinowi?!

W porwy gniewu porwał podanie Aleksandra Kosariewa na strzępy, wyrzucił je do kosza i powiedział:

— Masz odpowiedź.

Walentina Pikina była również na rozprawie jako świadek. Szwarcman przyznał się do winy. Ze łzami w oczach prosił Pikinę o przebaczenie „za to wszystko, co musiała przeżyć”.

Nie wiedząc nie o swoim losie, sekretarze KC WLKZM lat 1937—1938 nie świadczili ani przeciw sobie, ani przeciw innym. Większość z nich zginęła. Ofiary te nie były jednak daremne. Spełniając bolszewicki, obywatelski obowiązek czynem swoim byli może uratowali życie tysięcy dziewcząt i chłopców. Ławrientij Beria przeżył. „Młodzieżowy proces” zawałił się!

Dzisiaj w Związku Radzieckim proces przebudowy ma miejsce również w Komsomole. W latach stagnacji działalność tej organizacji uległa poważnemu zbiorowemu sfabrykowaniu i sfornalizowaniu. Krytyka jej funkcjonowania miała miejsce zarówno przed ostatnim XX Zjazdem WLKZM jak i po nim. W procesie odzyskiwania przez Komsomol wpływu wśród młodzieży istotną rolę odegrać mogą jasne karty z trudnej historii tej organizacji.

Na podstawie artykułu Anatolija Golowskiego z 7 nr tygodnika „Ogoniok” opracował:

HENRYK B. TYMIŃSKI

Tragiczny los synów Józefa Stalina

ze str. 1

luźnych rozmowach dopiero po wojnie, gdy dowiedział się z pewnych źródeł, że syn został w lagrze zastrzelony. Miał pewne wyrzuty sumienia. Nigdy jednak nie okazywał.

Jasza spędził w lagrze 4 lata. Nie szczędził mu sztychów, zniewag i uderzeń.

Swietłana Allilujewa stwierdza:

— „Jasza umarł jak żył, spokojnie i godnie, a jego śmierć przeszła tak samo niezauważenie jak cienie jego życia”.

Drugi syn Józefa Stalina Wasilij był od najmłodszych lat dzieckiem trudnym. Kna-brny, porywczy i zarozumiały przysparzał wychowawcom wiele kłopotów. Profesorem stali listy na Kreml, skarząc się na nieznosny charakter Wasilija i brak postępów w nauce. Józef Stalin brał syna niejednokrotnie na dwanik i młł mu głowę, nie szczędząc baty w obecności całej rodziny. Nie to nie dało. Poślubił więc syna do Akademii Sztabu Generalnego w przeświadczeniu, że rygor i wojskowa dyscyplina syna wyprostują. Tymczasem Wasilija otoczył ciasnym na-

der kółkiem nadzwyczaj zre-czni gracie.

Pod zamaskowaną uniżonością posilkowali się nim do własnych celów jak marionetka. By uzyskać jego poparcie u ojca, stali mu w formie podar-ków konie na dacie i wciąż pow sze samochody. Obsypywali go orderami. Podsunęli mu al-kohol. Ciągłe zalewy, nie miał siły, by studia kontynuować. Zaszyty w swej podmoskiewskiej daczce, wychylał od rana do wieczora jedną butelkę po drugiej.

Na wieść o ciężkim schorze-niu ojca, zjawił się natychmiast w daczce w Kunczewie. Pijany w sztok, usiadł przy stole w przedpokoju z pochyloną głową. Zaczął miaotać przekleń-stwa, nie omijając osób posia-wionych najwyżej. Oni go za-biliłi mamrotał, kogo jednak miał na myśli, nigdy jasno nie sformułował. Oskarżał wszy-stkich wkoło o wszystko. Na-wieści dostało się lekarzom.

Po śmierci ojca zjedyt le-kiem o przyszłość przegnał z domu swą trzecią żonę Kapi-tołinę, szukając ukojenia w nie-przerwanych pijatykach. Niko-

łaj Bulganin, minister obrony, usiłował przywrócić go do po-rządku. Zagroził wprost ostrymi sankcjami. Bez skutku. Was-silij zapisał się, wymyślał, brł na muszkę wszystkich po kolei. Zatracił poczucie rzeczywistości i nie umiał dojść ze sobą do ładu. Wciąż musieł zdawało, że jest pierwszy „po Bogu”.

Upał się również, że Moskwy nie opuścił, choć Nikołaj Bul-ganin wyraźnie tego zażądał.

Aresztowano go w 1955 r. kiedy popijał w gronie rozbawionych cudzoziemców. Nie-bawem wytoczono mu proces. Był oskarżony o korupcję, przywłaszczanie społecznych funduszy i trwonienie państwowego mienia. Obarczono go poza tym odpowiedzialnością za uwieszenie i śmierć wielu niewinnych. Wspomniano o marszałku lot-nictwa Nowikowie i generale a-wiacji Szachurinie. Obu zadenuncjował Wasilij. Stalin bez zwłoki przekazał sprawę dalej. Za marszałkiem i generałem zatrzasnęły się wkrótce z hu-kami więzienne bramy. Zreha-bilitowano ich po śmierci Jo-zefa Stalina i przywrócono do dawnych godności. Zmarł w latach siedemdziesiątych.

Werdykt opiewał na 8 lat więzienia. Wasilij nie wierzył własnym uszom, co takiego, on syn Józefa Stalina miałby pójść do turmy? Nadal nie pojmował, że jest już nieczym. W 1955 r. odwiezła go we Włodzimierz, gdzie odbywał karę, siostra Swietłana i „jego trzecia żona Kapiłolina Was-siliewna”.

Swietłana Allilujewa zanoto-wała: „W ponurym gabinecie ste-dział za biurkiem komendant więzienia, drobny blondyn w

pokrzywionych i polatanych bu-tach z cholewami. Spoglądał na dwie moskiewskie damy w ko-sztownych futrach, nie bardzo wiedząc, o co nam właściwie chodzi. Z tyłu wisiał za nim na ścianie wielki portret Stali-na. Ojciec spoglądał na nas nierzuchomym wzrokiem. Czuliśmy na sobie to jego chmur-ne i badawcze spojrzenie. Was-silij, przyrzekając poprawę, bła-gał, byśmy pomogli mu wy-dostać się na wolność. Pisał prośby już wszędzie, ale napa-tkiwał tylko mur milczenia. Zwią-żę się z Chinczykami, krzychał, oni mi pomogą...”

Wasilij przebywał w wię-zieniu do stycznia 1960 r. Wtedy to wezwał go do siebie Chru-szczow. Wasilij wyznał mi póź-niej ze wzruszeniem, że Chru-szczow potraktował go jak sy-na. Pod koniec półtoragodzin-nej rozmowy w cztery oczy o-baj zalani łzami, padli sobie w ramiona. Zaraz potem zezwo-lono bratu na powrót do Mo-skwy, przydzielono mu dacie i samochód, zapewniono gene-ralską rentę. Zadano w zamian, by zachowywał się przyzwoicie i nie utrudniał życia innym”.

Rychło do podmoskiewskiej daczki zwała się cała farsja-na wesolych Gruzinów. Zaba-wy, hulanki, plasy i harce. W oczach wielu Wasilij pozostał „następcą tronu”. Schlebano mu i nadskakiwano. Powrócił znowu stare dobre czasy. Upraszano go, by przeniósł się do Gruzji. Zapewniano, że przyjmie się go tam z należnymi honorami. Wybuduje się dlań willę w nadmorskim Suchumi. No jak, zgoda? Przy jego boku zna-la-ży się też młoda i piękna Gru-zinka, gotowa podążyć za nim, choćby na kraniec świata.

Gdy nieco ochłonął i oprzy-tomniał, uległ błaganiom dzie-ci i wesoło towarzyszyło prze-gnał. Wyjechał na kurację od-wykową do Kisłowodzka.

Gromada radosnych Gruzinów dopadła go i tam. Na ich wy-obrażnie działała świetność ro-du i nazwisko Wasilija. Zaczę-liśmy na sobie to jego chmur-ne i badawcze spojrzenie. Was-silij, przyrzekając poprawę, bła-gał, byśmy pomogli mu wy-dostać się na wolność. Pisał prośby już wszędzie, ale napa-tkiwał tylko mur milczenia. Zwią-żę się z Chinczykami, krzychał, oni mi pomogą...”

Wasilij opuścił więzienną celę już ostatecznie wiosną 1961 r. Przez te lata stał się wra-kiem. Gdy go zwalniono, był już człowieczą ruiną. Stwier-dzono, że cierpi na marskość wątroby, ma wrzody na żołąd-ku, jego organizm jest krańco-wo wyczerpany nadużywaniem alkoholu. Mógł się teraz osie-dlić gdzie tylko zechciał. Lecz wrota Moskwy i Gruzji miał przed sobą zamknięte. Wyorał Kazań i tam zamieszkał z Ma-szą, pielęgniarką, poznana pod-czas szpitalnej kuracji odwy-kowej. Ponownie przydzielono mu przestronny jednorodzinny domek i zapewniono generalską rentę.

Zmarł 19 marca 1962 r. Sko-fi-czył akurat 41 lat. Otóż po kil-kugodzinnej popijawie stracił przytomność i już nigdy jej nie odzyskał. Od dawna zalewał się na pusty żołądek. A to zawsze jest początkiem szybkiego na ogół końca. Za trumną poszły jego dzieci, siostra Swietłana i wierna do ostatnich dni Kapi-tolina. Poszedł też cały bez ma-ła Kazań. Nieprzeliczone tłumy wpatrywały się w córkę

Józefa Stalina i w dzieci jego syna w milczącym i nabożnym zdumieniu.

Na cmentarzu w Kazaniu wznosił się grobowiec generała Wasilija Jossipowicza Dżuga-szwili. Na życzenie Maszy wy-ryto na nim pretensjonalny na-pis „Jedynemu”.

Jeszcze Swietłana Allilujewa: „Wasilij stał się ofiarą losu i okoliczności. Był wytworem potężnej maszyny władzy, te-go, co dziś zwie się kultem je-dnostki. Ten kult umożliwił mu zrobienie błyskawicznej karie-ry. Gdy wybuchła wojna, Was-silij miał 20 lat i był już ka-pitanem. Gdy wojna się skoń-czyła, miał lat 24 i był już ge-nerałem. W 1947 r. mianowa-no go dowódcą awiacji mo-skiewskiego okręgu. Windowano go wciąż wyżej i wyżej, nie zważając na jego zdolności i przygotowanie. A był przecież już wtedy nałogowym pija-kiem”.

Tyle córka Józefa Stalina. Trafila w sedno? Oczywiście. Oni wszyscy, przełożeni Wasilija, robili wszystko, co leżało w ich możliwościach, by Stali-nowi się przypodobać i zaskar-bić sobie jego łaski. Wzlot Wasilija był piorunujący. U-padek straszny. Już tak bywa, że co wyrasta zbyt wysoko, la-mie się szybko.

JAN BABIŃSKI



Masz temat dla reportera?
Coś ci drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

24 marca — **DARIUSZ DOROŻYŃSKI** — godz.
10—16
31 marca — **PAWEŁ TOMASZEWSKI** — godz.
10—16

Jak zawsze na reporterskim dyżurze, tak i tym razem telefonowali ludzie, którzy albo stracili wszelką nadzieję na załatwienie swoich spraw, albo dlatego, iż nie umiemy obojętnie przejść obok absurdów, jakie przynosi dzień powszedni. Wreszcie byli i tacy, którzy chcieli z kimś po prostu pogadać. O tych ostatnich w swoim sprawozdaniu nie wspomnę, jak nie wspomnę o tych, którzy zyczyli mi wszystkiego najgorszego, ponieważ uważają, że całe zło w Polsce jest dziełem dziennikarzy. Tedy do rzeczy.

Jerzy Kakuła zgłosił mi o sobiście temat o rozmowy: mieszka w Zgierzu pan Władysław Lubnar (dla tych, którzy zajmują się rozwiązywaniem rebusów, szarad, logogryfów itp. nazwisko to należy do klasyków tego rodzaju rozrywek umysłowych), człowiek niezwykle ciekawy, globroter, znakomity gawędziarz. Powinienem, sugerował mi J.K., koniecznie umieścić go w moim rejestrze „Rozmowy z ciekawymi ludźmi”. Propozycję przyjąłem. Pomyśl nad nią.

Henryk Rokociński miał mi do przekazania trzy sprawy: pierwsza dotyczy budowy pawilonów usługowych w okolicy Dworca Kaliskiego, a mianowicie u zbiegu alei Włókniarzy, ulicy Kopernika i Karłowickiej. Tam krzyżuje się 6 linii autobusowych i 6 tramwajowych. Tysiące ludzi udaje się tedy na dworzec. A przecież człowiek w podróży chce czasem coś zjeść, częściej napić się herbaty czy innego napoju orzeźwiającego. Gdzie to ma uczynić? Czy w jedynym parze „Wars”, gdzie nie ma nawet na czyni usiąść? Sprawa druga: rażą pana H.R. drewniane płyty przeciśnięte na krancówkach tramwajowych. Są ohydne, a samochody, które te płyty przywożą, wjeżdżają wzrost na chodniki niszcząc płyty. A czy nie można byłoby posadzić jakiegos żywopłotu? I taniej, i ładniej. Trzecia sprawa: w budownictwie pracuje się bez rachunku oszczędnościowego. Polega to m.in. na tym, że ziemię spod wykopów wywozi się daleko poza Łódź zamiast ją rozsympać wokół przyszłych bloków, co dałoby oszczędność transportu (paliwo, ludzie), a także zwiększyłoby efektywność pracy, bo przecież, tak potem ziemię przywozi się, by ją rozsympać między blokami.

Roman Górecki gratulował mi artykułu dotyczącego cmentarza żydowskiego (piszę o tym rumieniąc się niczym panną), a jednocześnie zgłosił propozycję, aby w Łodzi powołać Komitet Ratowania Cmentarza Żydowskiego. Ten cmentarz, mówił, to nie tylko zabytek kultury żydowskiej, ale to także zabytek kultury polskiej.

Elżbieta Karmolińska zwróciła się do naszej redakcji z niecodzienną, ale jakże ludzką, sprawą. Jej mama była dekoratorem zdjęć w Filmie Polskim. W ubiegłym roku wyjechała z ekipą do Czechosłowacji i tam nagle zmarła (29 października). Nie miejsce tu, by opisywać perypetie związane ze sprowadzeniem zwłok do Polski. Ale udało się. Mamę pani E.K. pochowano. Ale tylko w sensie fizycznym. W papierach administracyjnych żyje i co jakiś czas na jej imię przychodzą różne wezwania, zawiadomienia, dokumenty (ostatnio służba zdrowia zażądała od kobiety zmarłej pół roku temu, aby zgłosiła się pilnie do przychodni w celu prześwietlenia płuca). A sprawa jest prosta: władze czeskie wydały zwłoki nie dając natomiast żadnych dokumentów, w tym aktu zgonu. Monity rodziny w konsulacie polskim w Pradze jak dotąd nie dały rezultatów. Pani E.K. pyta więc, po co są nasze konsulatory, skoro nie przychodzą rodatkom z pomocą?

Jerzy Kucharski z Konstancynowa (na moim poprzednim dyżurze opowiadał mi o swoich perypetiach z paczką z zagranicy, która choć nie była uszkodzona, jednak jej zawartość uległa zniszczeniu i paczka nie chciała uznać jego pretensji). Okazuje się, że otrzymał odszkodowanie, natomiast nie otrzymał odpowiedzi na swą skargę wpisaną do książki zażaleń.

Mija 5 miesięcy i dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi odpowiada, że skarga J.K. jest ciągle w trakcie załatwiania. Pan J.K. dziwi się. My też.

Marek Raduszeński zadzwonił, bo przeczytał mój artykuł dotyczący cmentarza żydowskiego w Łodzi (kiedyś mi za to dziękował, oblałem się rumieniem dziewczęcego zażenowania) i chce podjąć się pracy na rzecz tego cmentarza. Skierowałem pana M.R. do Kongregacji Wyznania Mojżeszowego w Łodzi.

Aneta Karolak nawiązała do rozmowy z prezesem Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, opublikowanej w „Odgłosach”, w której to rozmowie prezes stwierdził, że w Łodzi na mieszkanie czeka się „zaledwie” 14 lat. Pani A.K. była nie tak dawno w swojej spółdzielni, tj. „Bawelnie” na zębraniu i tam dowiedziała się, że ona na swo-

je mieszkanie będzie czekać jeszcze co najmniej 5 lat, choć jest członkiem od 1975 r. Jak to jest, pyta, że jeden z bonzów mówi co innego a drugi jeszcze co innego? To wprowadza jedynie w błąd, wywołuje spór zamieszania i daje nadzieję, która okazuje się zwyczajnym mierzem.

Maria Malecka z Wielunia, ul. Wojska Polskiego 43 kod 98-300 nie telefonowała, lecz przyjechała do redakcji. A jej sprawa jest skomplikowana i — znając realia — nie do rozwiązania w ramach istniejących możliwości naszej służby zdrowia. Jej syn Kuba choruje na dychawicę oskrzelową i wymaga nie tylko intensywnego leczenia szpitalnego, lecz i drogich lekarstw pochodzenia zagranicznego, takich jak „Alvac” oraz szczepionki HDM — Bencard. W odpowiednich ośrodkach służby zdrowia poinformowano panią M.M., że tego typu leków się nie sprowadza, bo kraj nie ma dewiz. Matka małego Kubę jest bez wyjścia. Wszelkie próby zdobycia dolarów po przyzwolonych cenach oraz zdobycia potrzebnych leków w instytucjach charytatywnych nie dały rezultatów. Niewiele mogłem pomóc pani M.M., gdyż sam przeżywałem podobne kłopoty ze swoim wnucukiem (także Kubą). Jedyną co mogę uczynić dla tej kobiety, to zwrócić się do naszych czytelników o pomoc. Kontakt — Maria Malecka, 98-300 Wieluń, ul. Wojska Polskiego 43.

Józef Pawlak uważa, że władze traktują naród „jak stado

baranów”, gdyż nie wie lewica — co czyni prawica. Panu J.P. chodzi konkretnie o to, że raz podaje się w prasie i tv, iż ceny umowne mają być podniesione jedynie do 25 procent, a potem minister Samojlik w Monitorze Rządowym oświadcza, że te ceny mogą dojść nawet do 30 procent. I jak — zapytuje pan J.P. — naród ma mieć zaufanie do władzy?

Na zakończenie dyżuru zadzwonił pan M.K. (zastrzegł, że jego dane personalne są wyłącznie do wiadomości redakcji) i powiedział, że „Odgłosy” dużo miejsca poświęca „białym plamom” w ZSRR. To dobrze. A czy nie należy zająć się polskimi „białymi plamami”? A jest tego sporo. Kiedy zostaną wyśniewione?

I jeszcze jedno: ponieważ nie odbierałem osobistej telefonu od pani Kozłowskiej z ROM — 4 (sprawa dotyczy skargi złożonej nam przez Jacka Perka) bardzo proszę o ponowny kontakt ze mną lub z kolegą, który będzie pełnił dyżur reporterski w najbliższy czwartek, tj. w dniu 24 marca br.

EUGENIUSZ
IWANICKI

Tacy ludzie są też wśród nas!

Wśród stołów snują się dziwne postacie. Rozglądają się po sali, zatrzymują tam, gdzie stoją nie dojeżdżone porcje, zabierają resztki do toreb. Pewnie dla psa. A może prowadzą małą gastronomię? Odwrócenie uwagi od własnej porcji jest ryzykowne, bo nagle ni stąd ni zowąd nad talerzem pojawia się brudna łapa, bierze w palce resztki i... zjada je.

Czy rzeczywiście nie stać tych ludzi na kawałek chleba? Niektórzy sprawiają wrażenie zupełnie normalnych, przeciętnych ludzi.

Względnie przyzwoicie ubrana kobieta po zjedzeniu resztek z kilku talerzy wyjmując z torebki szminkę, odnawia makijaż i jak gdyby nigdy nie opuszcza „Balaton”. Cóż to są za ludzie? Rozmowy z przygodnymi konsumentami, kasjerką, panią sprząającą naczynia ze stołów, a nawet z kierowniczką zakładu potwierdzają przypuszczenia. Większość owych nieproszonych gości to rozmaitości wykolejający, chorzy psychicznie, zdegenerowani. Sypią na kłatkach schodowych, a wszystkie pieniądze wydają na wódkę.

Dlaczego nie chcą lub nie mogą pracować, czemu buszuja po śmietnikach dlaczego śpią na dworcach? Czy wszyscy są samotni, nie mają rodzin? Co sprawiło, że stoczyli się na takie dno? Wiele pojawia się pytań na które brak odpowiedzi, wiele jest odpowiedzi, które niczego nie załatwiają i niczego nie zmieniają.

Czy zdajemy sobie sprawę z istnienia niemałych obszarów ludzkiej nędzy w centrum miasta, być może także tuż obok nas? Porą podjąć sensowne kroki, aby zbiorowość takich ludzi, jak ci z „Balatonu” nie powiększała się. Jedni powiedzą, że należy zmusić ich do pracy, inni będą optować za innymi formami przymusu, jeszcze inni uznają ich prawo do wyboru takiego życia, jakie sami chcą prowadzić. To kwestia wolności człowieka do kształtowania swego indywidualnego losu. Niezależnie od sposobów rozwiązywania tego zjawiska musi ono niepokoić, wywoływać uczucie sprzeciwu wobec takich form egzystencji ludzkiej, niezależnie, czy subiektywnie zawinionych przez poszczególne jednostki, czy też będących efektem niedostatków naszego życia zbiorowego.

MONIKA MATUSZAK

ZAKŁADY IGIEŁ I CZĘŚCI DO MASZYN DZIEWIARSKICH

„F A M I D”

w Łodzi, ul. Wersalska 50

Z A T R U D N I A

agenta do prowadzenia stołówki na terenie ośrodka czasowego w Księżych Młynach (gmina Poddebice).

Blizszych informacji udziela dział spraw pracowniczych tel. 52-79-11 w. 93.

2051/k

BIURO PROJEKTÓW T-KNSW

„BIPROWTOR”

w Łodzi, ul. Zbiercza 19a

OGŁASZA

że w dniu 14 kwietnia 1988 r. o godzinie 10 w siedzibie Biura Projektów „Biprowtor” w Łodzi, ul. Zbiercza 19a odbędzie się

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż samochodu osobowego marki „Fiat 125p” — 1500, rok prod. 1981, cena wywoławcza 500 tys. złotych.

Przystępujący do przetargu winien wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej w kasie Biura Projektów T-KNSW „Biprowtor” w Łodzi, ul. Zbiercza 19a, najpóźniej w przeddzień przetargu.

Samochód zgłoszony do przetargu można oglądać na terenie Zrzeszenia Przedsiębiorstw Przetwórstwa Surowców Wtórnych „Wtórpol” w Łodzi, ul. Wojska Polskiego 55/61 w dniach 11 i 12 kwietnia br. w godzinach od 12 do 15.

Zainteresowanym przedstawiony zostanie do wglądu protokół rzeczoznawcy PZMotu.

Ogłaszający zastrzega sobie prawo odstąpienia od przetargu lub jego unieważnienia bez podania przyczyn, jak również nie bierze odpowiedzialności za wady sprzedanego pojazdu.

Przetarg odbędzie się zgodnie z zarządzeniem ministra komunikacji z dnia 26 listopada 1982 r. (M. P. nr 28, poz. 250).

846/k

KOMBINAT BUDOWNICTWA OGÓLNEGO

„J E D Y N K A”

Generalny Wykonawca Budowy

SZPIITALA POMNIKA MATKI POLKI

ZATRUDNI NATYCHMIAST:

- * kierowników budów z praktyką
- * techników budowlanych
- * majstrów budowlanych z praktyką
- * kierowników koordynatorów w dziale produkcji
- * specjalistów ds. kosztorysowania
- * specjalistów ds. przygotowania produkcji
- * specjalistów ds. kontroli jakości w zakładzie produkcji
- * prefabrykatów
- * specjalistów ds. kosztów
- * inspektorów ds. zaopatrzenia
- * referenta ds. socjalnych
- * księgowo
- * ceramików
- * cieśli
- * betoniarzy
- * stolarzy
- * murarzy
- * tynkarzy
- * malarzy
- * operatorów suwnie
- * operatora „Białorusi”
- * maszynistkę

KOMBINAT ZAPEWNIĄ:

- * wysokie zarobki wg zakładowego systemu wynagrodzenia
- * wyjazdy na budowy eksportowe prowadzone przez kombinat do Libii i ZSRR (Gruzja, Estonia, Krym) i podwyższenie kwalifikacji zawodowych
- * liczne świadczenia socjalne
- * zamiejscowym zapewniamy siołówkę.

Zgłoszenia przyjmuje dział spraw pracowniczych, Łódź, ul. Piotrkowska 55, tel. 32-62-05 lub 32-91-40 wewn. 204, kandydaci spoza województwa łódzkiego muszą posiadać skierowania z terenowego wydziału zatrudnienia.

Kombinat nie przyjmuje pracowników po porzuceniu pracy.

1654/k

MŁODZIEŻOWA SPÓŁDZIELNIA

PRACY

„PRYZMAT”

Spółdzielcza Agencja Turystyczna

OFERUJE:

- * wczasy świąteczne w okresie Wielkanocy (z pełnym wyżywieniem lub tylko z noclegami) w atrakcyjnych miejscowościach górskich (Rabka, Szczawa, Szczyrk, Wisła, Kroszczyn)
- * wyjazd narciarski (autokarowy) w dniach 1—4.04.88 (święta wielkanocne).

UWAGA! Dotyczy socjalne zakładow pracy

— uprzejmie informujemy, że już przyjmujemy zamówienia na organizację wczasów i kolonii w sezonie letnim 1988 r.

UWAGA! Szkoły

— informujemy, że specjalnie dla młodzieży szkolnej organizujemy imprezy wycieczkowe wg indywidualnych życzeń klienta (niskie marże na imprezy w formie rajdów pieszych w górach).

Zapisy i sprzedaż w siedzibie Agencji: Łódź, ul. Jaracza 7, codziennie w godzinach 10—16, tel. 32-62-79.

878/k

To nie jest wina Jana Babińskiego, że tak poplątało się z datami śmierci Józefa Wissarionowicza Długaszewskiego Stalina. Płatało się to już od początku. Oficjalnie za datę śmierci generalissimusa uważa się 5 marca 1953 roku. Aliści już wówczas było wiadomo, że chorował, miał wylew krwi do mózgu i mógł umrzeć wcześniej niż podawał komunikat. Takie zresztą pogłoski rozgłaszała zagraniczni korespondenci akredytowani w Moskwie, a powtarzały je polskojęzyczne radiostacje. We Włocławku z tego powodu doszło do rozprawy sądowej.

Niemal na placu Wolności, a dokładnie przy wylocie z tego placu ulicy prowadzącej do dworca, znajduje się kwiartka. Należała ona ongiś do dość zamożnej i dobrze ustosunkowanej rodziny C. Zrozumiałe, że w tej rodzinie, która na rewolucji dużo straciła, nie kochano ani Józefa Wissarionowicza, ani tym bardziej rewolucji. Wnukowie pana C. chodzili wtedy do szkoły. Ze starszym spotykaliśmy się na tarasie Klubu Wioślarskiego, pięknie położonego nad ujściem Zgłowiączki do Wisły. Właśnie od niego dowiedzieliśmy się, że młodszego jego brata, Piotra P., zatrzymano za głoszenie wrogich plotek.

Piotr P. był uczniem przedmaturalnej klasy w Gimnazjum Ziemi Kujawskiej. W czasie dyktanda uczniowskiego namalował sobie na opasce literę „MP”. Wypisywał jakieś głupie — nie pamiętam już jakie — hasła na tablicy. Ale najważniejszym powodem aresztowania był fakt, iż podał w wątpliwość datę śmierci Józefa Stalina. Wedle niego Stalin miał umrzeć wcześniej niż podały to gazety.

Sprytny adwokat i niemrawy prokurator

Wiedzieliśmy wówczas, że „Wolna Europa”, „Głos Ameryki” i chyba BBC coś takiego mówiły. Ktoś nam o tym powiedział. W wielkiej tajemnicy oczywiście. Mogliśmy więc podejrzewać, że Piotr P. stamtąd czerpał swoje „rewelacje”. W jego domu musiano pilnie nasłuchiwać zgluszanego głosu tych radiostacji. Byliśmy więc ciekawi, jak przebiegł proces.

Piszę: „my”, gdyż stanowiliśmy zgrana paczkę koleżeńską, sportującą się wówczas tylko w czasie wakacji. Nie pomnę, kto był wówczas na wakacjach we Włocławku, a kogo jeszcze brakowało. Ale pamiętam, że przyjechał już z Moskwy Zdzisław Cackowski, który tam studiował filozofię. Z Łodzi zawitał Ignacy Gajewski, który na UE studiował polonistykę. Jego brat Andrzej, zwany Lelkiem, albo zdał maturę w Technikum Mechanicznym, albo był już studentem I roku Politechniki Warszawskiej.

Poszliśmy więc do sądu, gdyż rozprawa była jawna. Toczyła się dość długo i była nudna. Aż nadchodził moment, gdy prokurator zapytał, jak to było z zakwestionowaniem daty śmierci Józefa Stalina?

Zapadła cisza. Młodociany oskarżony nie kwapił się do odpowiedzi. Sprawił wrażenie trochę zagubionego w tym wszystkim, co się wokół niego dzieło. Cisza się przedłużała. Przerwał ją adwokat oskarżonego. Był to doświadczony sądowy wyjadacz, który stawał w niejednej sprawie. Prokuratorem był młody człowiek, pewnie po kursach prokuratorskich, w każdym razie widać było, że cała ta zawila procedura sprawia mu duży kłopot.

Rodzina C. znana była we Włocławku oraz dobrze ustosunkowana. Nic więc dziwnego, że wybrano dobrego adwokata, a i sądzia nie miał zamiaru być niebawym surowym. Być może też był jakimś znajomym rodziny C. Patrzył, jak i my, z dużym zainteresowaniem to na prokuratora, który był dumny ze swego „strzału”, to na adwokata, który zbierał się z ociąganiem do odpowiedzi. Ruchem ręki powstrzymał podsądnego. Wstał powoli. Rozejrzał się po sali. Poprawił togi. Wszystko to dawało mu czas do namysłu.

— Wysoki sądzie — powiedział wreszcie. — Zupełnie nie rozumiem oskarżenia pana prokuratora. Przecież pan prokurator tak samo dobrze wie, jak i ja, jak również Wysoki Sąd, że do Włocławka docierała gazeta antydoktryna. Czyli to, co w Warszawie i Bydgoszczy ukaże się dziś, do Włocławka dotrze dopiero jutro z jutrzejszą datą. Czyż tak nie jest?

Zaiste tak wówczas było „Gazeta Kujawska”, która docierała do Włocławka, a która była mutacją „Gazety Pomorskiej”, była antydoktryna. Drukowała się wcześniej i część wiadomości, które nadchodziły później już się nie mieściło. Czy tak było z wiadomością o śmierci Józefa Stalina — nie wiem. Kto zresztą nie sprawdził.

Wrażenie było ogromne. Można byłoby powiedzieć, że zbaramieliśmy, gdyby nie Wysoki Sąd, który nie ma prawa zbierać. Więc myślny zbaramieli, łącznie z prokuratorem, którego zbaramienie było do trzeciej potęgi. Wysoki Sąd wykazał tylko nieznanne zdziwienie i lekki podziw dla adwokackiego sprytu. Wysok Sąd już wiele widział i nie miał prawa się dziwić. Wysoki Sąd czekał teraz na ripostę prokuratora.

Ale jak wspomnieliśmy prokurator zbaramieli i to tak skutecznie, że milczał, wąż widać w myślach koronny argument adwokata. A adwokat zadał pytanie i czekał.

— Wysoki sądzie — przemówił wreszcie prokurator — przyszanę rację panu mecenasowi. Do Włocławka istotnie wiadomości docierały z opóźnieniem.

— Czyli zarzut odpada? — zapytał mecenas.

— Wysokie sądzie — prokurator się skłonił — wycofuję ten zarzut.

Byliśmy tym zaskoczeni. Po południu na tarasie Klubu Wioślarskiego komentowaliśmy przebieg rozprawy. Nie wiem, czy prokurator miał pretensje do prowadzącego śledztwo, że zaniedbał właściwego przygotowania. Ale myślny mieliśmy duży żal do prokuratora, że tak łatwo dał się zbić z pantafiku. Nie żebymy byli przeciwni Piotrowi P. i zyczyli mu najgorszego. Ale spodziewaliśmy się ostrej walki na argumenty, a tu taki niewypał.

— Trzeba było powiedzieć — wymądrzał się któryś z nas — że takie wiadomości rozgłaszały wrogie rozgłoszenie.

— Ba, ale w sądzie trzeba to udowodnić, nie tylko powiedzieć. A jak udowodnisz to, co radio mówiło kilka miesięcy temu? — próbował uspokajać ktoś rozsądniejszy.

W końcu machnęliśmy ręką na lekkie prokuratora, bo tak ja odebraliśmy i poszliśmy popływać łodzią po Wiśle. Latem najlepiej się pływało pod wieczór, gdyż już słońce zbliżało się do horyzontu. Od wody ciągnęło chłodem. Na kory wychodzili tenisiści.

Po 30 latach od tamtego procesu nie pamiętam dokładnie wyroku, ale chyba był dość łagodny. Rok odosobnienia z zawieszaniem Piotra P. opuścił później Włocławek i w innym mieście zrobił karierę. Co się dziś z nim dzieje — nie wiem. Nasze drogi z jego starszym bratem rozeszły się chyba w 1953 roku. Myślny coraz rzadziej zaglądał do Włocławka. On tu został, poszedł do jakiejś pracy. A może później skończył studia? Nie wiem. Nigdy już go więcej nie spotkałem. Nie pytałem o jego losy i nie byłbym sobie o nim przypomniał, gdyby nie sprawa z datami śmierci Józefa Stalina „pokrecona” przez Jana Babińskiego.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1 Pod prąd

Polka potrafi!

Ze Polka potrafi. Wiedziałem niemal od urodzenia, czyli od przed wojny, a już absolutnej pewnością nabrałem po uroczystym oddaniu do użytku w Katowicach Poinnika-Huty Centrum Pracy Ojca Polaka, której to hucie już nie piosenki jak niegdys, nie tylko sążniste artykuły w gazetach, ale całą książkę poświęcono. O tym jednak, że potrafi również Polka, przekonałem się dopiero całkiem niedawno. Wcześniej nigdy bym na to nie wpadł. Za głupi byłem, żeby coś takiego choćby podejrzewać. Skąd! Wszystkie znane mi kobiety (z wyjątkiem Marii Skłodowskiej-Curie i mojej żony) traktowałem jako typowe nieudaczniczki, niedorajdy — za przeproszeniem — kłaki życiowe ludzi ofiary mekiego terroru, przed którym — myślałem — strzeż każda z nich Panie Boże i Ligo, Kobiet jak najdłużej. Tymczasem okazało się — byłem w błędzie. Nie doceniałem tych delikatnych, budzących we mnie litość i współczucie istotek. Nie wierzyłem w ich zdolności, rozległą wiedzę oraz umiejętność wyjątkowo logicznego myślenia.

Weźmy choćby taką Annę S., również moją syna, z którym na podwórku stawiała pierwsze babki z piasku. Nie szło jej to aż za bardzo. Potrzebała pomocy, prosiła, błagała, żeby się postarała, bo wstyd „że taka duża dziewczynka...”, obiecywała tort z ananasa (to taki owoc, drogie dzieci), mówiąc: lalkę, futerko z norek — na nie. Babki nie chciały się trzymać i już, a gdy nawet któraś wyszła cała z waderką, to jakaś taka koślawka, pokraczna, niewydarzona.

W szkole małej Ani też się nie wiodło. Dwoje łapała za dwoje, co mamusia przypięła po latach zupełną łysinę, wyrwijając sobie wszystkie włosy z głowy, a tatę — wrzodami żołądka i dwunastnicy. A ile pieniędzy wydała na korepetycje dla ukochanej córeczki! Jakich nie ścigała, profesorki! Co najmniej pół uniwersytetu przewinęło się przez ich dom. Niewstę! To znaczy dało to tylko tyle, że mimo wszystko dziewczynka przyjęta została na studia z odwołania, ale oż z tego, skoro po dwóch urlopach dziekańskich przerwała naukę i oświadczyła, że dość ma już tego idiotycznego wkuwania, bo i tak nie nie rozumie, a poza tym — właśnie zaszła w ciążę z pewnym kolegą, więc ukochani staruszkowie zamiast o dyplomie, powinni raczej pomyśleć o jej ślubie.

Ślub odbył się oczywiście jeszcze przed urodzeniem dziecka, zaś wesele było tak wystawne i huczne, że rodzice do dziś splacają zaciągnięte na to konto pożyczki. Ciężko im teraz, to prawda, ale czy mogli pozwolić, aby ich jedyna córka miała zadowolnić się byle czym?

— Ona taka subtelna, wrażliwa, zaraz wszystkim się przejmie — powiedziała mamusia podczas poprawin na które to staliśmy zaproszeni. — A życie dziś takie trudne.

I rzeczywiście. Mniej więcej w dwa lata później Anna S. rozwiodła się ze swoim mężem z powodu niezgodności charakterów. Nie potrafiła po prostu znieść samotności, na jaką skazywał ją każdego dnia ten wredny typ pochłonięty prawie bez reszty pracą zawodową — tyleż z chęci zaspokojenia swych wybujałych ambicji, co potrzeb młodej rodziny na dorobku. Taak, utrzymanie w naszych czasach z jednej pensji siebie, dziecka, psa i znużonej życiem, niepracującej żony kosztuje. Dużo kosztuje.

Ale rozwód nie zalał, o dziwo, Anny S.. Przeciwnie, wyzwolił z niej ukrytą gdzieś energię, rozwinął nieodkryte wcześniej talenty sprawi, iż mogła wreszcie pokazać co naprawdę potrafi. A dokonała w krótkim czasie bardzo dużo,

odnosząc przy tym — że tak powiem — pełny sukces.

W pierwszym rzędzie udało się jej wyeksmitować byłego męża z mieszkania „oddziedziczonego” przez niego po zmarłej babci, którą opiekował się był w ostatnich latach jej życia. Następnie oddała dziecko do żłobka, a sama poszła do pracy, żeby mieć kartki oraz pieniądze, bo choć alimenty dostała bardzo wysokie, to jednak nie na tyle, by tylko za nie przeżyć z dzieckiem i wiernymi przyjaciółkami, a na rodziców liczyć przecież już nie mogła. Zgodnie z planem nie popracowała jednak długo, gdyż wkrótce związała się z niejakim Janem W., z którym też dziwnie szybko zaszła w ciążę. Ponieważ Jan W. dysponował samodzielnym mieszkaniem, jeszcze przed urodzeniem drugiego dziecka przeprowadziła się do niego, zaś swój pokój z kuchnią „wypuściła”. Ślubu „oczywiście nie wzięli” — oficjalnie, bo Anna S. boi się już teraz instytucji małżeństwa i woli pozostać wolna, a naprawdę, ponieważ musiałaby oddać mieszkanie spółdzielni i nie mogłaby liczyć na tak wysokie świadczenia, jakie przysługują jej, kiedy w dokumentach figuruje jako samotna matka z dwojgiem dzieci.

Czy Anna S. jest szczęśliwa?

— Ależ tak — powiedziała niedawno mojemu synowi — teraz stać mnie na wszystko, wynajęłam kobietę do dziecka, choć do pracy i tak pewno przedko nie pójdę bo Jasio jest rzemieślnikiem i bardzo mnie kocha. A gdyby co, to wciąż przecież mam swój własny kąt i takie dostane alimenty, że spokojnie dam sobie radę. Władza ludowa nie pozwoli skrzywdzić matki Polki!

JÓZEF RETMAN

P.S. Przy okazji — spóźnione, ale szczere życzenia dla wszystkich pań z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet.

2 Nad Wisłą i na Florydzie

Herbert Georges Welles w swym opowiadaniu pt. „Dolina ślepców” opisuje odciały do świata, zapadła gdzieś pośród gór, krainę, w której od wielu pokoleń wszyscy ludzie rodzą się ślepi. Zabłąkani wśród nich przypadkowo przybył z dalekiego świata, człowiek widzący, nie może oczywiście znaleźć ze ślepcami wspólnego języka. Kiedy mówi im, że wysoko nad górami jest ogromna przestrzeń, wielkie, puste niebo, nie dają temu po prostu wiary; to jest niemożliwe, gdzieś wysoko musi istnieć pałac, którego można dotknąć. Jeżeli czegoś nie można dotknąć, to ono nie istnieje. Człowiek widzący, gadający niestworzone rzeczy, których normalny, spokojny ślepiec nie jest w stanie pojąć, ten człowiek, po prostu, jest sam nie normalny, jest nie do przyjęcia dla tutejszej społeczności. Welles pokazał w ten sposób jak niebezpiecznie łatwo niernormalność poprzez swe upowszechnienie staje się normalnością.

Emeryci w Stansh Zjednoczonych upodobali sobie szczególnie Florydę, słynny Palm Beach i okolice są miejscem, gdzie osiedlają się starzy ludzie po przejściu w stan spoczynku. To są starzy, bogaci ludzie. Olgierd Budrewicz w swych wspomnieniach z Ameryki pisze, jak dziwne wrażenie czyni tam widok tłumów starych eleganckich mężczyzn i strojnich noszących się kobiet, jak dominują na każdym kroku stare, czy wręcz starcze, oblicza przechodniów, gości w lokalach, na koncertach, w kościele i na meczu. Tutaj

normalność ma niejako trzy aspekty: być starym, mieć dużo pieniędzy, nie nie robić.

U nas posiadanie większych pieniędzy nie jest przywilejem dominującej większości ludzi, równie nasi emeryci nie stanowią tak dużego odsetka ludności, jak na Florydzie, mamy przecież mnóstwo dzieci, młodzieży i ludzi w wieku dojrzałym. Bliska upowszechnienia jest natomiast cecha: nie nie robić.

Jeśli nie faktycznie to przynajmniej jako ideał powszechnie akceptowany. Z tej łatwo zauważalnej niechęci do pracy wynika tym większy niedostatek wszelakich dóbr doczesnych, a w konsekwencji skłonność do wiecznego, jałowego narzekania oraz do zawiści pod adresem lepiej sytuowanych. Mogłby się tu pisać w tych niezbyt jasnych wywodach jeszcze długo, ale chodzi mi głównie o to, że na naszym gruncie, w naszym kraju, jesteśmy także świadkami smutnej prawdy o przechodzeniu niernormalności w normalność. Człowiek niezawodny, lubiący pracować, życzliwy ludziom, człowiek nie narzekający od świtu do nocy na wszystko, co podzieli, wybiła się spośród otoczenia przecież jak diament! Zauważcie tylko w jakich fatalnych sytuacjach, niernormalnych, patologicznych, niezdrowych, pada nagle z czyichś ust słowo: „to przecież normalka!”

W takiej „normalce” też można żyć, czego przykłady mamy w dzisiejszym świecie. Ale straszno pomyśleć, że za niewiele dziesięcioleci jakiś przybysz z dalekich stron po odwiezieniu krainy nad Wisłą, napisze potem reportaż pod tytułem „Dolina ślepców”.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport

Pieniądze — to poważna sprawa

Uwielbiam wszelkie działania prowadzące do obalenia mitów i likwidacji fikcji. Dlatego przyjąłem komunikat PAP o podwyższeniu stypendiów dla sportowców i nagród za wybitne osiągnięcia z dużym uznaniem, ale jednocześnie z pewnymi wątpliwościami. Można powiedzieć, że mam mieszane uczucia. Nie ja jedna zresztą.

Najpierw jednak dwa wyjaśnienia. Oba w ramach likwidacji mitów i fikcji. Po pierwsze — to przestańmy opowiadać bajki o tym, że dzentelmeni nie mówią o pieniądzu. Przede wszystkim dlatego, że nie ma dzentelmenów, a także dlatego, że wszyscy mówią tylko i wyłącznie o pieniądzu. Właśnie w naszej spółdzielni czynsz horrendalnie podnieśli i sąsiedzi o niczym, tylko o pieniądzu. Skąd je brać? Ceny przecież rosną niestannie, a dochody zdecydowanie nie.

Po drugie natomiast — przestańmy wreszcie opowiadać, że dawni mistrzowie: Edmund Piątkowski, Janusz Sidło, Bronisław Malinowski i inni — to darmo walczyli o sukcesy i sława im nieprzerwanie słodziła życie. Owszem, prawda to, ale tak było dawniej. Dziś to już historia, przeszłość nieodwracalna, ciekawostka taka sobie bardziej dydaktyczna, powtarzana bez żadnego odniesienia do obecnej rzeczywistości, a przez to i bez skutku. Czasu inne, warunki inne, wymagania inne. Kola historii nie da się cofnąć — jak to powiadają poważni politycy. A jeden mój znajomy powiada nie bez złośliwości — dydaktyka!

Jeśli więc mamy dyskutować

o pieniądzu, to czyńmy to konkretnie w odniesieniu do konkretnej rzeczywistości. I nie udawajmy, że w tej poważnej sprawie, nie ma różnic, sprzecznych zresztą, punktów odniesienia. Pierwszy z nich — to punkt widzenia samych sportowców. Marek Dopierała — mistrz świata w kajakarstwie — przyszedł w wypowiedzi dla „Sztandaru Młodzieży”, że go to rozśmieszyło. „Na Śląsku — powiada mistrz świata w kajakarstwie — w systemie biogymnastycznym można zarobić np. w zakładach 90—100 tysięcy złotych”. Jak w porównaniu z tym wygląda 60 000 złotych miesięcznie zawodnika posiadającego klasę mistrzowską międzynarodową, członka kadry narodowej? A przecież musi on ponosić spore nakłady: na dożywianie, komunikację i tak dalej. W niektórych przypadkach, aby sprostać konkurencji na międzynarodowych zawodach, sam musi zabrać o wysokiej jakości sprzęt.

2 miliony złotych za tytuł mistrza świata — powiadają niektórzy — to wystarczy. Inni — że to mało, bo nawet „poloneza” sobie za to nie można kupić. Trzeba przy tym pamiętać, że zawodowym sportowcem można być tylko w określonym wieku. A co później? Toż każdy młody sportowiec, jeśli umie myśleć o przyszłości, to pragnie sobie tę przyszłość podczas okresu uprawiania sportu tak zabezpieczyć, aby później nie musiał chodzić po prośbie i żyć z litości innych, którzy pamiętają jego chlubną przeszłość. Czy te pieniądze, które państwo dało za wspólnej kasy, mogą zapewnić dostatekna przyszłość rodzinie sportowca i jemu samemu, choćby na pierwszy okres po zakończeniu kariery, nim się jakoś w życiu nie urządzi na następne długie lata?

Nie ukrywam, że są i inne punkty widzenia. Na przykład mego sąsiada, któremu przyszło płacić dość wysoki czynsz — mnie zresztą podobnie — a który buntuje się przeciw temu. — Skąd ja mam na to brać? — pyta i dodaje złośliwie, że na uprawianie sportu jest już za stary. Spodziewam się, że w podobny sposób mogą na to zareagować emeryci, sprzątaczy, robotnicy fizyczni, nauczyciele, ba! — nawet lekarze, którym ostatnio podwyższono płace, ale według nich niedostatecznie. Wszystkim, którzy porównają 60 000 złotych mistrza sportu o międzynarodowej klasie i swoje — niższe od tych 60 000 złotych — uposażenie, wyda się to niesprawiedliwe. Ciągłe bowiem wśród ludzi aktualne jest hasło: wszystkim po równo! Niech się nikt nie waży dorobić na swojej pracy. Co innego, ci krwiopijcy prywatnie, handlarze rzodkiewki, krawcy itp. Co innego badylarze. Ich się po prostu nienawidzi. Sportowców należy natomiast uwielbiać. A jak tu uwielbiać kogoś, kto ma lepiej niż ja? No, chyba że to lepiej płynie z „lewej kasy”, że utrzymujemy fikcję, gdy na bosko zamiast zawodowego piłkarza wybieramy cięśla okretowy, monter dźwigu lub górnik dolowy i wszyscy doskonale wiemy, że to fikcja. Ale wszyscy udajmy, że o tym nie mają pojęcia.

Jest jeszcze punkt widzenia trenera, punkt widzenia działacza sportowego, który potrafi, myślenie perspektywicznie, który troszczy się o przyszłość sportu. A ta będzie zawsze zagrożona, jeśli nie pomyśli się o warunkach treningu młodych — nie o pieniądzu dla młodych — jeśli zapomni się, że dziś trenerzy szkół tych najmłodszych głównie z... miłości do sportu, a przecież z czegoś muszą żyć i utrzymywać rodzinę.

Nagradzać sportowców za dobrą robotę — zgoda, ale nie zapominać o tych, którzy ich szkolą i o tych, którzy zajmują ich miejsca. Oto moje wątpliwości. Pisałam o górnych 60 000 złotych, dla lnych są niższe stypendia, szczególnie podać tak prasa codzienna, jak i sportowa. Dlatego szeroko pominęłam. Proszę mi wybaczyć to uproszczenie.

BOGDA MADEJ

Strażnik w kufordpórnej budce wpisuje do specjalnego notatnika datę i godzinę wizyty, niezależnie od tego rejestruje je w pamięci komputera skarbca. Naciśnięcie niewidocznego guzika szcęk dźwigni, winda zjeżdża na poziom czwartego piętra pod ziemią, wykutego w granitowej skale. Stalowe wrota do bankowego szamru, zamknięte na kombinację sztyrową i dwa klucze, ustępują. Jeszcze elektroniczny impuls z nadajnika, który dyrektor ma w ręku, podnoszący kratę i wewnątrz jaskrawo oświetlonego pomieszczenia staje otworem.

W ścianach rzędy ponumerowanych metalowych sejfów, na środku pomieszczenia tylko stół z prostym fotelem. Dyrektor zostawia wytwornego pana samego. Oprócz lampy rtęciowej na stole towarzyszyć mu będzie przycisk do przywołania dyrektora po zakończeniu operacji; do tego czasu jego obecność jest zbędna. Zasyfrowany kod do zamka sejfów zna tylko klient, dyrektor nie ma prawa go oglądać.

Zawartość sejfu, ciemnopopielate irtchowe woreczki z diamentami o wartości wielu milionów funtów szterlingów, nie wywołuje u wytwornego pana dreszczy; oczekiwał tego. To one stały się powodem śmierci jego przyjaciela. Bo wygląda na to, że Horacy, ten szlachetny rycerz bez skazy obwieszony medalami za wierną służbę królowej, podczas sprawowania swej wysokiej funkcji na południowym cyplu Afryki nie tylko dobro Korony miał na sercu...

Wytworny pan ma własną wersję wypadków. Może ona odpowiadać prawdziwemu przebiegowi zdarzeń, może być błędna. Jest to, jak sama nazwa wskazuje, wersja robocza. Każde nowe odkrycie pomaga weryfikować ją. Jedne elementy odrzuca, w ich miejsce wprowadza nowe zwiększając w ten sposób stopień prawdopodobieństwa. Jak w badaniu naukowym. Wersja obecna zakłada:

Kamienie w sejfie na Paradeplatz nie były własnością Horacy'ego. Podczas swego ostatniego pobytu w RPA były w ręku dyrektora Korony znany dobrze władcom lotniska w Johannesburgu i przez władze te szanowany, a więc nie poddawany kontroli celnej, podjął się przemytu diamentów, uprawianego już wcześniej, dla kogoś spoza General Selling Conference i British Diamond Pavillon. Diamenty nie dotarły do miejsca przeznaczenia. Przemysłnik, zgodnie z ustaloną marszrutą mającą na celu wykołowanie celników na drugim końcu trasy, wysiadł w Zurychu i do Londynu przybył samolotem linii Swissair, ale... bez woreczków irtchowych.

Niebo przebacza błądzącym, na ziemi sprawy te wyglądają prozaicznie. Horacy zapłacił za swój grzech. To już przeszłość nie do odwrócenia, i dobrze, że zapłacił tak szybko. Tylko komu?

Zagadka — stwierdził rzeczowo Highbrow mający w tych sprawach niełatwe wyobrażenia i długo zagadką pozostające. Ale nadzieli na jej rozwiązanie nie trafił.

Wzwał do siebie Nelly.

Jego myślni zawiadnęły diamenty z Lille, od kolacji w Carltonie w jakiś sposób wiążące się z Attentownem. Już wcześniej zapoznał się z systemem cyrkulacji tych kamieni, od wydobycia ich na powierzchni ziemi, kontrolowanego przez General Selling Conference, do obróbki w szlifierniach i dalej — pod pancerną szkołę wystawowych gablot jubilerów. System zdawał się być dla obcych hermetycznie zamknięty, wodoszczelny, wstrząsoodporny. Lille zadało temu kłam.

Nazajutrz po ujawnieniu afery Highbrow udał się do Brukseli, do Marcela Samaaya, swego odpowiednika po fachu „pracującego w kamieniach”. Agencje łączył cichy układ, na mocy którego Highbrow miał oko na sprawy Marcela rozgrywane się w Londynie, ten zaś spłacał dług podobnymi usługami na swoim podwórku. Diamenty przechwycone w Lille nie dotrą do lewych szlifierzy w Antwerpi i Amsterdamie, co nie oznacza, aby GSC nie wystawił pewnym ludziom rachunku do uregulowania. Rozpocznie się wielkie polowanie na czarownice, które w przemyśle maczały palce. Poleje się krew. Marcel postawił swoje czujki na baczność. W ośrodku prowadzonej od lat kartoteczki, kiedy Konga z bogatymi złożami diamentów należało jeszcze do Belgii, ma zdjęcia i dane personalne ryb stale pływających w tym stawie i zawiązujących tu gościnnie. To jego największy majątek. Wartość rynkowa zbioru przekracza cenę jego życia i Marcel zna osoby, które cenę tę uściłyby od ręki. Jedną z nich odwiedziła Brukselę z paszportu nazywa się Peter Krueger, między kamratami zwany „Zającą wargą”, obywatel RPA. Wczoraj — donosił Marcel, ale bez podawania personaliów — widziano go w restauracji Hotelu Palace przy placu Rogera w towarzystwie barczystego mężczyzny w wieku około czterdziestu pięciu lat, mówiącego z amerykańskim akcentem, o imieniu Dave. Po wspólnym posiłku mężczyzna ów udał się późnym wieczorem taksówką na lotnisko, skąd samolotem linii British Airways odleciał do Londynu.

Ten Marcel — Highbrow odczytywał się do obserwującej go w skupieniu Nelly — nie mówił nam wszystkiego. Jak zawsze. Szczegółowo opowiada nam jednego, który wygląda na Attentowna, o drugim napomyka tylko, że przybył tym samym samolotem, co van Bootha. W Brukseli mieszka w Hotelu Palace, ale tutaj luka: w książce meldunkowej żanego gościa z RPA nie ma. Jest to o tyle dziwne, że obokrajowców spoza krajów Wspólnego Rynku recepcjonści belgijscy wpisują do księgi sami. Coś tu nie gra.

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

16

LEONARD

— Może facet włada holenderskim? — podsunęła niezawodna Nelly. — Jako Afrykander... — To byłoby wytłumaczenie. Ten, co chciał odkupić agencję — pamiętał Highbrow — był też Afrykanderem.

— A nie sądzisz, że jeden i drugi to ta sama osoba? — wtrąciła ostrożnie Nelly. — W zasadzie wykluczam tę możliwość. Tacy ludzie, jakimi wysługiwał się Horacy, bez ważnego powodu nie zdejmują rękawiczek. Chyba że są sobie absolutnie pewni lub stają przed koniecznością wyboru: albo, albo.

Highbrow uśmiechnął się zachwycony.

— Jesteś moim największym odkryciem, Nelly.

— Przysiadł naprzeciwko swojej bahamskiej miłości. — Gdy busz staje w ogniu, zwierzęta tracą orientację — stwierdził sentencjonalnie.

— Porównanie to niezupełnie pasuje do sytuacji, ale wygląda na to, że władcy GSC odkryli, iż do ich imperium dobrały się korniki. Imperium silnie obsadzonego w strukturze, któremu, jeśli nie nastąpi zdecydowane przeciwdziałanie, grozi zawalenie. Przyjazd van Boothy zdaje się potwierdzać tę tezę: gotuje się ze strony GSC akcja, jaka zmrozi krew w żyłach wszystkim kornikom. Jesteśmy świadkami jej fazy wstępnej: rozpoznanie; kolejną będzie zgrupowanie sił i stadium końcowe — uderzenie. Mobilizacja już w toku. Africa-Aid. Zwycięstwo plotka żerująca na terytorialnych wodach imperium z jego łaskawego przyzwolenia, dziś sojusznik w walce o wspólne przetrwanie. Zastanawia mnie gość w Hotelu Palace. Marcel jak gdyby rezerwował go dla siebie; nie wiemy nawet, jak wygląda. Wybór tego hotelu nie jest przypadkowy: władający holenderskim, kiedyś hotelowej podając się za Flamandę, czyli swego, ma pełną swobodę ruchu. Uwagę powinniśmy skupić na Attentownie. Coś mi podpowiada, że naprowadzi nas na trop. Ta jego wzmocniona ruchliwość. Jeden wieczór w Carltonie, następny w Brukseli, w biurze nie było go przez cały dzień; Cooper tak umczył telefonami z Nancy, że dziewczyna jest gotowa iść z nim na kawę. Interesuje mnie też, gdzie ten ruchliwy osobnik spędzi resztę dnia. Gdyby moje przypuszczenia sprawdziły się, mielibyśmy trójkę: van Bootha, Afrykander, Attentown. Szef policji GSC musiał mieć jakiś cel, prosząc go do swego stołu. Musimy się nim zająć. Kogo proponujesz, Nelly?

— Gdybym była młodsza...

— Niezwykle kobiety się nie starzeją — powiedział Highbrow wcale nie traktując tego jako komplement. — Wobec tego kogo?

— Arthura Coopera. Z Humbra nie ciekawego chwilowo nie wyskoczy. Hotelu Windsor i tej ślicznotki dopinają jego kontakty. Attentown potrzebuje kogoś mocnego.

— Ale nie wtajemniczonego w nasze brudy. Cooper odpada.

Powiedziawszy to Highbrow spoczął. Bezczynne przyglądanie się biegowi wypadków mogło doprowadzić do pojawienia się w tym gabinecie kogoś, kto tym razem nie interesowałby się tylko kupnem agencji.

— Nie chcę zbędnych ofiar — zakończył. — To nasza wewnętrzna sprawa. Zajmę się Attentownem sam. Z twoją pomocą będę czuł się pewniejszy. Co ty na to, Nelly?

Sekretarka skinęła aprobującą głową.

Zdjęcie wykonane z wieży lotniska w Lille nie było wyraźne: odległość od wieży, słabe oświetlenie, w ogóle amatorszczyzna. Gdyby w momencie pstryknięcia słonce było łaskawsze albo pasażerowie mieli w tle płonącą awionetkę, a nie ołowianą zieleni traw. Ale mimo to podobieństwo było olbrzymie.

Attentown poddał zdjęcie skrupulatnej analizie. Uwagę skupił na pasażerach. Zasięgnął porady specjalisty. Wyraz twarzy, dowiedział się — abstrahując od chirurgii kosmetycznej — można zmienić. Niezbędne do tego akcesoria, dostępne na rynku, są na pierwszy rzut oka nierozpoznawalne. Podobieństwo twarzy nie jest już w sądzie argumentem nie do podważenia przez obronę. Budowa ciała i ruch. Ucharyteryzować się można na każdego. Zmienić można linie nosa, barwę owłosienia, ale nikt nie zmieni swojej specyfiki ruchowej.

Postać numer jeden był pasażer w kapeluszu, rwący się ku spowitej płomieniami awionetce. Gdyby nie równie rosy pilot, częściowo

go sobą zasłaniający, nie byłoby wątpliwości, kim był ten szalony człowiek, i to niezależnie od kapelusza noszonego na wyjątkowy bakier. Ustalenie tożsamości powstrzymującego go za polu marynarki towarzysza byłoby wtedy sprawą prostą. Gdyby zatem pierwszy był Tedem Cullinanem, drugi musiałby nazywać się Alex Zagora — ta para syjamskich braci jest zdolna do rzućcia się na ślone.

Wiec ten pierwszy to Cullinan czy nie Cullinan?

Szarada ta ma dwa rozwiązania. To drugie Attentown wolałby zaraz wykluczyć.

Posiadacz kapelusza mógłby z powodzeniem być kimś jeszcze innym. W grupie podobieństw, których wspierał materialnie, znajdował się jeden łudząco podobny do Cullinana, nie tylko budową ciała i wzrostem. Do Indochin przybywali wszyscy ostrzyżeni na zapalną, jednakowo umundurowani, kartę identyfikacyjną stanowiły twarz i głos. Już wówczas zdarzyło się, że pomylił jednego z drugim. Garnitur zuniformizował ludzi, utrudniając rozpoznanie na odległość. Gdyby jednak Cullinan znalazł sobie stuprocentowe alibi, to do figury przy awionetce pasuje...

Samo wymienienie imienia i nazwiska tego człowieka, w kontekście tej sprawy, przypisało Attentowna o zawrót głowy.

Jeszcze w czasach tufaczki po włoskich Czesłowskiacji na wozie handlarza starzyzną David przygarnął bezdomnego kundla. W gospodarce ojca liczył się każdy halerz, dodatkowy brzuch do napełnienia nie był obojętny. Wydając obecnie lekką ręką tysiące dolarów, zagarniając krocie wpływające na jego konta bankowe za jednym podnieśnięciem ręki, Attentown często powracał myślami do swego żabrazego dzieciństwa, nie mogąc się nadziwić pokroćności życia — wymagało hartu, tym większego, im niższa była gręda.

Ojciec Davidka nie postawiłby sprawy na ostrzu noża, gdyby nie choroba kundla. Davidek niczego nie dostrzegał. Krosty na skórze? — sam rzadko nie miał krost. Ale tym razem ojciec nie ustąpił. Po utopieniu psa w starej studni dwaj mieszkańcy wozu dzielili nadal wspólne dole i niedole. Ale parasol nieba nad nimi, z kolorowego przepłatafca, już na stałe zaciągnął się chmurami. Na lawce wozu nie się w zasadzie nie zmieniło. Lawka była ta sama, ale teraz miała dwa bieguny. Na jednym siedział schorowany ojciec, na drugim jego śmiertelny wróg, życzący mu takiego samego końca, jaki przypałł psu.

Mineły lata. Rodziciela, choć to już poślad sprzed wieków, David wciąż pamiętał. Krewnych którzy po śmierci ojca ściągnęli go do Ameryki, dali dach nad głową i wykształcenie, też nie zapomnieli. Kobiety wylatywały mu z głowy po wyjściu z łóżka — mało zajmowały miejsca w jego myślni. Normalne meskie życie. Gotowość do podzielenia się z kimś ostatnim kęsem chleba zabrał ze sobą do studni okryty krostami kundel. Pustkę w nieprzystępnym sercu tego samotnika wypełniał Andrew Skala.

Jakie ono było naprawdę — pod maską wykalkulowanej rzeczowości — żaden z kolegów, którym okazywał wielkoduszność, nie wiedział Serca, w przeciwieństwie do oczu, nie są przejryste. A szkoda. Bo gdyby były, żaden z nich nie powazyłby się na nadużycie tego zaufania.

Andy Skala. Sztokholmski detektyw Zetterstamm, wynajęty przez Humbra — dzięki informacjom z wiadomego źródła — wszedł mu na

ogon już jako rezydentowi hotelu Kalastajatorppa. Obiekt zajmował luksusowy apartament, szastał pieniędzmi, otaczał się pięknymi kobietami. Jednej tylko nocy przegrał w ruletkę równowartość dwudziestu kilku tysięcy dolarów. Po dwudniowej przerwie w życiorysie, która śledzącemu pozostawała nieznana, został odnaleziony w prywatnym bungalowie prezesa koncernu Xetem w lasach pod Käpylä. Chodziło o warunki pracy literackiej. Przemysłowiec fiński, utrzymujący rozległe kontakty handlowe z Rosjanami, oddał mu do dyspozycji swoją letnią rezydencję...

Attentown wysłał do przyjaciela na posterestante pilny telegram z żądaniem niezwłocznego wyznaczenia miejsca spotkania.

Część II

Było wczesne rano, ulica dopiero wstawiała. Zaelarmowani wybuchem mieszkańcy wyjrzał przez okno, ale wszystko, co dostrzegli, to o-biół pomarańczowego dymu wydobywający się z podpiwniczenia willi; wyglądało to w pierwszej chwili na pożar. Żadnego podejrzanego osobnika rzekomo uciekającego — jak twierdził gospodarz domu — z miejsca zdarzenia samochodem bez świateł nikt nie widział. Słyszano natomiast dwa strzały karabinowe oddane z kokpitu — z całą pewnością z wieżyczki je oddano, nie myśląc o tym, że mogą trafić w kogoś zupełnie niewinnego.

Z dokładnym ustaleniem łufy, z której strzelano, nie było kłopotu:

— Karabin marlin 444 magnum albo „armata”, jak go między sobą nazywają myśliwi na grubego zwierza — dealektował się nie ukrywający swego zgorznienia wypadkiem użycia broń sierżant Sean Hatfield, bawiąc się znaleźćmym na ulicy zdeformowanym polskiem. — Przypadkowo słyszałem o pewnym panu, który niedawno kazał firmie „Buffalo Arms” dostarczyć sobie do domu takie cacko... Był to, jeśli mnie pamięć nie myli, niejaki mister Skala. Zna go pan?

Był to doskonały humorz.

O zezwolenie na posiadanie broni palnej sierżant nie pytał. Znał jego stosunek do sprawy „Skala” można śmiało iść o zakład, że pytanie to zezwolił sobie na inną okazję.

Przyznał rację przygodnemu przechodniowi: — Good Weather Street przestała być pogodna. — Zafasowany drapeł się w wygoloną do krwi brodzie. — Rzeczywiście stała się niebezpieczna dla mieszkańców.

Deszcz w nocy spłulił ziemię. Sierżant nie zacytował sobie zrobienia przez technikę siedzącego g'psowego odlewów śladów obuwia pozostawionych w ogrodzie. Duży numer, przynajmniej jedenastka. — Tyle ludzi kreśli się ostatnio wokół tego domu — powiedział. — Skąd mamy mieć pewność, że to nie państwo?

Skala nosi obuwie numer osiem medium. Podniósł nogę sierżantowi do oczu.

Na szczęście dla niefortunnego strzelca śladów krwi nie znalazł.

Dzisiejsza popołudniówka „Seattle's Monitor” ograniczyła się do zamieszczenia wzmianki o zdarzeniu, bez własnego komentarza. Może jutro złośliwi oskarżą policję o nieuzasadnioną tolerancję. Sierżant, narażano ludzi na śmierć, a tylko mandat za zakłócenie spokoju! Wybory do władz municypalnych za pasem, czyżby Wardowi sprzykrył się foteł wiceburmistrza miasta?

Akademicy to nie policjanci. Rozmawiają między sobą językiem akademików.

Pomawianie pani doktor o szerzenie haaseł wywołujących na terenie uczelni, o udział w demonstracjach pacyfistycznych... — plotek nie traktujemy poważnie. Uczelnia nasza zawsze była w czołówce walki o pokój i sprawiedliwość społeczną. Żyjemy w wolnym kraju! Ale nastrosziliśmy młodych ludzi, jakimi są studenci, politycznie jeszcze nie wyrobionych, nie wolno nam bagatelizować. Jest pani obiecującym pracownikiem dydaktycznym, dlatego, do chwili rozładowania nieprzyjemnych nastrojów, Rada Wydziału postanowiła udzielić pani płatnego urlopu do czasu, powiedzmy, wygaśnięcia umowy o pracę... Czas ten będzie pani mogła wykorzystać na dokończenie swojej pracy habilitacyjnej. A potem zobaczymy. Co pani doktor na to? Pragnę z całą stanowczością podkreślić, że nasza postawa nie ma nic wspólnego z działalnością pani brata za granicą. Każdy Amerykanin ma prawo do własnego punktu widzenia na politykę rządu.

Piękne jest San Francisco. To najpiękniejsze miasto świata. Piękne jak całe wreszta Stany. Podobnie jak brat, Helen jest zakochana w swoim kraju i w jego wspaniałych ludziach.

Bo nie dawajcie wiary fałszywym prorokom, powiedziano.

C.D.N.

Rys. Janusz Szymbalski-Glane